

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 155.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE  
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1879.

SERYA V.

Wrzesień.

TOM III. — ZESZYT IX.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główny w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

— xiv —

Ukończono druk dnia 1 września 1879 roku.

## T R E Ś Ć.

	stron.
I. Kazimierz Władysław Woycicki. Przez Ernesta Swieżawskiego. . . . .	305
II. Cnota i występki. Rzecz o rozwoju dziejowym wyobrażeń o cnocie. Przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego (Ciąg dalszy). . .	318
III. Antoni Oleszczyński. Przez Sewerynę z Żochowskich Duchnińską (Dokończenie). . . . .	350
IV. Przemysł cukrowniczy w Królestwie Polskiem. Przez Antoniego Wrotnowskiego (Ciąg dalszy). . . . .	368
V. Z podróży i przejazdów po południowo-zachodniej Norwegii. Z luźnych notatek spisał Stanisław Bełza (Dokończenie). . . .	387
VI. Romantyzm angielski XIX wieku. Przez Felksa Jezierskiego. . . . .	403
VII. Z dziedziny przyrodoznawstwa. Przez T. Skomorowskiego. .	416
VIII. Kronika lwowska. Napisał Władysław Zawadzki. . . . .	435
<b>IX. PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.</b>	
Biblioteka Ordynacji Krasińskich. Muzeum Konstantego Świdzińskiego. Tom IV. Perska księga na polski język przełożona od Imci pana Samuela Otwinowskiego, sekretarza JKMcI, nazwana Gulistan, t. j. ogród różany. Z dawnego rękopisu wydał dr. I. Janicki. Warszawa 1879 r., str. XVIII i 285. Przez Antoniego Bądkiewicza. . . . .	449
Czesław. Poczyc. Zeszyt I. Warszawa, 1879 r. Druk K. Kowalewskiego. . . . .	459
Biesiada u milionera rzymskiego, za czasów Nerona, według satyrykonu Petroniusza Arbitra, przez Wład. Mich. Dębickiego. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, 1879 r. Nakładem Nestora Złowodzkiego, kandydata nauk historyczno-filologicznych. Drukiem J. Noskowskiego. . . . .	462
X. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne. . . .	465
XI. Nekrologia. . . . .	471
XII. Od redakcyi.—Sprostowanie. . . . .	472



De. II. 1.

## KAZIMIERZ WŁADYSŁAW WOYCICKI.

Dnia 5 sierpnia r. b., z kościoła Świętego Krzyża ruszył pochód żałobny: otwierały go trzy wieńce w hołdzie czci i pamięci złożone zmarłemu. Nieśli je przedstawiciele *Prasy Peryodycznej*, redakcyi *Biblioteki Warszawskiej* i redakcyi *Kłosów*. Na marach leżały zwłoki człowieka, który lat pięćdziesiąt grał wybitną rolę w pierwszej, należał do założycieli drugiej, trzecim dał początek.

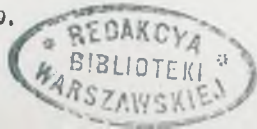
Chowaliśmy w tym dniu ś. p. autora *Gawędi Klechd*, społecznika lub przyjaciela Rakowieckich, Brodzińskich, Osieńskich, Czarnockich, Święckich, Lelewelów, Mochnackich, Bielowskich, Siemieńskich, Borkowskich, Dzierżkowskich, Magnuszewskich, ... Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, Lublinie i Płocku, Księstwa Warszawskiego i Królestwa kongresowego..., fundacyi Towarzystwa kredytowego ziemskiego, którego komitetu właścicieli Listów zastawnych był stale od 1862 roku obieranym prezesem.

Chowaliśmy w tym dniu człowieka, co pamięcią lat dziecinnych sięgał, z opowiadań ojca: czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego; był świadkiem walki klasycyzmu z romantyzmem, skończył życie jako redaktor odpowiedzialny *Biblioteki Warszawskiej* (od 1850 r.), która dziesięć lat wprzód powstałszy, w dwanaście lat później przekształcała się w Towarzystwo Naukowe, gdyby nie społeczne wypadki.

Chowaliśmy człowieka, któremu, jak o sobie pisał, „Opatrzność dała wiele zaznać i widzieć, stawiając go w takich okolicznościach, że brał udział w wielu ważnych sprawach i nieraz się spotykał z ludźmi, wysokie stanowisko w społeczeństwie zajmującymi.”

Chowaliśmy jubilata pięćdziesiątdwuletniej zacnej pracy literackiej, typ ojca rodziny; niestrudzonego zbieracza ukochanych zabytków przeszłości, niezmordowanego opowiadacza rzeczy osobiście przeczytanych i przeżytych, a coraz bardziej nieznanego społeczeństwu, w którym się urodził, lat 72 żył i pracował, od którego za tę pracę dwakroć wziął nagrodę zasłużoną, od którego mu się też należy pośmiertna oznaka pamięci.

Krocząc w tym żałobnym korowodzie, przypomniałem sobie, jak przed kilku laty wypadało mi kreślić wspomnienie o przyjaciołach i rówieśniku zmarłego, o Auguście Bielowskim i jak wówczas ani przypuszczałem, że tak prędko wypadnie mi tych samych niemal użyć wyrazów co o tamtym, dla scharakteryzowania ostatnich chwil ś. p. Kazimierza Władysława Woycickiego. Nie przypuszczałem, a jednak by-



łem w błędzie (piszę to z naciskiem i żalem), bo ludzie jednej generacji i jednych wierzeń, jednakowo kończą swój żywot, bardzo prędko jedni za drugim schodzą. Tém bardziej, ten kto cały żywot późniejszy strawił z piórem w dłoni, skrzętnie żywą tradycją lub rzadki druk z namiętnością zbieracza i miłością syna chroniąc od zagłady; gdy w latach młodszych na innóm polu, choć nie w szumie piór husarskiego skrzydła, ale w myśli tej samej, co wyrosła z pól Grunwaldu, z brzegów Buga i Bystrzycy—niestety daremne, ale niemniej zaszczytne harce zwodził; kto osiwił pod jednym i tym samym sztandarem: ten musiał pod nim, na swém stanowisku, z orężem w dłoni dokończyć ziemskiej wędrówki tak, jak to Bielowski przed dwoma laty a Woycicki obecnie dowodzą. Tamtego śmierć zaskoczyła wśród dźwięków uwieczniających go *Monumentów* do dziejów Polski przed Długoszem; ten martwiącą ręką na ostatniej sesji redakcyjnej porządkował ostatni zeszyt *Biblioteki Warszawskiej*, umierającym głosem czytał swój do niej artykuł, niedając się w tém nikomu zastąpić; gorącymi wyrazami zachęcał do wspólnej pracy w obranym raz kierunku, i choć zgnębiony drugim atakiem ciężkiej choroby, która w kilka dni potem miała go zabić, pisał charakterystykę czasów, niezabawem i jego działalności początek mającą ogarnąć <sup>1)</sup>. Na te początki autobiografii już czasu niestarczyło.

Zamknęła się świeża mogiła nad jednym z wyznawców romantyzmu, których generacja w bieżących dziesiątkach lat z niejakim pośpiechem otrząsa pył tego świata z nóg swych uznojonnych, których coraz rzadsze niedobitki odchodzą coraz częściej do swych towarzyszy, by z nimi czekać sprawiedliwszych, bo chłodniejszych sądów o sobie. Niedawno co ukojony spór *starych z młodymi*, a jeszcze bliższy nam głośny poswark, którego ciąg dalszy, to w łagodniejszej, to ostrzejszej formie wciąż się rozwija, a dotąd bezimienny z tamtym da się ująć w ogólny jeden kierunek *reakcji przeciw romantyzmowi i jego epigonom* są właśnie jawnym znakiem, że na morzu umysłowej naszej odrębności nowa fala wzbiera, kusi się dawne zalać wody, zatrzyć nowemi refleksami odbicia dawnych widoków.

Zaiste, brzegi tej krainy, której toń romantyzmu była odbiciem, usuwają się coraz dalej, targane nietylko siłą praw naturalnych; coraz też słabszemi były jej odbicia, coraz mniej wyraźnemi. A może raczej widz, którego łódka coraz to dalej od tych brzegów unosi, znając tylko z odbicia krainę, z kąd jeszcze ojcowie i dziadowie jego wypłynęli z rozpaczą niewłasnowolnie, mniej te refleksy ceni, za mirażę jeno poczytuje. Więc czego kto oko w oko nie widział, temu nie wierzy, wedle dawniej już Tomasza teorii; tych, co jak wygnańce, choć garść prochów z ziemi ojczystej i bogi domowe unieśli, a nędzę spółczesną złócili zarówno wspomnienia szczyptą, jak wyobraźnią ku obliczom przeszłości

<sup>1)</sup> *Warszawa, jej życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu* (od 1800—1830).

zwróconą—coraz niecierpliwiej, nogą w końcu trąca, by mu miejsca ustąpili. Komużto zresztą zagadką od czasów rozmowy czyża młodego ze starym X. B. W.?

Taka reakcja wymownie świadczy, że na syntezę poprzedniego kierunku, jeszcze zawczasie, bo dopiero analiza zaczyna swą pracę. Tém zaś ta reakcja jest gwałtowniejszą, im widocznie wcześniejszy jój początek. W takich warunkach apologia i denigracja schodzącego z pola objawu dochodzą do szczytu zazwyczaj: roznamietniają się bezwiednie. Ciężko, może niepodobna utrzymać byłoby zresztą szale sądu stanowczego przy świeżej jeszcze mogile, na którą jeno podzięka za zaśługi spłynąć powinna. Młodszym, czującym w sobie zapas nienapoczęty niemal życia, taka próba uśmiecha się. Ja już się o nią nie kuszę. Na widok ściskającego się karabatalionu, na wyłomie jego tak znacznym, umiemy czuć jeno straty, obliczać zaśługi upadłych w ciężkiej walce.

Zaznaczywszy zatem tylko, w jakim stosunku do bieżącej literatury i ducha społeczeństwa zostawał zmarły romantyk; natrąciwszy jedynie, że musiał już umrzeć Woycicki, bo pokolenie któremu swe wspomnienia, swe *credo* powtarzał, już jego wiary i zapałów, przesądów i wstrętów, przekonań i zasad nie mogło czy niechciało pojmwować i odczuwać, przechodzimy do charakterystyki ogólnych kierunków działalności literackiej nieboszczyka.

By zaś ją jaśniejszą uczynić, wypadnie uwzględnić, w jakich warunkach przyszedł zgasły autor *Gawędy* i *Klechdy* do wytworzenia swych literacko-społecznych wierszów i faktury piśmienniczej. A na to składały się najprzód różne, teraz za czcze i podrzędne miane, fakta w tradycyi ojca i samego Woycickiego mające doniosłe znaczenie, z czém się łączą specjalny charakter doby saskiej i dogmat Krasickiego o roli obywateli, odpowiadający wysoko rozwiniętemu w naturze ś. p. Kazimierza przymiotowi rodzinności, a więc charakter zacierający po części ponure sceny z zakresu życia państwowego. Na urobienie kierunku i formy w Woycickim wpływał powtórnie okres legionów i Księstwa Warszawskiego, mający wyłączny charakter ogólnego ważenia się wszech stanów, wszech kierunków, w jednej idei, w jednym dążeniu, to jest charakter wyjaśniania się: czy też czy antytez terażniejszości i przeszłości w imię dobra pospolitego.

Rozpatrzenie tych względów różnych tém okazuje się konieczniejszém, że na razie, dwa kierunki działalności literackiej Woycickiego, wyrażone przez tytuły prac naczelných *Gawędy* (*Obrazy*) i *Klechdy* (oraz *Pieśni*) jako odrębne sfery w teorii, ale w praktyce zgasłego wciąż spajane i łączone, zdawałyby się (ale tylko z pozoru) płynąć jedynie po powierzchni bytu społeczeństwa. Dla oka niebadawczego tytuły dzieł ś. p. Kazimierza nieprzedstawiają nic gruntownego, nic zasadowego; odstają rzekomo jak *czczy strój zewnętrzny* od istoty przeszłości, której ostatnim pono w swym rodzaju był malarzem. Otóż właśnie należy zapytać, czy istotnie ten rzekomo *czczy strój zewnętrzny* był *czczym* w e-

poce, w której młodość przeżył, z której pierwsze czerpał wrażenia autor *Gawęd?* I po najpowierzchniwszym nawet rozbiorze, odpowiadamy stanowczo—nie.

Za czasów ostatniego Piasta, którego lekarzem przybocznym był ojciec Woycickiego; za czasów walki pod Zieleńcami, w której tenże ojciec uczestniczył, strój narodowy nie był czczą teatralną paradą, nie był *środkiem* agitacji wyborczej, ale był wspomnieniem: smutnej, bo zamkniętej katastrofą,—ale drogiej przeszłości. W walce z frakiem i żabotem starodawnego kontusza i żupana uwidomiła się kolizya wyższych: obcych ze swojskim interesów. Jak tamte często—niemał zawsze służby—jeśli nie ciała to ducha; tak te swobody cechą się stawały. Nie darmo, nie bez wyższej myśli wprowadził twórca *Ostatniego Zajazdu* do swego poematu rys porzucenia tego stroju przez rejenta dla... Teli-meny wciąż o „biurku” mówiącej. Nie czemu innemu gwoi może, stworzył Korzeniowski *Wąsy i Perukę*.

W epoce ojca Woycickiego, który przelał swe wiary i zasady w syna; *jeszcze ta tylko* zewnętrzność, dla nas błaha, po dawném stosunkowo przyzwyczajeniu się (zrazu rządu, potem ogółu) do apatyj a potem do bezwłasnowolności zewnętrznej—była i być mogła, jakby skrajną granicą tego, czego naruszenie już budziło poczucie straty w świadomości narodowej.

W takim znaczeniu stroju swojskiego, jako symbolu pewnych wyższych faktów, łączyło się i także sformułowanie w tradycyi (którą wyhodował się Woycicki) znaczenia epoki saskiej.

Ta doba najprzód jeszcze silniej w pamięci rodziców Woycickiego i jego rówieśników antytezowała się do epoki porozbiorowej; w sercu zbolałych synów brała na się urocze barwy raj utraconego tęp łacniej, gdy takimi się mieniła w oczach ojców. A dalej wyłączyw-szy z obrazu doby saskiej tworzącego się w umyśle epigonów jęj, oraz generacyi Poniatowskiego i późniejszych: ową zasadę nieinterwencyi—tęj zewnętrznej apatyj państwowej, już przez te generacye z mu-su w spadku praktykowanej, nie tak więc bolesnej; wyłączyw-szy po-wtarzamy z tego obrazu doby saskiej tę abdykacyą ze stanowiska sa-modzielnego w Europie, jaką wprawdzie dopiero od *sejmu niemego* Rzeczpospolita przyznała oficjalnie, ale praktykowała wcześniej <sup>1)</sup>; wyłączyw-szy też idący za tęp brak powagi w Europie dla domorostłych ziemiańskich polityków mniej ważny, mniej uczuć się dający: będzie miała epoka saska w stosunku do Stanisławowskiej i następnej pozory błęgiego spokoju, niezmaconego szczęścia. Blask świetnych kampa-mentów Augustowych, przykład jęgo Lukullusowo-Bachusowych uciech biesiadni-

<sup>1)</sup> Za znanie tęj nieinterwencyi uważamy rozwijanie się coraz donioślejsze wypraw na własną rękę podejmowanych przez magnateryą polską, w miarę jak inicjatywa rządowa coraz bardziej słabła w sprawach międzynarodowych, i coraz częściej za prywatną isć musiała. Np. wyprawa Mniszków, treść manifestu Jana Kazimierza z Opola r. 1655, wyprawy mołdo-wołowskie.

czych, godową swą barwą stanowczo ćmić się zdawały w oczach zaściankowego statysty: złowrogie wróżby na okrywającym się ciężką nawałnicą horyzoncie. Lekkomysłny ten spokój naczelnika rządu Rzeczypospolitej, który osobiście był sympatycznym ogółowi, jako siłacz i myśliciel, udzielał się zaraźliwie niezbyt myślącym masom. Kulig i biesiada, gorące a serdeczne bez końca, prawdziwy kult bóstwa gościnności; sejmik jak biesiada hałaśliwy i krwawy: to stało się hasłem żywota codziennego szaraków, trud patrzenia i myślenia składających na swych jurgiello-dajnych magnatów. Coraz ciężej niewykształconym unyśtom dająca się kierować nawa polityki krajowej, na falach stosunków międzynarodowych wymagająca czegoś więcej jak okrzyku i czynu: „ława panowie bracia,”—w świadomości dworów i zaścianków, coraz częściej, coraz staliej znikająca z pamięci i serca, a raczej jej kłeski i powodzenia brały na się wymiary wypadków domowego gospodarstwa, jak pożar, gradobicie, nieurodzaj, chrzciny, wesele i pogrzeb... Rzeczpospolita widziana z okna szlacheckiego, zmalała do rozmiarów szlacheckiego siedliska, ogólnem *remedium* stało się albo „jakoś to będzie” albo „chociaż bięda, ale hoc.”

Więc, może często i głuszac obawy, bawiono się i weselono; *może* kuligowano i sejmikowano umyślnie, tém zacięć po zaułkach Rzeczypospolitej, gdy na głównem jej placu dwa wyrazy wcielały się codziennie (prze- i nie- moc), tylko już w złożeniu praktykowane.

To rozigranie się ucieszne za doby Sasów,—skoro wrażenie obaw jemu spółczesnych schodziło do zera, przy porównaniu z kłeskami czasów rozbiorowych: w poczuciu potomnych, w świadomości generacji rodziców lub samego Woycickiego,—śladnie ująć mogło za względnie słuszne, za użycie istotnego szczęścia publicznego, za prawdziwy wyraz uprawnionego przez ogólny spokój wesela prywatnego. Ztądto czy Pola czy Woycickiego (czy Kaczkowskiego) *kontuszowe gawędy*, szczególnież lubujące się w dekoracyjnej i domowej stronie doby Sasów dałyby się wymotywiać ową względną jasnością tła tamtych biesiad do dzisiajszej rzeczywistości, i owym malarzom tej szkoły kuligowo-sejmikowej mogłoby spaść przebaczenie, że biorą dekoracją za historyozoficzną treść życia, że swoje poczucie wielkości tamtoczesnych kłesk wzięli za istotną ich miarę, i pobażliwszym się okazali dla symboli przeszłości wewnętrznej.

Niezapominajmy zresztą, co przy wpływie znacznym Krasickiego na społeczeństwo jego byłoby grubym błędem, że ten autor w *Przygodach Mikołaja Doświadczyńskiego* wykazawszy słabość wszystkich „pląt,” wszystkich prób leczniczych swego bohatera na choroby ogólne kraju; zaznaczwszy w powieściowym Doświadczyńskim niemożebność działania jako poseł i deputat z korzyścią dla dobra kraju, każe mu pracować w zaciszu wiejskiem jako panu, gospodarzowi, ojcu—tu widząc jedyny ratunek, jedyny plac boju korzystnego z twardą rzeczywistością (*Przygody Mik. Doś.* III, 11). Tę też pracę jedynie owoco-

dajną przedstawił Krasicki w *Panu Podstolim* powtarzając w praktyce teoryę *Przygód*.

To ziemiańskie stanowisko wskazane przez X. B. W. prawdziwym synom kraju, stało się nową dźwignią dla uprawnienia odpowiednich cech doby saskiej, dla zjednania im czci ideału u potomków i w Woycickim w smutniejszych jeszcze czasach żyjących.

Niedość na tém. Utrzymywał się ten tok i ten ton tém snadniej w duszy i w pismach zacnego piastuna stodkiej dlań przeszłości, że wspomniane wyżej obniżenie dyapazonu poglądów ogółu szlacheckiego na sprawy państwowe Rptej, mierzenie ostatnich piędzią interesów zaścianka nagannem się okazuje przed trybunałem wyższych interesów, zaważa jako straszny zarzut dobrowolnej abdykacyi na szali dobra publicznego i stanowiska międzynarodowego. O ile jednak z téj strony rozważany peryod saski i jemu podobne, zasługuje bez pochyby i wahania na Jeremiaszowemi pioruny nabrzmiały sąd Jarochońskiego, to z drugiej strony ta ziemiańskość (że tak powiem) przeważająca w owocnym obrazie kraju, niezawodną musi ponęte mieć w oczach tego, coby kreślił owęj ziemiańskości obraz abstrakcyjny.

To, co budzi grozę w polityku, przedewszystkiem jedna poklask wierzących w znaczenie życia rodzinnego. Jak w naturze, przed najgwałtowniejszą burzą zapanowyywa najdoskonalsza cisza, tak u nas w epoce coraz większego obezwładniania się sprężyn i kółek maszyny w przedjutru jój zatrzymania się, rozwinęła się najpiękniejsza idylla, na którą się złożyły obrazy rodzinnego kolorytu. Wybująy w zanadto bujny kwiat stan karmazynów i szaraków święcił wówczas wielką uroczystość rodziny i rodu. Może Sasom najwięcej zawdzięczamy spopolitowanie się rozwodów najprzód gwoli Augustowi II; potem i panom. Tém jaskrawiej starodawna świętość małżeństwa i rodziny cenionych narówni z klejnotem; występowała w rodach średnich i drobnych. Wszystko to, co ułatwiało zawiązanie i wzmocnienie tych węzłów, nawet i w oczach polityka musi być uznauem za prawowite i konieczne. Wszelkie tedy zjazdy temu zbrataniu torujące drogę, nawet poświęcenie na nich spraw ogólniejszych interesom rodzinnym, z tego stanowiska *wyłączonego* rozpatrzone, można poczytać za tryumf tego kamienia węgielnego społeczeństw wszelkich, nawet nad samem państwem i społeczeństwem odniesiony. Jestto posunięcie teoryi rodziny do ostatnich konsekwencyi, mające odpowiednik w innym punkcie naszych instytucyi (*liberum veto*), również ten stopień niemal absurdu posiadającym.

A jednak sama zasada, rodziny prawo, prawo jednostki, jakżez jest prawdziwą, piękną, dobrą; jak wszędzie ona wbrew postępcom *sui generis* ma uznanie i w XIX wieku! I ta zasada, rozwijając się w pewnej dobie naszej przeszłości, chociaż z pokrzywdzeniem równowagi innych zasad, równie prawdziwych, pięknych i dobrych, musi jednać przebaczenie a przynajmniej wyrozumiałość nawet dla owych wybujałości.



Wyznajemy otwarcie i szczerze, że dopiero po śmierci ś. p. Kazimierza Władysława, badając powody tego kierunku literackiej jego działalności, który wydał *Gawędy* najściślej ów partykularyzm rodzinno-szlachecki nawet w polityce, a cóż dopiero w życiu społecznem pewnej doby odtwarzające, przyszły mi na myśl powyższe wywody, powyższa charakterystyka doby owej, jako tych gawęd usprawiedliwienie i racja bytu dodatnia. Klucz zaś pierwszy do tego poglądu, punkt wyjścia dla dalszych spostrzeżeń i ogólników nastęrczyło mi samo życie tego, który ziszczał owe obrazki życia rodzinnego w praktyce, który i mnie nietylko za marny frazes dał (9/3 1877 r.) w mym egzemplarzu *Klechd* te słowa „w serdecznej pamiętce stary *towarzysz* pióra i przyjaciel K. Wł. Woycicki.” Starzec, dziadkiem mi być mogący, zasłużony pisarz nie wahał się piąć po schodach, by nawiedzać chorego tak, jak kiedyś przyszedł, by ucznia gimnazjum realnego wpisać w listę stypendystów Konarskiego i ułatwić mu przez to dalszą naukę, Był obcemu istotnie towarzyszem w potrzebie, i przyjacielem na staropolską miarę.

A cóż dopiero mówić o człowieku tym w rodzinie, której wizerunki tak cudnie malował? Zawdzięczając wiele matce, (Zofia z Zienkiewiczów, rodem Litwinka), która „choć sama nie odebrała ukształcenia wyższego, (przecież) z serca ożywionego duchem Bożym, mądrość czerpała i dziecię swoje ucząc wiary i cnoty, zachęcała je do nauki książkowej i ułatwiała ją zdrową radą i opieką pomocną” <sup>1)</sup>, niemniej wysoko stawiał wpływ swęj żony, Anny Magnuszewskiej, siostry poety Dominika. Poślubiwszy ją 10 listopada 1832 r., tak ś. p. Kazimierz jęj wpływ sam charakteryzował: „Wpływ tego anioła dobroci i łagodności, tęj prawdziwie świętęj niewiasty, zmięczył mój temperament szorstki i prędki; ona mi uczyniła *dom świątynią i rajem, gdzie żyje w całej pełni szczęście rodzinne.*” Oddany cały pracy nad dobrobytem swęj rodziny, o który troska i wiek sędziwy i choroba do ostatnięj chwili pióra z ręki nie wytrącały <sup>2)</sup>; borykający się ciągle z losem: tylko w grobie rodziny, w szczęściu domowém szukał nagrody i wytehnienia.

To tóż w gawędach ś. p. Kazimierza nikt nie znajdzie lubowania się w charakterystyce typów wstrętnych, obrazów plastycznych rozkładu moralnego, jakie stały się ulubionym tematem młodych powieściopisarzy historycznych.

Nie skończyłbym, gdyby przyszło wyliczać z dzieł ś. p. Kazimierza te szczegóły, z których prześwieca wysoka cześć jego dla kobiety, dążność wystawienia ze swęj kapłanki ogniska domowego, prawdziwęj arki przymierza między przyblakłą przeszłością a barwistszą z jęj łaski przyszłością. Kobięcie nawet polskięj poświęcił w *Bluszczu* cały szereg artykułów, przebiegając cały jęj żywot w obiektywnie skupionych

<sup>1)</sup> Słowa Pługa.

<sup>2)</sup> Już po pierwszym a na krótko przed drugim, śmierć o kilka tygodni uprzedzającym ataku apopleksyi nerwowęj pisał swą *Historię literatury dla młodzieży*.

z licznego książkowego i tradycyjnego materiału mozaikach. We wszystkich zaś przebija myśl jedna: kobiety jeno w rodzinie. Jeśli istniała dla zmarłego *emancypacja kobiet*, to chyba *emancypacja od zepsucia*.

Obok typów kobiety snują się po kartach dzieł ś. p. Kazimierza marsowe postacie Napoleończyków, umieszczone na niezmiernie żywym, prawdziwym tle ogólniejszych wypadków, ale niezacierającym wybitnego charakteru anegdotycznego opowieści, co i z życiorysów *Cmentarza Powązkowskiego* i *Warszawy*, wielokroć czyni gawędy prawdziwe. W nich odżywa zamarta przeszłość; nieznając jój typów, możesz je sobie dokładnie z rysów danych uwidomić: zda się widzisz je, słyszysz, rozmawiasz i działasz z niemi, tak je żywo maluje pióro zmarłego. Gawędziarz ten nieporównany tak się żył z owym światem kontuszowym, tak nieporównanie owaładną swą formą, że w dziełku dla dzieci przeznaczoném (*Pokój dziadunia*), stosował ją do celów pedagogicznych.

A wszędzie niemal atmosfera tych smutnych czasów oczyszcza się pod piórem nieodżałowanej pamięci ich malarza. Wszędzie nastrój dodatni się utrzymuje, wedle powyżej podanych zasad usprawiedliwiany.

Choć z groźnej dla nas, znających *arcana* wyższej polityki, doby Sasów, kreśli Woycicki i jego szkoła idylliczne obrazki, zwane *gawędami*, nie możemy go sądzić za winę małoduszności, lub lekceważenia prawdy dziejowej na korzyść artyzmu, lecz jako artystę sycyera młodocianych i ojcowskich, więc dwoićie optymistycznych wspomnień, wewnętrznej historii kraju dotyczących. Dodalibyśmy, że niezależnie od znaczenia dla ducha epoki autora, tak jak Woycickiego, należy sądzić i autora poematu p. t.: *Ostatni zajazd na Litwie*. A ten dodatek robimy wyłącznie by przypomnieć, iż sferę i czas odtwarzania pisarza i poety należy odróżnić w krytyce od sfery i czasu odtwarzanych przezeń wątków, jeśli nie chcemy stronnością sądu zawinić, uwolnić jednych, potępić drugich z jednej i téj saméj racyi.

Zasklepienie się na wsi, w rodzinie, nietylko dzieje się z błędu, z grzechu, ale dzieje się później i z przekonania, że to będzie w przyszłości ratunkiem. Tak mniej więcej po bliższym rozglądzie wyjaśnia się po kwestyi symboli, kwestya życia rodzinnego rozwijana szczególnie i wyłącznie w *gawędach*, postawiona jako teza, bez podjęcia drugiej strony, ogólniejszej i ponurej, z której przeważnie, jeżeli niewyłącznie na te rzeczy się patrzymy, w skutek zupełnej zmiany i naszego *monde ambiant* i nas samych.

Zajęcie w téj kwestyi bezstronnego, uwzględniającego wszystkie te okoliczności stanowiska, dla krytyki jest w ogóle teraz niezmiernie trudne. Niełatwo zgoła przenieść się w ten „świat poety” dzieciom ojców, którzy spożyli chleb, a oskome samą w spuście zostawili. Pogodne takie wspomnienie kontuszowych czasów, z lat dzieciennych owiewające Woycickiego, może być niezrozumiałém dla krytyków, którzy w zapale denigracyi jego ideału szlachcica, dodali do niego istotnie dodatnie, a często brakujące mu cechy („garnący się gorliwie do publicznego życia, zgodny na sejmie, Kato w trybunale, szanujący majestat

królewski, walczący w obronie wolności i i wiary") i mimoto odrzucili taki ideał, na osnowie jedyne go zarzutu: „Nic przytém nie mówiono, czy téż ten ideał Polaka płaci regularnie podatki.”

Rozwijał się duch i talent Woycickiego w tym kierunku i w odpowiedniej formie, która przesadzała niejako wypadki światem wstrząsające w ciaśniejszy obręb losów członków jednej rodziny, która jeno przez rozdarte serce jednostki, dozwalała patrzeć na bole społeczeństwa i li w szczęściu jednostki, kazała szukać miniaturowego obrazu i odbicia powszechnych uniesień; rozwijał się tém konieczniej, że tę formę nadawało samorodnie opowiadanej treści żywe słowo jój bohaterów; że na wrażliwy umysł dziecka, padał podwójny czar równie poważnych typów kontuszowych, jak i niemal fantastycznych postaci z Napoleońskiej epopei w jednej osobie i aktorów i opowiadaczy. Jak nie miał całej duszy opanować, jak nie miał mowie Woycickiego stałych kształtów nadać tok natchnionej mowy starych towarzyszy Pułaskiego, owego Hektora szczęśliwej, bo pod Savannah w obronie zdobytej wolności ginącego, lub osiwiiałych w trzech częściach świata wojowników drugiego Prometeusza, który za to że nie rozżarzył w zupełności płomienia... legł na odległej skale przykuty?

Obok tego ziemiańsko-szlacheckiego kierunku, uwidomionego w *gawędach*, jeszcze drugim nurtem płynie twórcza i zbierawcza działalność Woycickiego. A ta (choć to wygląda na paradoks w oczach znawcy tego głębokiego rozdziału, jakim coraz bezpowrotnie zdady się technąć w ostatnich czasach Rzplitej dwa jój stany, niegdy tak braterskie), zupełnie będzie niezrozumiałą w swych objawach jak *Klechdy*, *Przysłowia*, *Piesni* i t. p., bez uwzględnienia powyżej usprawiedliwanego kolorytu jego szlacheckich obrazów. W nich tak ciągle rodzina nawodzi swemi barwami stosunki pana do podwładnych; tak serdecznie, dodatnio malowany jest karmazyn ziemiański: że nie widać z *gawęd* dysonansu społecznego z wieku ich treści, nieczuć tych bóli, które Czarnocki, inicjator *Klechd* wszelkich, a wróg typów z *gawęd*, tak jaskrawo uwydatnił zupełném odwróceniem się od źródła szlacheckich przeszłości dziejowej, by szukać ich w literaturze ludowej.

Nie widać i nie czuć tego wszystkiego w dziełach ś. p. Kazimierza, nie żeby świadomie je zatajał; nie dlatego <sup>1)</sup> żeby postępował jak „ci co dawne lata pamiętają, dni wiosny swojej i świat jaki je okalał, stawaają za wzór i przykład dla obecnej doby, widzą w swój przeszłości wszystko piękném, szlachetném, dobróm, a potyraní wiekiem, nie umiają dopatrzeć co przyplływ lat i postęp zdziałał w młodej generacji.” Inna tego jest przyczyna, a źródło leży w charakterze doby, na którą urodziny i rozwój młodzieńca przypada.

<sup>1)</sup> Jego słowa we wstępie do *Szkiców historycznych i z domowego życia niedawno ubiegłej przeszłości*, 1869, albo *Z dawnych dziejów i wspomnień naszego stulecia*, 1875.

Pamiętajmy, że rok 1807 widział w zaczątku lub rozkwicie szkoły czerwono-ruską (Bielowski, Siemiński, Kazimierz Brodziński i inni) i rycerzy poetów (Godebski, Andrzej Brodziński i inni) legionistów oraz dawniejszych konfederatów, reprezentujących ten sam bezwiedny niemal w Woycickim sojusz ludowości i szlachecczyny. Nie koniec jednak na tym jednym akordzie. Duch całej téj epoki, różne odcienia tego zestawienia przejawia. Wielkopolanin Berwiński w prozie, emigracyjny Słowacki i szkoła ukraińska w swém odcieniu hajdamackim (Goszczyński i inni), poetycznie uchwycili z pobudek politycznych jaskrawo ton antagonizmu i negacyi, wyszarpięty najgłośniej z skrwawionéj i potrzaskanéj piersi matki-ziemi przez Czarnockiego.

Szkoła litewska i emigracyjna wyraża stosunek patrymonialno-opiekuńczy, w całej gamie stopni od zaściankowego Syrokomli, który ma już w sobie coś z schłopiałości niechętnéj ciarachowi, aż do wielkopolskiego choć dodatniego autora *Psalmów*. Do tych szkół wypadnie dodać nietrwałą szkołę mazowiecką czysto ludową, która zabrzmiała w *Lirenką* i i., stopiła się z czerwono-ruską przez swe rapsody ze *Starych zbroi*, *Bolesława* i t. p. (Lenartowicz), od specyficznego prowincjonalizmu przerzuciła się do ogółu słowiańskiego (Zmorski), lub odcień Goszczyńskiego zmodernizowała (Wolski).

Jak z tego widzimy, niewątpliwie był odrębny okres w naszej literaturze i życiu porozbiorowém, za dzieciństwa i młodości Woycickiego, w którym to różnomierne (a cechujące ten okres) ważenie się elementu szlacheckiego i ludowego, dziejowego i świeżo powołanego do historii, może wytłómaczyć specyalne ich ułożenie się w Woycickim, jako jedna choć nie jedyna z licznych kombinacji tych samych pierwiastków.

Początek zaś tego okresu kładziemy w latach bliskich roku urodzenia Woycickiego; możebyśmy nawet położyli nacisk na ten rok 1807, a do tego skłania nas następna okoliczność. Wielka rewolucya francuzka 1789 r. znalazła w Napoleonie I, bądźco bądź rozsiewacza swych idei. Przewrót ten wprawdzie, jak wiemy dobrze, objawiający się przez zasilanie dawnych organizmów wyczerpanych nowemi siłami ludowemi, niez użytymi, i u nas przed Napoleonem się zaczęła. W sąsiednim, nigdy polskim Królewcu, Herder niemiecki, też same myśli rozwijał na polu literackim, a kroku mu dotrzymywał Krasicki u nas już w epoce rozbiorowój. Dążność sejmu czteroletniego, streszczająca się w § 4 konstytucyi 1791 r., a dająca jeno wyraz oficjalny samodzielnej uprzedniéj inicjatywie kierowniczych warstw Rzeczypospolitéj, nie co innego okazuje, jak występ owych szkół poetycznych i w ich łonie samego Woycickiego. Razem z rozerwaniem oków wewnętrznego rozdziału i zasklepienia, naród sam występował, choćby literacko w swych jednostkach z zasklepienia się w sobie wśród Europy.

Ale jak powiadamy, Napoleon w dziejach tych odrodzin niemoże być przemilczany, bo pod jego opieką rozwinęły się legiony, owa kolebka najpraktyczniejsza pojednania stanów dotąd rozdzielanych przez pochod prawodawstwa od XV wieku. Jak dewiza legionów Rzeczypo-

spolitéj cyzalspińskiej opiewała *ogni homini liberi-fratelli*, tak i ich członkowie przychodni i dla siebie najprzód i dla innych uczuli się braćmi. Ręka od pługą ścisłała dłoń od karabeli; pod obcym sztandarem, *Dekada* Godebskiego i ruchome niejako szkoły uczyły zbiegów być sobą; węzły karności legionowej bratały karmazyna, szaraka i „pracowitego,” może skuteczniej niż zachęty i przykład naczelnika z 1794 r., znajdujące niejedną przeszkodę. W ich poezyi téż zbratały się przed wiek kiedyś na jedną lirę przez Kochanowskich, Klonowiczów, Szymonowiczów, Zimorowiczów nawiązane dźwięki sielskiej i szlacheckiej muzy. Dzieci chałupy, dworu i pałacu wymieniały swe wyłączniejsze uczucia, uzupełniały w tony, rozszerzały w objętość swe serca, ogarniały niém przedmioty miłości nietylko swój ale i swych braci marsowych. Tak rósł ideał wspólny z różnych materyałów, z wspomnień dziejowych, i tradycyi sielsko-pogańskich; rósł w tém krzepciejsze, spójniejsze formy, że i dalekie kraje auzońskie swemi widokami natury czyniły wrażliwszém natchnienie, uszlachetniały je, wznosiły nad ciasne szranki światowe; że i ciągły znój wojenny, żywot biwakowy w obozach, bójkki nieustanne z podstępnyim nieprzyjacielem w podniecających wyobraźnią warunkach, więc względy zuane dające materyał do tworzenia, z drugiej strony, wyradzały tęsknotę za cichém napawaniem się wdziękami nieraz pierwszy raz poznanej przyrody. Jawneć to części składowe romantyzmu.

Tyłu tedy bodźcami podżegani do twórczości legionowi nauczyciele owych młodszych braci w duchu, ci poeci rycerze, przykładem odległych czasów, czynem przez się stworzonym natchnieni; ci nowi Minnesengerzy ojczystą ziemię i swe ofiary dla niéj miłośnie nucący, za pomocą jeno Napoleona działać mogli i poczęli; za jego pomocą w r. 1807 po pokoju Tylżyckim w roku urodzin Woycickiego, siejbę na obczyźnie wypielegnowanych ziarn przyszłości, rzucić mogli w odzyskanéj ówczesnie częściowo ziemi ojczystéj. Woycicki w pamiętnym tym roku utworzenia ze szmatka Rzeczypospolitéj Księstwa Warszawskiego, przyszedł na świat i w tę zasadę łączności wniesioną przez legionistów, dającą byt Księstwu z mlekiem i powietrzem wessaną, na całe życie uwierzył. Praktykę téj zasady najdobitniej zbiory ludowe Woycickiego wykazują.

Od skreślenia rozprawy konkursowéj na temat zadany przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk Warszawskie, z inicjatywy Kołłątaja: *o zwyczajach, obyczajach, podaniach, pieśniach i przysłowiach ludowych* rozpoczął się zawód Woycickiego, jako zbieracza tworów muzy ludowéj na wzór Chodakowskiego, ale nie z jego uczuciem. To téż gdy zbiory ostatniego poszły do druku jako praca Maksymowiczów, Kirejewskich, lub ugrzęzły w archiwach: *Przysłowia, Klechdy, Pieśni ludu Białochrobotów* i t. d., choć niosły w sobie mądrość, wiarę, obyczaje i zwyczaje ludu prostego, nie stawiały ich wrogo do literatury lub historyi szlacheckiej. Woycicki odrzucił teorię Zalewskiego, Zeysznera, Major-kiewicz, że lud zepsucie swe składa w swych utworach poetycznych;

że w swój literaturze spowiada się ze swego upadku moralnego. Wyrzekł się tego poglądu, który zaprzeczał oczywiście możności dobytcia (za Czarnockim) historii, heraldyki, geografii z tój kałuży niecnoty i rozpusty, jak tóż i teorii tych, co uważając umysł ludu prostego, za *tabula rasa*, kazali się na niej zapisywać przesądom świata klasycznego za sprawą kościoła (Berwiński), przez co znów odsądzono lud od samorodnej literatury, od indywidualności umysłowej, chcąc na niej zrazu odrodzenie całego kraju polityczne oprzeć.

Ś. p. Kazimierz nieprzezwał się Chodakowskim, ani Wacławem z Oleska, w celach socyalnych, ale za to wypowiedział w swych dopiskach do różnych pieśni tóż samą myśl sojuszu dwu pomienionych stanów, co i autor *Psalnów*. Wszędzie gdzie się dało, szukał i podsluchiwał zagasyłch ech przeszłości historycznej, rycerskiej w przysłowiach i pieśniach pod strzechą wieśniaka wodzonych. Czuł on dobrze, że tak poniewierana przez jednych, wywyższana przez drugich, za kastę swojską, za najezdzców obcych nawet uważana szlachta nasza, wciąż nieustającym kołowrotem odnawiała się i zasilała u ludu, z którego zastugą i urzędem i pasowaniem wyrosła, z którego na rody urobiły się dziedziczne. Dla tego tóż śmiało Woycicki szukał złomków szlacheckiej tradycyi w uściech wieśniaków, bo czuł że w obu były niegdyś jedne uczucia; jedne obu wesele, jedna była obu żałość. Więc coraz pod pieśnią, którąby inny może poczytał za złomek wariantowy, za romans osnuty na obrzędzie jakimś pogańskim, Woycicki podpisywał to żale Ludgardy, to zabicie Ziemowita i porwanie Konrada w Ujazdowie 1262 i t. p. Słowem wszędzie dwa wątki społeczne motał w jedno pasmo, wiązać chciał w coraz grubsze powrósta i liny, by niemi z raf i haków ściągnąć uwieźły korab<sup>1)</sup>.

I tak amalgamował w swych życzeniach istotnie odrębne stany, że utwory jednego, mylnie co do krytyki, ale jak wzniośle co do uczucia, przypisywał drugiemu <sup>1)</sup>. I wszystkich tak chciał pobratać, wszystkich zestrzelić w jedno ognisko jedną miłością tego co swoje i dobre. W tём uczuciu miłości przyjmował milcząco najzjadliwsze krytyki: jeśli dobra (mówił), nauczę się; jeśli zła, sama upadnie. I kochał krytyka swojego po dawnemu, gdy odczuł pod grotem przeciwnika dłoń, po ten sam cel co on sięgający, gdy w tonie może ostrój nagany dosłyszał tych dźwięków, które na niego jak surma bojowa działały, nową młodością choć na chwilę starca krzepiąc.

I zrozumiał naród, że tu pisarz osiwiwały, co oręż na pióro zamienił, tak pierwszym jak drugim za swego bojował, jego przyszłości służył, czy to krew lejąc niegdy, czy tóż do śmierci moszcząc swemi dziełami dostęp do przeszłości, odcinanej coraz głębszą otchłanią niepamięci od współczesnych; więc w Warszawie odbył się dwa lata temu, 15 maja, jubileusz pięćdziesięcioletni skromnego człowieka; przy

<sup>1)</sup> Por. odniesienie pieśni wyraźnie dworskiej: *pieśń sieroty*, do źródła ludowego *Bibl. Warsz.* 1879, III 131.

znaku zasługi pierwszej, błysła oznaka zasługi drugiej. A zbiegli się do grodu nadwiślańskiego ze wszech stron reprezentanci tak przez jubilata ukochanej ziemi. I składali mu hołdy: akademii Krakowskiej, i wielkopolski Kościelecki, i podlaski Rządowski, i nadniemeński Pietkiewicz i inni słuchając poloneza Kurpińskiego, którym witano jubilata; myślałeś że prawdą już stał się tekst jego, tak zrzeszyła się dla uczczenia miłośnika całej przeszłości cała jej część obecnych reprezentacya.

Powtarzał się Woycicki — rzeknie jednostronny krytyk. — Słusznie zgasły starzec w ciężkim znoju całego żywota *powtarzał się*, wracając z lubością do wspomnień młodości. Słusznie ciągle na różne tony powtarzał święte zasady miłości i czci i służby dla wiary, dla kraju, dla jego przeszłości; wciąż, bez znużenia, mówił o świętości rodziny, o pracy w niej i dla niej, o obowiązkach obywatela, pisarza; wciąż powtarzał czynem, słowa, wciąż z czynu brał pochop do słowa. Słusznie powtarzał się Woycicki, bo godłami po wieki prawdziwych ludzi są godła jego wiary i życia. To jest nasze *credo*, któremu gorące potwierdzenia nadają wyrazy kaznodziei, na nabożeństwie żałobnym za duszę zmarłego wypowiedziane, oraz dwie mowy miane nad samą mogiłą.

I powtórzymy za innymi:

*Niech ziemia, którą tak ukochał, będzie mu lekką.*

6 sierpnia, 1879 r.

*Ernest Swieżawski.*

# CNOTA I WYSTĘPEK.

RZECZ O ROZWOJU DZIEJOWYM WYOBRAŻEN O CNOTIE \*).

PRZEZ

*Wojciecha hr. Dźieduszyckiego.*

KSIĘGA DRUGA.

**Świat klasyczny.**

ROZDZIAŁ I.

**Grecya pobożna.**

Nie wiem już gdzie powiedział Goethe, że Grecy starożytni nie czynili sobie bogów nakształt ludzi, że przeciwnie ludzi na podobieństwo bogów kształtowali i powiedział prawdę. W tém właśnie wielka różnica między Grecyą, między Europą może całą a tém, co nam się podobało Wschodem nazwać; w tém przełom i rozdział dwu dziejowych światów. Na Wschodzie człowiek tylko mdłym cieniem bóstwa, pozbawionym wszelkiej samoistności; na Zachodzie—potęgą, co samoistnie światem włada, za czyny swe odpowiada, o losie swym stanowi i nawet śmiałym lotem myśli bogów zmierzy i przeniknie ich istotę: tam ludzkość śniła tylko o tworcach niezmiernych, dziwacznych i cierpiała tylko biernie; tu na jawie myśli, bada i działa.

Jak zawsze i jak wszędzie tak i tu przyroda poczęści wytkómaczy duszę człowieka. Nie służy mu niewolniczo jak w równinie Eufratu, nie łamie go potęgą swoją niezmierną, jak wśród indyjskiej puszczy. Stawia opór, lecz da się podbić. I nie jest ową przyrodą bez granic, wśród której człowiek tonie; ma wszędzie kresy i granice, każda ojczyzna w Grecyi nie większa nad to, co okiem obejrzysz, patrząc na dwie graniczne skał ściany; a morze jakby kraniec świata niedaleko; góry na których mieszkają nieśmiertelni zuchwałe i piękne, a przecie przystępne dla ludzi i trzód. Bez lęku zbytniego spocznie pasterz lub śpiewak na opoce, na której wiara kładzie duchowną niewidomą siedzibę Zeusową, a król na godach ujrzy wszystkich królów helleńskiego świa-

\*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za lipiec r. b.





ta, i zna ich lik i każdego nazwie po imieniu, a gdy na morze siądzie, wie że za dwa dni na przeciwnym stanie brzegu. Człowiek przejrzy świat.

W małej przestrzeni jest wszystko. Są rzeki i morza, góry i doliny, a wszystko ma swoje granice, które Greczyn zna. I król narodu, w swoim powieście bezpieczny, jest dumnym, bo wie że na ziemi niemasz nic, coby wzrosło ponad jego głowę. A każdy pasterz królowi poda rękę i jak równy mówi do równego. Niemasz wschodniej zawieruchy, coby z szelestem przeleciała nad głową, wirując drzewami wyrwanemi z korzeniem i coby mówiła o wszechpotężnym niedostępnym Bogu; wicher człowieka sługą, niesie przez morze korabie z żeglarzem. I niemasz wschodniego despoty, co w niedostępnym pałacu mieszka jak bóstwo wszechmocne opodal od ludzi; król człowieka przywita, wejrzy do chaty niewolnika, pospołu z ludem je i pije i pieśni słucha, a czasem znie się, że go poddany skarci za czyn nieprzystojny. Niemasz kapłanów świętych co przechowują straszne bogów tajemnice; każdy Heleńczyk kapłanem, każdy sam bogom niesie przed dom ofiary, sam po znakach niebieskich bogów odgaduje wolę. Wszak chodzi po miejscach, gdzie się rodzili, gdzie kochali, a nieraz nawet i boga jakiego zdybie, gdy w ludzkiej postawie chodzi po Peloponezie, chcąc pomódz człowieczemu przyjacielowi. Wszak przodkowie zastużeni, umarli—to także prawie bogi, którym niosą ofiary; wszak człowiek po śmierci i sam się ofiar дочека; wszak gdy zechce każdy się dowie świętej bogów tajemnicy, którą objawiają w misteryach Demetry, a naddziadem każdemu bóg Olimpijski, a często sam Zeus pan świata piorunowładny.

Tam na niebie mieszkają narodu święci przodkowie, bogowie wiecznie młodzi, wiecznie szczęśni, wedle słów poetów nieśmiertelni i biesiadują. Jest tam wielka komnata, której ściany i której sufit cały obity złotemi połyskującemi blachami, a kolumny groźne doryckie dzielą komnatę na trzy nawy. Kolumny z białego przezroczystego marmuru, a brzegi żłobków i głównic złocone, połyskują w świetle słonecznym. W środkowej nawie wielki stół rozłożony i białym obrusem nakryty, a dokoła stoją białemi runami wyścielone cedrowe ławy, i woń miła w komnacie, bo w głębi na złotistém ognisku, naprzeciw drzwi złoconych i misternie kowanych, płonie wieczne ognisko, piękne ognisko bogów, w którym trzeszczą wonne polana cedrowe. Na pierwszym miejscu na złotych krzesłach siedli Zeus i Here w szatach z purpury. On mąż brodaty o obnażonej piersi i włosach podobnych do grzywy lwa, trzyma w prawicy berło. Na posadzkę z obłoków złożył jaśniejszą błyskawicę wiązaną, a lewicą trzyma puhar złocisty pełny nektaru. Orzeł siadł na poręczy tronu i nagina głowę, skrzydła rozwarłszy napoły, by się napić nieśmiertelnych trunku. Przy Zeusie Here białoramienna bogini, o turzej źrenicy, także z berłem siadła w rękę a przy niej paw' pstropióry roztaczał ogon lśniący. Dalej inni siedzieli bogowie i śmieli się, nadzy a piękni, a w jednej bocznej nawie grały Muzy o złotych trzewiczkach, w drugiej tańcowali swawolni faunowie. Wszak wszyscy znacie owe greckie bogi i ni trzeba ich wymie-

niać; wiećcie jako żyli, jako wojowali, jak kochali, jak się kłócili i goździli i wciąż biesiadowali; i otoż wiećcie że helleńscy mężowie na wzór bogów żyli pełni ufności w siebie i w nieśmiertelną chwałę.

Owych mężów pierwotnych, cnotliwych; owych bohaterów szybko-nogich opiewał zawczasu u świtu dziejów Homer ślepy; i pieśń jego doszła do uszu naszych, jakby szum dalekiego morza, jakby granie niezrównanej kapeli gdzieś hen! aż za górami. Z martwej mowy słów nie występuje już dla nas na jaw cała tęcza barw, ale zawsze żyją w pieśni ludzie, i żyją lepiej od tych o których spisał foliasty dziejopis późniejszy. Nic to nas nie obchodzi czy Agamemnon żył i czy jegoto kości odnaleziono w Micenach w grobie, jako nas nieobchodziło to że baśnią wierutną rycerze Iranu. Dla nas naprawdę żywemi ideałami cnoty: Achilles i Odyszej, boskimi niewiastami Helena Argiwska i Amikleńska Penelopa. A że znacie wszyscy ich dzieje, powtarzać ich niepotrzeba; dość będzie przypomnąć sobie i wam na czém zależała owa boska cnota przedwiecznych bohaterów, co naprawdę w niczém nie była podobna do tego co nasz wiek pochwali u fabrykanta-filantropa manczesterskiej szkoły, u nabożnego wiejskiego proboszcza, albo nawet u szlachcica, co mówi o sobie z przechwałką że jest człowiekiem starłej daty.

A najpierw spójrzmy z kolei na Achilla, Pelejów syna. Przedewszystkiem cnotą jego że piękny, rosty, silny i chyży, i że jak bóg jaki powozi i włócznieą ciska; choć woźnica i bohater, Automedon podobno lepiej jeszcze umie zażyć konie od Achilla; i w tém wszystkiém Achilles podobny do indyjskich królów Ardżuny i Nala; i jak Ardżuna jest odważny, lubo pewno wśród bitwy niestanałby do metafizycznej rozprawy. I on wprawdzie w lesie chowany na surowej postudze, przez mędrca Chyrona, co napoły koniem a starcem napoły; ale nauka ta nie kazała mu panować nad sobą. Wszystkie dary wziął po matce bogini i wziął odwagę, co po naszymu mówiąc, ani jego winą ani zasługą, a tém bardziej po starogrecku, cnotą. Niesie go animusz między wrogie szeregi i póty walczy, póki go animusz niesie, póki mu bóg pomaga. A jak wroga zabije, zwłok nie uszanuje: kopnie je nogą, albo przywiązawszy ciało do rydwanu powlecze po piasku. Gdy czasem łęk doń przystąpi, ujdzie z bitwy krzycząc jak dziecko i niewstyd mu tego, bo wie, że częściej będzie dzielnym jak lew, co mężny bez wszelkiej zasługi. I niewstyd mu się przyznać, że się śmierci boi, i że wolałby być oraczem ostatnim i parobkiem na ziemi, jak królem w krainie umarłych; bo gdy przyjdzie wybór czynić między przyjacielem a życiem, da życie a przyjaciela pomści; bo gdy zechce, potrafi mimo obawy pójść śmiało, w uniesieniu, na śmierć. Patrokl nigdyś przybył do niego do Tessalii wygnańcem; zabił u siebie doma człowieka w kłótni i musiał przeto kraj opuścić i siadłszy u królewskiego ogniska w dalekiej stronie, stać się cudzym sługą. I został sługą Achillów, a ze służby druhem i przyjacielem, i wdziawszy raz Achillesów zbroję zaginął w boju. Wtedy Achilles postanowił mścić się, i choć go matka bogiui srebrno-

noga Tetyda przestrzegła że mu zginąć przyjdzie, skoro pomści przyjaciela, poszedł w bój dla przyjaźni i chwały i wybrał dobrowolnie śmierć; i walcząc zwyciężał nawet promienne, jaśniejące bogi, co mu zachodziły drogie.

Gniw w nim budził się szalony, ilekroć mu kto nieoddał czi którą mu był winien, ilekroć nieoddał działu przy łupach. Miał brankę którą zdobył w spalonym mieście i którą sobie ku zabawie chował w namiocie. Brankę mu odebrał król królów Agamemnon, a on wśród wojny odmówił królowi pomocy i cofnął się do namiotu, wiedząc że jego odwrót sprowadzi klęskę niechybną na wojska jego narodu; i klęska nastąpiła, by wyraźniej zajaśniała boska cnota jego ramienia—aż i jego przyjaciel zginął w boju.

Ale jako gniew szalony jakby pożar jaki szybko zapalał jego duszę, tak i mijał rychło, gdy mu zadość uczynił ramieniem. Wtedy stawał się litościwym bohater i czczył wroga cnotę, oddając ciało ojcu splakanemu, albo paląc je sam na stosie.

Był to mąż gwałtowny i porywczy, co się bogacił łupem i mniemał, że cześnym jest rzemiosło rozbójnika; lubiał wino i branki, dbał wiele o chwałę a mało o ojczyznę, dawał datki szczerde, nieznosił nikogo nad sobą, a bywał przyjaciелеm, co przyjaźń przekładał nad życie.

Innym jest Odysej, ale także mężów wzorem. On już wie, że nawet bohater, gdy sam, łatwiej ulegnie, że bez ładu i posłuchu giną narody, wojska, domy. On już wie że podstęp często więcej może od odwagi. To też podstępu nie szczędzi, kłamie bezczelnie, zawsze gotów przysięgą poprzec skłamanie; choć bogów się boi i bogów oszuka w potrzebie.

Zresztą kocha żonę, choć jej niekoniecznie wierny; kocha dom ojca starego i rodzinę, i gdy mu bogini Kalisto ofiaruje wieczną młodość i nieśmiertelność na ostrowiu wonnym wśród morza, woli sam na łódce przez groźne bałwany, narażając życie, płynąć do Itaki i do żony. Za druhów stoi, myśli o ich ratunku, a gdy przybył do domu działa ostrożnie a statecznie, ale mściwie. Tam ludzie lekkoduszni przybyli objadać dobytek jego, jako gachy jego żony. Jako dziad przywłókł się do nich, ale niedługo a okazał boski rozum, boską cnotę; spiął łuk którego zaden z nich spaść niemógł i wystrzelał co do nogi; potem złe sługi srodze ukarał, a dobre nagroził, człowiek co doświadczył wiele, co ramię miał potężne i rozum przenikliwy.

Penelopa, co prawda, wierną żoną i jeśli już kto, to ona i u nasby się zwała cnotliwą. Jak Odysej przez morza i lądy dąży tęskniąc do Itaki, tak ona doma czeka stale i cierpliwie. Już wszyscy co ciągnęli pod Troję wrócili, już niemasz kogo co by nie wierzył że Odysej gdzieś skonał wśród toni, albo na nieprzyjaznym zabity brzegu; a ona czeka i spodziewa się zawsze. Najechali dom jej hałaśliwi gachowie, a ona statecznie odmawia nowych ślubów, choć widzi jak natrętne druzyny zniszczą dobytek upartej a bezbronnej wdowy. Niczewystykiem bez trudności jest; choć z serca gachów nienawidzi, choć darmo męża

z płaczem czeka, choć syn matczynych rządów niecierpliwy, gdzieś się wymknął z Itaki pokryjomu; chce przecie Penelopa przypodobać się tym których niecierpi i gdy schodzi między gachy na biesiadę, schodzi okrasivszy twarz wonnemi, barwnemi olejkami. Lecz o miłości i nowym ślubie słuchać nie chce. Obiecuje, że męża weźmie, gdy skończy kobierzec, a kobierzec w dzień wyhaftowany w nocy pruje; serce jęj nie zezwala brać gorszego męża, gdy miała wpierv Odysseja bohaterą. To téż wreszcie po latach dwudziestu samotności, wyniosła między gachów łuk męża i rzekła, że odda rękę temu, co łuk ten napnie, co jak mąż jęj boskie posiędzie siły. I nikt łuku nie napiął, jeno przebrany za żebraka Odyssej, co wymordował gachów natrętów i cieszyła się boska Penelopa wróconym małżonkiem wśród komnat cienistych. Ale niebierzcie jęj wierności za prawowitą cnotę nowożytnęj żony. Wspañiałego miała męża, bohaterą i kochała go, bo inaczej czynić nie mogła i po dwudziestu leciech nawet nie mogła się pozbyć jego pamięci. Małymi, złymi się wydawali wszyscy inni mężowie, aż kiedyś już po męża powrocie zjawił się w Itace w komnatach sam syn Zeusów, bóg cały, Hermes lotny i młody. A wtedy ścił się Odyssej śmierteluy i bogą pokochała wielkiem sercem boską wśród niewiast Penelopa i uszła z domu mężowskiego nocą i pokryjomu z bogiem promiennym i wraz z nim zamieszkała wśród gór i ostępów lesistęj Arkadyi, kędy zrodziła najmłodszeo z bogów Pana kozłorogiego.

U pięknych i dobrych, u boskich bohaterów stawała namiętność nieprzewyciężona. Dawały ją bogi, dawało przeznaczenie: jako bogów było darem że nad inne niewiasty piękną była Helena, tak z bogów tylko sprawy miała serce niestałe córa Ledy pięknowłosa. Bogi to sprawiły, że uszła od męża miłością wiedziona córa Zeusowa z Parysem trojańskim; bogi to sprawiły, że przez nią bój stanął straszny, że konali męże, że miasto spłonęło, że niewiasty poszły płacząc w niewolę. I nie było w tém jęj winy. Gdy późniejszemi laty poeta zuchwały Stezychoors śmiał w odzie boską przekląć, pokarała go ślepotą, i sprawiedliwie, bo bosko przecie działała, gdy wdziękiem i krasą paliła grody. Nie to cnotą bywało u bohaterów, co cnotą zwiemy; to cnotą—co podziwiać musimy.

Lecz nie długo stało na ziemi wśród śmiertelnych ludzi bohaterów pokolenia; nastali zwyczajni jak my ludzie, i bogowie odmówili im wspaniałości dawnęj. Dziesięciu niestarczyło na to, by dźwignąć głaz, którym w boju ciskał Ajaks Telamonów syn, a ośm najpiękniejszych niewiast w jednym greckim grodzie musiało się złożyć na to, by wybierając u każdęj co najlepsze, malarz mógł odtworzyć oblicze argiwskiej Heleny. Więc na to by być świetnymi i możnymi jak bogowie ziemi śmiertelni, na to by posiadać grecką cnotę, musieli sobie sami radzić późniejsi Helleni; musieli teraz zarabiać na podziw, musieli wspólnie trudzić się tém, czego pojedynczo zdziałać nie mogli. Musieli założyć grody i ustanowić nad sobą prawa święte.

Powstały tedy dwa rodzaje grodów w Helladzie: Joński stanął gród i gród Dorycki. Doryckiego wzorem od początku Sparta, Jońskiego zrazu Sibaris w południowej Italii, a potem Ateny.

Doryjczycy byli garstką wśród pobitego ludu, i w Sparcie było siedem tysięcy panujących Spartyatów pośród trzech kroci Peryojków i Helotów, to jest poddanych i niewolników; a gdy dopowiemy że Spartyata był przyrodzonym wodzem i innych Hellady rzeczypospolitych, pojmiemy że był jakby bogiem pośród ludzi. Miecz dzierżył w rękę, gdy dokoła niego chylono się w pocie czoła nad pługiem; panował, rozkazywał, gardził jakby bóg jaki. Miał władzę i warto było by wszystko czynił by zachował tę władzę. Ustanowił tedy nad sobą prawo srogie, i był kornym i ubogim. Spartyaci wojskiem byli tylko, ich miasto obozem, i wyrzekli się wszelkiej nieżołnierskiej uciechy by zachować panowanie. Wszyscy żyli w ubóstwie, dzierżąc każdy równą schedę, siedzieli w drewnianych domach, odziewali się zawsze w czerwone siermięgi i latem i zimą niedogodne; jadali razem i ukradkiem tylko do żon się zakradali, a dzieci chowali w straszliwym rygorze, o poście i chłodzie, a młodzieńców zaprawiali do cierpienia, każąc im się biczować przed świątynią Artenudy do krwi, do kości, często do śmierci bez jęku, bez skargi. I zaprawiali wszystkich do walki i okrucieństwa; dzieciom kraść kazali; kazali im w zasadzce czekać na niewolnika i zabić go jak zwierzynę, kazali bić się zacięciem pazurami i rękami z towarzyszem co większą karnością na większe u starszych zasłużył pochwały; kazali chodzić po mieście milcząc z wzrokiem zwróconym wprost przed siebie, i starszych milcząc i ślepo słuchać kazali. I tém zaprawiali do tego co daje panowanie, do nieugiętości i karności, do panowania nad sobą, do wstrzemięźliwości i braku litości wszelkiej. Nawet niewiasty w Sparcie były to harde mężynie co trzymały rząd i berko nad niewolnym tłumem; żony wierne, matki srogie, nieubłagane panie. Dziewice nagie ćwiczyły się wraz z młodzieńcami, i potem dawały się wykradać za chłopców przebrane. Matki i żony mówiły mężom ciągnącym w bój; „Wróc zwyciężcą, albo niewrót wcale!” Płakały wtedy, gdy syn uszedł z pobojowiska; cieszyły się, gdy poległ.

Hart żołnierski, pieśń bojowa nieobce były Sparcie; gardzono płacziwą skargą Jońskiego poety; niedbano o potoczystą przekonywającą wymowę. Słowa Spartyaty winny być krótkie jak na żołnierza przystało, i starsi tylko radzili, lud słuchał świadcząc okrzykiem że się na starszych wolę zgadza. Milczący, głodny, posłuszny dzierżył Spartyata chwałę wojenną i nad obcymi panowanie i tém był podobny do bohaterów dawnych.

Jończyk przeciwnie obrał sobie za cnotę przepych i bogactwo, a wiele Doryckich grodów w Sycylii i nawet w Peloponezie poszło za Jonów przykładem. W przysłowie przeszli Sybaryci, i obok nich wczasy Milezjczycy.

Tu orano ziemię, liczono trzody, puszczano się za zyskiem na nieznajome morza. Tu swobodnie a często burzliwie radzono społem

na rynku o zbójeckiej albo handlowej wyprawie; tu same prawa ka-zały myśleć o bogactwie. A zato z dwojga: z panowania i rozkoszy, rozkosz miano. Biesiadowali męże w komnatach jak owe Olimpijskie komnaty, pili wino po którym pływały listki wonne pulchnej róży; leżeli na łożach usłanych z listków kwiatnych przykrytych babilońskim kobiercem, i słuchali płacziwej rozkosznej Lidyjskiej muzyki. Jako słońce najlepsze na niebie, a woda najczystszym napojem, tak cnota najwyższą było bogactwo świetne i złociste. Nie wstydził się poeta u końca pieśni zebrać o złoto a tego chwalono co złota miał wiele. Mąż piękny i dobry wioził wszędy z sobą niewolników całą trzodę, by dowieść, że jakby Bóg jaki bogaty i niewybrał się w swaty, by z sobą nie powioził i psiarzy, i sokolników, i rybaków, i grajków i nawet konie do płasów przyuczone. Boć koń co do boju służył dawnym bohaterom, koń Medycki, biały, długogrzywy, miał być już tylko świadkiem bogactwa to jest cnoty i szczęścia, i niebyłoci czynu bardziej chwalonego nad to, gdy kto wychował konie co w wyścigach zwyciężały. Temu stawiano posagi, tego opiewali poeci, chwalać go pod niebiosy. I ta cnota mogła być także udziałem niewiasty co żyła w roskosznym ustroniu wśród niewolnic tłumy <sup>1)</sup>.

Zwyczajnie jednak niewiasty i pacholecia cnotą piękność była, dar bogów, po bogactwie najlepszy, dar co daje takie panowanie nad ludźmi i także drugim rokosz sprawia. Jedne niewiasty chowano za własne żony w ukryciu dzieciom na matki. Drugie, cnotliwsze pono, chodziły na biesiady mężów cieszyć pięknoscia, pieśnią i dowcipem.

Powiadam! gdyby nie śmierć, choroba, byłoby to życie jak u bogów na Olimpie; gdyby nie śmierć i choroba, i jedna rzecz jeszcze: przemoc.

Przemoc — oto rozkosznych Jończyków nieszczęście. Nietylko przeciw zbrojnym Dorom niestało się do obrony, ale obcy, ale barbarzyńiec przyszedł nieraz, gród spalił, i lud wyciął lub zabrał w twardą niewolę. Trudnym to niebyło. Wszak raz gdy Sybaryci w bój pociągnęli przeciw Krotoniatom, nietrzeba było innego fortelu by ich zwyciężyć nad ten, że Krotoniata zagrał na flecie pieśń taneczną <sup>2)</sup>; wtedy to wszystkie konie Sybarytów stanęły uczonego dęba, i płasć zaczęły, a stał Krotońska wnet pocięta na kawały zniewieściących jeźdźców. Ale nietylko przed obcym trudno było się obronić, i swój stał się groźnym, stał się kłeską gdy tylko śmiało i bezwzględnie szukał na ziemi bogów doli, gdy chciał silną wolą panować i żyć rozkosznie, i nie cofnął się przed żadnym środkiem by swego dopiąć celu. Wtedy najęci żołnierze lub podburzeni ubodzy napa-

<sup>1)</sup> Porównaj z epinicyami Pindara a głównie z 4-tą Pitejską, z opowiadaniem o Sminderydesie u Atencusza i Dyodora Atencusz XII 520 c.

<sup>2)</sup> Czytaj Dyogenesa L. Peryandra i Herodota I 20 i nast. III 48 i nast. V 92; Dyodor IX.

dali na domy bogatych i zmuszali ich wszystkich do dani i niewolniczej służby. Wtedy wszystko co było w grodzie służyło jednemu, a ten wyglądał jak bóg jaki naprawdę, gdy jako pan życia, czci i mienia, ze złotą wstęgą we włosach szedł przez ulice i rynki otoczony strażą o połyskujących tarczach; wtedy nastawała tyranida nieznaną w Sparcie.

Taka tyranida powstała i w Doryckim Koryncie, co siadłszy na przesmyku w samym sercu Hellady zewszyskim z Jońska wiódł żywot bogaty. A wzorem i zazdrością tyranów był Peryander pan na Koryncie, co już po ojcu wziął pierwsze miejsce w Rzeczypospolitej. Przepyszną była jego stolica co na dwa morza patrzyła, pełna przemysłu i rozkoszy, i kto tylko chciał użyć rozkosznego życia, a miał za co, ten zajął do Koryntu. Najpiękniejsze posłuszne panu niewolnice mieszkwały w świątyni Afrodyty bogini piękności, a najprzedniejsi śpiewacy i grajkowie cieszyli pieśnią misterną pańskie ucho. I nie tylko te rozkoszy co wszystkich cieszą służyły Peryandrowi; na jego dworze szukano i inną bogów cnoty, głębszej myśli i badawczej mądrości, i ludzie poważni z całej Hellady, których słowa wszędzie chętnie słuchano, przybywali do Koryntu, aby z królem toczyć rozmowy o światów budowie, i rozum królewski tak zasłynął, że niebrakło tych coby go policzyli do siedmiu mędrców Hellady. Więc wszelaką posiadł cnotę Peryander i winien być jak bogi szczęśliwy.

A jednak tak niebyło. Mędrzy co u niego gościli widzieli po jego twarzy że nie rad ze swęj doli; wiedział pan że mu zazdroszczono i czuł że każdy radby zajął jego miejsce, czuł że wszystkim był w Koryncie zaporą i zdawało mu się że każdy nań ze sztyletem czyha. Z dniem każdym przeto żył ostrożniejszy, samotniejszy i bardziej ponury, raczej do piekielnego jak do niebieskiego bóstwa podobny.

Niegdyś w Epidaurze bawiąc u króla tamtejszego i pana Proklesa, ujrzał był jego córę, jak w powiewnej szacie robotnikom w ogrodzie nalewała wina, i wydała mu się piękną, jak na jego żonę przystało i poślubił ją. Ale zły los chciał, że z nią niewiele miał pociechy. Kochał ją, a jednak znenawidził, bo ujrzał że ona nad niego kogo innego przekładała. Niemógł na to patrzeć, niemógł tego ścierpieć, i wreszcie zadał ukochanej a niewiernej powolną truciznę, i lud cały widział litując się jako bladła i wędzła młoda królowa, piękna Melissa żona Peryandrowa i jako wreszcie umarła przedwcześnie. I lud cały przebacząc panowanie, stanął przy stosie na młodej pani greckim pogrzebie.

Ciało splanęło ale zostało wspomnienie; i odtąd Peryander nie usypiał po nocy. Po wszystkich komnatach zamku królewskiego błądził cień biały Melissy, stawał przy królewskiej łożnicy i budził zabójcę; a szedł za nim cicho, skoro się zerwał z łożnicy i biegł po zamku by niewidzieć i by zapominać.

Wtedy zwołał pan, napół oszalały, lud cały i wszystkie Koryntu niewiasty do świątyni Afrodyty, nakazawszy by żona każda przy-

oblokła co najprzedniejsze szaty; a gdy zeszyły się do świątyni pstrę tłumy, kazał straży napaść na niewiasty i zedrzyć z nich szaty kosztowne i świeciła ze złota i elektronu. Nagie wreszcie, na ulicę wypędziły strażę, a mężowie ściskali pięście w niemocnym gniewie. Wydało się oszalałemu mędrcom że pozbędzie się mary inściwój, gdy spali dla niej strojów tyle, aby Melissa na błoniach Elizejskich wszystkie przewyższyła strojnością heroiny dawne, i król obraził naród śmiertelnie a nie pozbył się mary.

Więc teraz coraz samotniejszy wśród grodu cieszył się król winem tylko i synami Psametychem i Likofronem; a z tych dwu, młodszy Likofron był mu milszym. Nierad ich puszczał od boku swego ale trudno było odmówić dziadowi ich, panu Epidauru, Proklesowi, gdy zażądał by mu wnuków przysłało. Wyprawił tedy synów w drogę Peryander i czekał ich powrotu niecierpliwie ponury i pijany. I wrócili wkrótce, ale jeden z nich był ojca wrogiem. Dziad Prokles żegnając się z nimi spytał się był o to, czy wiedzą kto zabił ich matkę, a spytał się tak znacząco, że Likofron wspominając nocne ojca strachy, zrozumiał straszną tajemnicę. To też skoro pacholę do Koryntu wróciło, oddaliło się od zamku ojcowskiego i chodząc po mieście wzywało wszystkich do nienawiści przeciw zabójcy Melissy.

Deklamator starożytny z czasów cesarstwa rzymskiego byłby się czuł w prawie opisywać tu, jakby powieściopisarz jaki całą boleść nową Peryandrową, i bodaj czy może zręczny opis, choć zewszakiem wymarzony, nie dodałby uroku powieści. Nowożytny pisarski obyczaj opisów takich nam broni, skoro tu o dziejową prawdę a nie o baśń jaką chodzi. Spisać tedy musimy to tylko, że Peryander zrazu usiłował Likofrona zwrócić z obranej drogi przez poselstwa i namowy a potem gdy te nie poskutkowały przez ukaz srogi. Kazał po mieście roztrąbić, że ktoby pod dach swój przyjął królewicza Likofrona, któryby go nakarmił albo napoił, ktoby doń choć jedno słowo przemówił będzie śmiercią karany. A że się w Koryncie bano i króla i jego straży, zrobiły się wnet pustki dokoła królewicza, i musiał sam milcząc siedzieć pod portykiem łaknąć i pragnąć i czekając śmierci, aż widać było, że chłopiec unrze z pragnienia a karku przed ojcem nie ugnie. Do zgłodniałego już, do ledwo żywego przystąpił Peryander sam, bo nie chciał syna tracić, bo chciał go ubłagać, ugłaskać, pokochać, bo chciał się nim nacieszyć. Przystąpił tedy do syna tyran dumny i zaczął go prosić by wrócił pod dach ojcowski; a królewicz spojrział na ojca gasnącém okiem, spalony już głodową gorączką i rzekł nieżłamanym niczem: „A nie wiesz, człowiecze, że karzą tu w Koryncie śmiercią tych co rozmawiają zemną.”

Wtedyto ojciec uczuł, że syn jego przełamał wolę. Dał mu statek i wysłał z drużyną na wyspę Korcyre, której rządy jemu powierzył. I tak okupił pokój. Ale bez syna coraz smutniej było w Koryncie zniemawidzonemu tyranowi, i niebyło komu berła przekazać, bo syn starszy Psametych był głupcem, a ojciec to widział



i wstydzik się tego; a wedle innych podania, Psametych nie synem był nawet, tylko synowcem. Postanowił tedy Peryander oddać Korynt Likofronowi o silnej woli, a samemu zamienić się z synem za wyspę Korcyrę. Gdy statek z Likofronem wjedzie do zatoki, wyjedzie statek drugi z Peryandrem, bo Likofron statecznie ojcu odmawiał spotkania, ale statek z Likofronem nie zawitał nigdy do Koryntu. Mieszkańcy Korcyry przelekli się zamiany i niechcąc rządów Peryandrowych, zabili niewinnego Likofrona, wiedząc że Peryander nieopuści Koryntu niezostawiwszy tam następcy. I nie omylili się Korcyrejczycy i omylili zarazem, bo Peryander nie przybył do ich wyspy dowiedziawszy się o śmierci syna i nie mieli tyrana pośród siebie; ale tém sroższy spadł na nich gniew królewski. Wszystkim Korcyrejczykom kazał synów porwać król i wyprzedać do Azji na rzezańców, a potem pił już bez pamięci. Nie przychodzili już więc na dwór nieszczęsnego poeci i mędry, a chyba Scyta kpiarz Anacharsys, co podówczas dziwactwem Greków bawił, przychodził pić o zakład z królem Koryntu. Anacharsys pierwszy pod stół się powalił a nazajutrz twierdził że wygrał zakład, skoro się pierwszy spoił.

Tak wśród płaskich żartów, wśród mar co mu wypominały mionie zbrodnie, i wśród brudnej pijatyki kończył Peryander dni swoje. A gdy mu już życie nadto zmierzło wybrał sobie w dziwacznej rozpaczności śmierć fantastyczną, w której poraz ostatni dumie k'woli stwierdził moc w grodzie nieograniczoną. Zawołał do siebie młodzieńca i kazał mu wyjść o północy i zabić człowieka którego zdybie przy grobowcu za miastem, którego imię wymówił. Potem osobno drugiemu, kazał wyjść nieco później i zabić człowieka którego zdybie wracającego od grobowca tego droga. Trzeciemu wreszcie znowu osobno kazał wyjść później jeszcze i zabić człowieka którego zdybie przy bramie wiodącej do grobowca. Dawszy te rozkazy, czekał wieczoru, i wieczór wykradł się cichaczem z miasta i siadł na grobowcu oznaczonym. Jego zabił pierwszy młodzieniec, zabójcę drugi, drugiego trzeci, i tak jeszcze po śmierci Peryandra spełniono jego wolę.

I takich ludzi bogatych i potężnych a znieawidzonych i nieszczęśliwych było w Helladzie więcej; i patrząc na nich przekonali się mądrzejsi wśród Greków, że nie panowanie, i nie bogactwo stanowią o szczęściu. A że szczęście u nich cnotą było, więc teraz zaczęli szukać innej cnoty. Poznali że ludziom śmiertelnym niewolno mierzyć się z bogami, uwierzyli że bogowie zazdroszczą zbytnej pomyślności i karzą za nią, i postanowili wstydlivszej cnoty szukać dla śmiertelnych.

Wtedyto nastał okres tak zwanych siedmiu mędrców, których różnie wyliczają. Ale podobno pierwotnie byli to Chylon Spartyata, Solon Ateńczyk, Tales z Miletu, Kleobul z Rodu, Bion ze Smirny, Pitak z Lesbu i samże Peryander z Koryntu. Ale gdy Peryander popadł w nałogi, zbrodnie i nieszczęścia takie, jakie mędrca spotkać niepowinny; gdy się przekonano że sama potęga i bogactwo przemocą na-

byte nie dają ani szczęścia ani boskiej cnoty, postanowiono szukać zastępcy Peryandrowego, by i nadal jako jest siedm gwiazd na niebieskim wozie, było siedmiu mędrców w Grecyi. Wtedyto zgłosił się ów wspomniany już Scyta Anacharsys do Solona, mówiąc że jego trzeba przyjąć do pocztu mędrców, bo choć obcym wśród Grecyi, lepiej od Greków pojął cnotę, lepiej od nich potrafi cnoty nauczać. On sam jeden żyje bez troski, gdy oni wszyscy to o jedno to o drugie dbają. Oni szukają kragłych pieniędzy, a on je ma tylko za liczmany; oni suszą sobie głowy nad prawami, a on wie że prawa chyba na to ustanowione aby było komu je gwałcić; pajęczyny to bezsilne, w których mucha ugrzęźnie a które bąk przedrze. Takie mowy i wieczna swoboda niedbałego barbarzyńca co nic nie miał do stracenia, niczego się nie wstydział i niczem się nie martwił: wzbudziły naprawdę podziw Solona, któremu były w pamięci nieszczęścia możnych téj ziemi, nieraz w mnogich podróżach widziane; nieszczęścia co spotkały jego przyjaciela Peryandra. Gotów był się tedy zgodzić by cudzoziemca przyjęto w poczet mędrców, ale żądał potwierdzenia wyroczeni w Delfach; bo przekonał się także w długim życiu, że ludzie niedorośli bogów nieśmiertelnych, i że bez ich rady i najmędrszy nie bezpiecznie począć niemoże. Zażądał tedy, by Anacharsys poszedł do Delfów i spytał się tam Apolina o to, czy niemasz w Grecyi mędrszego człowieka? Anacharsys usłuchał rady, i usłyszał odpowiedź boga przez usta kapłanki, jako mędrzec większy mieszka w wiosce Chenach u stóp Parnassu i zwie się Mizosem.

I oto zabolalo przecie coś Anacharsysa włóczęgę i wrócił do Aten niecierpliw. Solon wierzący, ze zdziwieniem usłyszał odpowiedź wyroczeni. Ich siedmiu znała przecie Grecya cała i czciła i podziwiała, a tu mówiono o mędrce większym od Anacharsysa, co zamieszkał gdzieś w górskiej wiosce i o którym on Solon nie słyszał jako żyw. Niemniej przeto uwierzył Ateńczyk, opasał biodra i greckim obyczajem udał się pieszo do Chen, każąc niewolnikowi nieść wszystko co potrzebował za nim. I prawodawca Aten stanął niebawem w chacie górala, co go uczcił jako gościa, odwiedzinami pewno zdziwiony, ale nie przerwał rozpoczętej roboty około naprawy pługa: „Mizosie,” zawołał Solon, może zniecierpliwiony tém, że górala tak mało wzruszyły odwiedziny tak sławnego męża, „dlaczegoż tak pilnie pług naprawiasz, przecież nieczas do orki.” Mizos odrzekł spokojnie: „gdy do orki czas będzie, zapóźno będzie pług naprawiać.” Gdy Solon usłyszał tę odpowiedź, zrozumiał słowa wyroczeni i odtąd Mizosa policzono między siedmiu mędrców Grecyi w miejsce króla Peryandra i włóczęgi Anacharsysa.

I w téj tak naiwnéj opowieści była cała prawda dla Greków, cała prawda, którą im powtarzali wciąż owi mędrce i która się u nich wrychle przyjęła. Przemoc i pycha nie dawały szczęścia i owszem sprowadzały gniew Zeusa niezawodny; ale i życie włóczęgi obzartego i bezwstydnego, a próżnego nie było cnotą; cnotą były: cicha praca, sprawiedliwość i skromność obywatelska, rzeczy co dają przyjaciół, bezpieczeństwo, spo-

kój i szczęście dla wszystkich prawie dostępne, co różnią Helena od barbarzyńca i zbliżają go do bogów nieśmiertelnych. Taką cnotę, gdy o niej raz usłyszał, chwalił każdy, bo nienawidzi się potężnego mocarza i miło tym co go zazdroszcząc występny przezwąć mogą; a każdy sprzyja cichemu i spokojnemu, a usłużnemu sąsiadowi. Więc nauką mędrców było niegonić za czem inném jak za mierném mieniem i dobrą sławą, skrzętną pracą odwracać od siebie ubóstwo co czyni człowieka złym i nieszczęśliwym, a ścisłym przestrzeganiem bronić wolności i równości obywatelskiej z bogów pomocą. Człowiek cnotliwy winien się starać o przyjaźń ludzką i przeto być usłużnym dla usłużnych, słownym i skromnym; winien wiernie przechować powierzone pieniądze, winien być gościnnym i gościa głowę strzedz jakby głowę własnej; winien pilnie radzić o Rzeczypospolitej, by każdy czuł, że gorzejby było gdyby jego ubyło; winien dla dobrych niewolników być dobrym panem i winien ich za zasługi wynagradzać wolnością, przez co miał przyjaciół wolnych i przez co zachęcał pozostałych w niewoli do pilniejszej służby. Podobnie winien wszystkich przekonać o tém, że źle wyjdzie na tém kto go krzywdzić zechce; winien przeto być nieubłaganym wrogiem, w potrzebie i podstępny i kłamliwy, a zawsze nieuleknionym; winien posiadać wymowę by mógł wrogom szkodzić w radzie, a karną odwagą by ich mógł gubić w boju. Niedosć było teraz słuchać popędów które dały bogi, trzeba było pracą taką oto cnotę wyrobić w sobie.

A ażeby nie ściągnąć na siebie bogów gniewu nieprzetłamanego, należało się składać im przepisane ofiary, chylić się przed nimi w pokorze, niepożądać tego co nad ludzi wynosi i zazdrość bogów budzi, dziękować za to co nieśmiertelni już dali, choćby mało dali, a dziękować z całego serca, uprawiać święte oliwki i matkę rolę, a nadewszystko inne strzedz sprawiedliwości, strzedz praw które bogowie zatwierdzili na to by stały, na to by istniały grody. Nie człowieka żadnego lękał się Greczyn, lękał się tylko bezprawia, bo wiedział że kała i gubi. Zabicie człowieka w pokoju zakała, kradzież zakała, krzywoprzysięstwo i fałszywe świadectwo zakała, niedotrzymanie przymierza i tchórzostwo w wojnie zakała; najgorszą zakała to, gdy kto wroga zabije w miejscu poświęconém bogom. Takie czyny gubią miasta i ludzi; kto ich unika i cnotliwie żyje, temu dadzą szczęście bogowie.

Wedle téj tu nauki, przestoczyły się niebawem Ateny pod wodzą Solona i stały się nowym wzorem miasta jońskiego, co już nie jak Sybarys żyło dla rozkoszy tylko, co nie poświęcało szczęścia dla władzy, jak to czyniono w Sparcie; miasta, w którym w pokoju mógł człowiek badać bogów naturę i tworzyć piękno nieśmiertelne. Niemniej przeto długo jeszcze została władza przy Sparcie, cnota spartańska doznawała czci za to, że była najtrudniejszą; podziwiano Spartyatów bo byli potężni, a niezazdroszczono im bo żyli w ubóstwie; Chilona przeto Spartatę stawiano na czele siedmiu mędrców i wiedziano dobrze, że Spartyaci pierwsi słuchali w Helladzie prawa i że byli bogom najposłuszniejsi. Królowie Sparty tedy byli dla cnoty przyrodzonymi wodzami Grecyi, przy-

rodzonymi opiekunami i przed tyranami i przed obcym najeżdżcą; oni wszędzie mieli poczesne miejsce i ufano, że gdy między grodami spór powstanie, spór rozsądzą sprawiedliwie; za ich przykładem czczono nade wszystko Zeusa w Olimpii i Apolina Delfickiego i do zdań przyjaciół nauki dodał Chilon Spartyata jeszcze trzy przepisy, które kazał wykuć na przyczołku świątyni w Delfach: „Znaj siebie samego! Nie czyń nic nad miarę. Za nic nie zaręczaj!” Temi trzema przepisami nakazał zupełne panowanie nad sobą i wierzył, że kto je zrozumie, kto się wedle nich wiecznie miarkować będzie, ten będzie szczęśliwym i pięknym i dobrym, ten będzie mógł żyć w pokoju i w weselu i będzie mógł używać darów boskich, patrzeć na piękno świata nieśmiertelne i jeśli boską posiadzie iskrę, piękno to odtwarzać, albo pieśnią, albo dżutem, albo malowidłem, albo wreszcie tańcem lub siłą ciała. Cnoty to przez bogów nie każdemu dane, ale które ten marnuje co je pracą nie ulepsza.

A jednak człowiek cnotliwy, wedle mędrców nauki, bogobojny, ostrożny i dobrowolnie prawu posłuszny, niemógł uniknąć śmierci i własnej i swoich, nie mogli go od niej ochronić przyjaciele. Niejeden ojciec co był wzorem cnot, płakał nad dzieci grobem, niejedna matka co bogobojnie doma siedziała, wełnę przędła, pieśni słuchała i bogom składała ofiary doczekała się tego, że najlepsze dzieci, skromne córki i synów dzielnych a prawych, chlubę jój, przed czasem poniesiono do grobu. I było to zagadką na którą nie łatwo było znaleźć odpowiedź. To jeszcze dało się pojąć, że starzec umierał, gdy mu już nie stało zdrowia i wesela i zapału. Ale czemuż umierali młodzi? Pieśń ludowa i poetów podanie prawily coś o tém, że bogowie nietylko o potęgę zdobytą przemocą zazdrośni, że zazdrośni i o piękne dzieci. Ale jakżeż to być mogło, skoro sami te dzieci dają? Nie mogli już w to wierzyć ludzie co dobrém zwali to co sprawiedliwe, a od przodków słyszeli że dobrymi są bogi.

Więc niedługo a inna odpowiedź stanęła na uściech Hellady. Mówiono odtąd, że śmierć nie nieszczęściem: że dobrodziejstwem. W Olimpii zwyciężyło dwu synów jednego ojca, a wtedy widz, boskiej świadom woli, przystąpił do ojca tego, co się cieszył synów chwałą i życzył mu śmierci, bo już nic więcej życzyć nie zostawało. Gdy Krezus król Lidyi pytał Solona o ludzi najszcześniejszych, wspomniał Solon o takich tylko co wcześniej pomarli, o żołnierzu co zginął walcząc w obronie ojczyzny i o owych dwu synach argiwijskiej kapłanki Kleobisie i Bitonie, których los wam w kilku słowach przypomnę. Oto matka ich miała wyjechać w dzień świąteczny na wysoką górę, na której stała świątynia Hery, a koni nie miała. Obaj synowie Kleobis i Biton, chcąc matce radość sprawić, wprzęgli się do jój rydwanu i wciągnęli ją na szczyt góry pośród podziwającego ludu. Matka tedy do łez wzruszona, błagała bogów przy ofierze, by dali synom to co najlepszego ludzi spotkać może. A gdy wracała z ofiary, zastała synów w przedsiени świątecznej umarłych.

Wszystko dobro, którego człowiek śmiertelny mógł doznać za życia było przyprawione goryczą; każdego spotkały troski, bole, zawody, choroby; a gdy kto żył długo, czekała każdego starość naprzykrzona. Jedno tylko było naprawdę przed cierpieniem schronienie, a tém schronieniem była śmierć. To téż późniejsza Grecya nie lękała się już krajin cieniów; naród wesoły, naród co żyć umiał, jak żaden inny ani przedtém, ani potém ukochał śmierć całą piersią, tęsknił za nią jak za kochanką i przedstawiał ją w postaci pięknego, a często sennego młodzieńca. Wszak sen najlepszą rzeczą; wszak dnia najszczęśliwszego nie przyrównasz do cicho przespanej nocy. Więc dlaczegóżby się miało lękać śmierci, co tylko snem głębszym i długim?

Powiadano, że niegdyś Midas spytał się mądrego satyra Sylena, co dla ludzi rzeczą najlepszą? a Sylen odrzekł: „Najszczęśliwszym o wiele ten, co się nie narodził; a kto już raz zrodzony, temu umierać o wiele najlepiej.”

A jeśli jednak kogo straszyla w śmierci nicość, jeśli kto się niepokoił nieznając krainy za grobem, jeśli był ciekaw i chciał uchylić zasłonę i na to była rada. Oddawna były w Helladzie miejsca poświęcone boginiom dobrym: Demetrze i córce jej Persefonie; boginiom dobrym, lubo były boginiami śmierci; oddawna śpiewano tam święte pieśni, tajne odbywano obrzędy; ale teraz w czasie siedmiu mędrców, nabyły te miejsca raptem większego znaczenia i zawitały do nich nowe obrzędy, nowe tajemnice: tam teraz tłómaczono i naturę bogów i życie pośmiertne. Tam powiadano, że dusza ludzka początku niema i końca, że z bogów duszą współtostna i że śmierci nie ulegnie; że człowiek po śmierci schodzi najpierw do krainy cieniów, gdzie żyje czas jakiś bez ciała, karany albo szczęśliwy, a potém znów się odradza człowiekiem albo zwierzęciem i że póty będzie się odradzał, aż trzy razy żyć nie będzie na ziemi sprawiedliwie jako człowiek; albo, aż nie stanie się mędrcem, albo aż w boju nie zginie. Tu uczono się modlitw, co od grzechu oczyszczały i słyszano naukę podobną do iudyjskiej, prawiącą o bogów i ludzi hierarchii, a tém tylko różną, że tamta nie dawała pociechy i nigdy nie obiecywała pokoju i żądała straszliwej ofiary, a ta ludziom cnotliwym i odważnym obiecywała wieczne szczęście na Olimpie, gdzie promienie będą w mocy: wszak przy tajemnicach świętych mówiono, że i bogowie niegdyś ludźmi byli, że na początku władała tylko ślepa konieczność i że nawet Zeus piorunowładny i szczęścia i berła dorobił się tylko ludzką zaskugą.

Takie to nauki wyrabiały naród mężny; niewiasty mężom poddać, przełożone nad niewolniki, uczyły synów cnoty i przechowywały bogów sprawy, a czasem z mężami puszczały się pieśnią w zawody, biorąc lutnię w ręce. Mężowie dla ojczyzny żyli i świętej przyjaźni i piękno tworzyli i praw słuchali i pierwszy raz zjawił się na świecie naród mężów woynych a karnych, bogobojnych a myślących, co żyć chcieli na ziemi, lecz żyć na wzór bogów nieprzemijających.

Takim był naród cały, a wśród narodu byli wybrani najcnotliwsi, prawdziwi bogów oblubieńce, co przeniknęli rzeczy istotę, a wzgardzili tępem, co przemija: to tylko ukochali co trwałe. Wielu ich było, ale tu kilku tylko wymienić mogę.

A najpierw o ludziach dwojgu, o rodzeństwie z Samos, o Temistoklei i Pitagorze. Pierwszy razto spotkamy u progu najtajniejszych misteryów wiary wiedzy niewiastę, boto też na Wschodzie kobieta wiary objawić nie mogła: mogła w Helladzie.

Jest zwyczaj powszechny prawie u dzisiejszych pisarzy prawienia o tępem, że kobiety greckie służebnicami były prawie i niewolnicami prawie: dlaczego? Nigdy się dopatrzeć nie mogłem. Chyba dlatego, że niezawszystkiem z mężczyzn się równały, że nie bywały obecnymi na pijanych biesiadach i że przyjaźń często zajęła miejsce miłości u mężczyzn; prawda, że ideał emancypantek nie ziścił się nigdy w Atenach, ale może nigdzie potem nie miały kobiety tyle znaczenia, co w Doryckiej Sparcie, a pełno kobiet na każdej kartce dziejów greckich i kobiety te bynajmniej nie są niewolnicami. I któż nie zna imienia Safony pieśniarki namiętnej, której zwrotki dreszczem przenikają serce, co kochała i kochaną nie była i w szalonym grzesznym obłędzie porzuciła Lesbos ojczysty i poszła na Akarnańskie skały i stanęła nad szumnym morzem na ostrym, stromym przylądku Akroceaunu i skoczyła ztamtąd do fali z wysokiego szczytu, by zginąć jak poetka i kochanka wzgardzona. Wiele wieków minęło, nim znówu taka poetka stanęła wśród ludzi. I nie chrześcijańskie tylko dzieje mają Johanny de Montfort i panie Chrzanowskie. Niebawem spotkamy heroiny, co z koroną na głowie rządziły narodami Grecyi, jakby Elżbieta jaka albo Katarzyna; teraz wspomnimy tylko Tegezylę. Król Sparty Kleomenes, co gardził boskimi zakony, najechawszy Argos, zastał pod miastem wojsko w świętym Here borze i wbrew prawu narodów, ręką bezbożną bór podpalił, tak, że wśród pożaru haniebnie wyginęli męże. I Argos stare byłoby napewno popadło w ręce Spartyatów tego wieczoru, gdyby widmo Hery trzęsąc berłem niby włócznią, nie było uczyniło trwogi w sercu króla świętokradzcy i nie wstrzymało go tego dnia w pochodzie. A nazajutrz było już zapóźno. Spartyaci zastali zbrojnych na murach grodu, a zbrojnymi były mężne niewiasty, wdowy po zabitych bezbożnie, powołane do boju przez jedną spośród siebie, której imię Tegezylla. I wrócił Kleomenes z hańbą do Sparty jako świętokradzca, pokonany przez niewiasty.

Niedziw tedy, że obok śpiewaczki i bohaterki, spotkamy myślicielkę i prorokinią.

Otóż przebywał w Samos człowiek niejaki, rodem z Lemnos, imienia Mnezarch. Nie był obywatelem Rzeczypospolitej i zajmował stanowisko podobne do tego, jakie mieli w przeszłym wieku u nas mieszczanie; zresztą miał się dobrze i trudnił się rytowaniem drogich kamieni. Otóż ten Mnezarch miał czworo dzieci: trzech synów i jedną córkę. Z synów Eubul i Tyren byli pociechą ojca i ludźmi praktycznymi i po

ojcu wzięli rzemiosło. Najmłodszy natomiast syn Pitagoras i córka Temistoklea, musieli nieraz zaniepokoić skrzętnego rodzica. Nie na życie powszednie, nie na to co chleb daje, zwróconą była ich uwaga. Temistoklea myślała wciąż o śmierci i o tém, co będzie po zgonie; Pitagoras był ciekaw wszystkiego co go otaczało, prócz jednego rzemiosła.

Gdy młodzieniec dorósł, wybrał się do szkół, w których uczono o naturze rzeczy wszystkich i to najpierw do Syry służyć Ferecydesa, a potem nazad do Samos, gdzie w ojczystym grodzie służył mniżej głośniego nauczyciela Hermodamanta. W szkołach tych uczono przede wszystkim tylko fantastycznej fizyki i Pitagoras celował w nich zawczasu. Ale siostra Temistoklea, która trwała uporczywie w panińskim stanie, zwracała ciągle jego uwagę na rzeczy ważniejsze wedle niej: na naturę bogów nieśmiertelnych, na życie pośmiertne i na grozę zgonu. Pitagoras tedy nie tylko celował w nauce szkolnej, ale prócz tego często mówił o rzeczach górnych i tajemnych, tak, że wreszcie syn rytownika zwrócił na siebie uwagę pana wyspy Samos Polikrata i został przyjęty do łaski pańskiej; na własne żądanie został młodzieniec wyprawiony do Egiptu, gdzie był ciekaw nauk kapłańskich; a dla Temistoklei wyrobił Polikrates większą jeszcze rzecz o wiele, bo sprawił to, że ją przyjęto do Delfów na kapłankę, by siedząc na trójnogu wśród wyziewów buchających ze świętej pieczary, wymawiała słowa Apolinowe. Tam mogła dziewczica nacieszyć się dosyć obcowaniem z rzeczami świętymi.

Po latach kilku pobytu w Saïs, powrócił Pitagoras do ojczyzny bywały i uczony, ale wcale niezadowolony z nauk egipskich. Ani o fizyce, ani o tém co mądrością prawdziwą być mienią, t. j. o nauce życia i śmierci nie wyrobił sobie na obczyźnie stanowczego przekonania i gdy się jego pytało czem jest? nie śmiał mówić by był mędrce: *Sofos*, je-no mówił, że jest przyjacielem mądrości: *Filosofos*. I dodawał do tego te słowa: „Ogół ludzi, szuka tylko jada i cielesnej rozkoszy na wzór zwierząt, ja zaś mądrości i pragnę i łaknę.”

Najpilniej mu było do siostry. Znał jej umysł i wierzył, że ona w obcowaniu z helleńskimi bogami doszła do tego, czego on darmo szukał w obczyźnie. I nie zmyliło go oczekiwanie. Temistoklea nie tylko na trójnogu prorokowała; prorokowała odtąd bratu i wtedy, gdy z nim chodziła po ogrodach lub pośród skarbów delfickich.

Na każdym kroku widać tu było pamiętki po wiekach minionych, ofiary bohaterów starodawnych, tarcze ich i zbroje, co nie przemigły, choć ich ciała spoczęły w grobie. A nad gajem świętym, jak ongi tak i dziś, żeglowało nieprzemijające słońce, krocząc tą samą co niegdyś i drogą po błękitcie; nie zmieniły swych kolei planety nieśmiertelne; na dawném miejscu jaśniały gwiazdy stałe, te same kwiaty wyglądały spod murawy, te same drzewa rosły dokoła w majestacie konarów i liści, to samo życie drgało w przyrodzie, to samo ciepło krążyło po żyłach ludzi. I pytała się Temistoklea, czy ludzie są naprawdę inni? A na pytanie odrzekła, że nie! Z jęto ust usłyszał brat, że napraw-

dę niema śmierci; ani dobrodziejstwem nie jest, ani karą, zmianą tylko, w której ludzie pamięć tracą i to nie nazawsze, bo mędrzec pamięć odzyska. A ję słowa popierały nauki, głoszone po świętych tajemnicach Demetri i Persefony.

Jeśli śmierć jest straszną dla ludzi, mówiła Temistoklea, to dlatego tylko, że sami straszną ją czynią. Ciała różne, stany, płci, narody, które duch przybiera w żywotach swoich kolei, to pozory, to nie naprawdę, to rzeczy, co tyle tylko ducha i prawdziwą istotę obchodzą, o ile ją zbliżają lub oddalają od celu, od szczęścia bogów. Mędrzec, co istotę swoją pojął, co zmienność żywotów przejrzał i znając wszystkiego nieistotność, przypomniał sobie wszystko co pamiętać warto, już blizki bogów i szczęścia, a sam nieśmiertelność dzierży już.

Duch, to ciepło żywota, to ogień święty, zamknięty w ciężkiej klatce z wody i ziemi, z której środka to tylko widzi, co pod zmysły podpada. Od ciała duch uwolniony widzi świat wcale inny. Ujrzała go na trójnogu najpierw, gdy święte z pieczary powietrze przyćmiło przed nią zmysłowy świat, gdy nie słyszała uchem, okiem nie widziała, nie czuła ciałem; wtedy to, bezpośrednio duszą ujrzała ów świat tajemniczy z za grobu; ujrzała umarłych, co bujają po powietrzu rojnie, czekając aż im Zeus nie każe wejść do wilgoci i zimna, co ciałem się zowie, a co przyjmą potem ciało wedle zasługi; widziała jaśniejące bogów postacie, co już po długiej żywotów kolei, pozbyły się urodzin i śmierci i po raz ostatni z boskich rodziców zrodzeni, żyją wiekuiście w ognistych, lotnych, przejrzystych postaciach, co całe ogniem tylko i duchem i szczęściem i wiedzą. Wtedyto Apollo jaśniejący wstąpił do niej ogniem swoim, ogień ję duszy rozplómił, światu okazał piękność niezrównaną i przez ję usta mówił wróżby nieomyłne.

I teraz wiedziała już, że tylko owe słowo urocze a zgubne, to ja, to moje, broni od duchów obcowania i od żywota wiecznego i śmierć na ludzi sprowadza i cierpienie. Ludzie w ciało się swoje zagłębiają, pasają je i cieszą i głaszczą. Łakną dobra, co ciało rozraduje, zazdroszą bogactw, o bogactwa, o jadło nienawidzą się wzajemnie. Troska ich i myśl o ciele tylko, prawo nawet ciała sługą; żywot człowieka w materji, myśl zmysłowa, a kłamstwo ciągle i pochlebstwo i podstęp na uściech. Każdy każdemu rękę jak bratu podaje, a myśli tylko jakby go zgubić i oszukać. I jakżeż chcecie, by lud chepliwy i próżny, kłamliwy i cielesny widział świat ducha nieznikomy, nieśmiertelny, święty i prawdomówny? Prędzej ślepy ujrzy barwę, niżli samolub prawdę?

Dwie tylko bywają chwile w zwyczajnych ludzi żywocie, w których się wydobywają z ciała, w których słyszą duchów głosy. Chwilami temi sen i blizkość śmierci. Wtedyto węzły, co łączą ciało i duszę zwątlone, samolubstwo mdleje i prawda się jawi. Ale ludzie stoją o to, by się i te widzenia mąciły i zamieniły w widziadła niejasne; obzarci kładą się do łoża i we śnie nawet ciało syte bierze górę. Zabijają ciągle jak nie ludzi w wojnie, to zwierzęta, to rośliny, dla jadła, dla zaba-



wy, z nieuwagi, zapominając, że duch siedzi we wszystkim co żyje, że wszystko ma prawo żyć i że w zwierzęciu i w roślinie pokutuje może dusza człowieka samoluba. I jakież mają być promienne i prawdziwe widma przy łożu śmiertelném zabójcy?

Gdyby ludzie tak jako ona robili, gdyby się wyparli tego co moje i nie moje, gdyby nie pili wina, a jedli mało i to tylko jarzyny niesyte i to tylko to czego brak rośliny nawet nie zabije, wstrzymując się ze wszystkim od mięsa; gdyby dbali o to, by i nikogo i nic nie skrzywdzić, chodzili bezbrannie, mówili mało i prawdę tylko, modlili się wiele i unikali ludzi i zabawy, słyszeliby wszyscy, jak ona słyszy muzykę co światy przenika; widzieliby i duchów umarłych i bogów jaśniejących, nie znalazłyby śmierci i nie znalazłyby cierpienia <sup>1)</sup>.

Pitagoras słuchał nauk siostry i uwierzył jój i zaczął żyć poszcząc i modląc się jak ona żyła i niedługo a widział duchy wiekuiste i usłyszał pieśń niezrównaną światów, co kołują przez otchłanie.

A że brat był mędrce i biegłym w piśmie i mowie, tak oto złączył i związał duchów i bogów naukę.

Jako śmierć i życie i ciało każde uładą tylko i wszystkiego istota prawdziwa jest jedna, a wszystko co jest, to téj jednéj istoty odmiana. Jedno tedy rzeczy początkiem; ale gdy to jedno zmieniać się zaczęło, powstała obok niego odmiana i z jednego stało się dwa: to co się zmienia i to co zmienione; a gdy do tych dwu dobieżysz, to jedno co się nie zmieniało jeszcze, masz trzy; i tak możesz przyjść do całej liczb kolei. A że liczb jest nieskończenie wiele, więc nieskończona świata różnaitość powstała z różnego liczb bratania. I zaiste, czémże się różni istota jedna od drugiej jak nie liczbą? Różnica każda jest stosunkiem. Zawieś i wypręż struny przy sobie tak, aby jedna dłuższą a druga krótszą była i każ im drgać, a w miarę długości ich wydadzą różne tony. Otóż różnica długości jest różnicą w liczbach, a czém różnica tonów, tém różnica barw. Stosunek postaci różnych i sił różnych i jakości różna rzeczy, to tylko liczb pewnych układ.

Ale oto jako są tony wdzięczne i fałszywe, tak są téż i figury i myśli i siły, które wyszły z harmonijnego liczb układu, z układu, w którym liczby jedne w drugich podzielne—oto źródło dobra; źródłem zła—dysharmonia. Świat ogromną harfą, w której najwyższym i najczystszy tonem, w którym jednością i początkiem rachuby duch, który ogniem jest. Duchowym środkiem świata Bóg, a cielesnym słońce, które także ogniem i duchem jest. Dokoła słońca krążą planety, ułożone w odległościach równych długości strun harfy i pieją nieśmiertelną pieśń, tworząc wraz z ziemią i słońcem siedm nut oktawy <sup>2)</sup>; ludzie zaś i duchy i zwierzęta i rośliny i ciała martwe, to znowu harmonia druga i drugi układ siedmiu strun: bogowie, nymfy, demony, ludzie, zwierzę-

<sup>1)</sup> *Życie Pitagorasa* czytaj w *Dyogenesie Laercyuszu*. O jego nauce u Seneki i Cycerona.

<sup>2)</sup> Porównaj *Tymeusza*, gdzie Platon wykłada naukę Pitagorejczyków.

ta, rośliny i materya martwa, oto siedm strun duchowej lutni. Każdy duch to nuta pieśni co po tych strunach drga, to iskra ognia co jest od początku i do końca będzie i co winno się zestroić w wieczną harmonią, wedle nauk Temistoklei.

Brat i siostra poznali tak prawdę i zaznali szczęścia wiekuistego, pozbyli się obawy śmierci, i postanowili że prawdę tę trzeba głosić wszystkim i uczynić uczestnikami szczęścia wszystkich coby prawdę słyszeć chcieli, że trzeba świat zestroić w harmonią o tyle, ile się zestroić da, tępiąc krzywą ludzi samowolę. Ale że synowi rytownika trudno być prorokiem tam gdzie go znano, wyjechał Pitagoras do Włoch, a Temistoklea tylko została w Delfach szczęśliwa wśród bogów i duchów, gdzie umarła wkrótce czczona nad inne niewiasty.

We Włoszech wylądował najpierw Pitagoras w Metaponcie milczący, w białe szaty przyobleczony, i zaczął zawód kaznodziei i cudotwórcy. Ale że tu nie znalazł rozgłosu na który liczył, przeszedł do największego miasta we Włoszech ówczesnych, do Krotony i tu wkrótce doczekał się wielu uczniów i uczennic. Zamieszkiwał najczęściej za miastem w pieczarze, gdzie przebywał z umarłymi i bogami, ale od czasu do czasu przychodził na rynek i tam rozpowiadał ludowi o rozkoszach czystego żywota, i o tém jako przed wiekami zrodził się Etalionem synem Hermesów, i że Hermes ojca swego, bogów posła, prosił o nieśmiertelność, że Hermes daru tego odmówił, ale dał za to pamięć nieprzemijającą i że przeto Pitagoras pamiętał wszystkie swe przeszłe żywoty, i to wszystko co bywa po śmierci, i że o tém pouczy tych co zechcą naśladować jego życie i słuhać jego rozkazów. A gdy zwiabił do siebie ciekawych, kazał im rzec się własnej woli, małżeństwa i ziemskiej miłości i majątku, oddając mienie swe na wspólną własność zakonu. A że wielu na to się godziło by posiadać tylko jego mądrość, powstały i w Krotonie i niebawem wszędzie w południowych Włoszech i mężkie i żeńskie klasztory Pitagorejczyków co niejadali mięsa, chodzili w białych szatach, żyli w czystości zupełnej, ćwiczyli się w milczeniu, które w czasie nowicyatu musiało trwać nieprzerwanie lat pięć, grali na lutni i uczyli się matematyki i geometryi, by znając prawa liczb nie grzeszyć już przeciw światom harmonii.

Spółczeństwa te klasztorne budziły długo podziw powszechny; ale niebawem ogół Helenów ujrzał że przez owe niewojenne zakony, których członkowie niedbali o prawa Rzeczypospolitych i niebrali udziału w wiecach i naradach, i dzieci nie mieli i majątku nie przysparzali, i krwawych ofiar bogom nie nieśli, siła Rzeczypospolitych upada; że jeśli się rozmnożą jeszcze, wymrze rodzaj ludzki; strach było patrzeć na to jak w wojowniczej do niedawno Krotonie ubywało żołnierzy, a jak klasztory rosły z dniem każdym zpopod ziemi. Postanowiono tedy uczynić koniec téj powszechniej szkodzie i dnia jednego napadnięto na klasztory i wycięto Pitagorejczyków. Wtedyto pono zginął i Pitagoras sądziwy, a zakon z Krotony wygnany, nie zakwitł już nigdy tak

jak za życia proroka. Istniały jednak odtąd, lubo nielicznie, po różnych miastach rozrzucone klasztory.

Tyle o Pitagorasie najślawniejszym z pierwotnych mistyków greckich; wypada nam jeszcze wspomnieć o Heraklicie i Zenonie z Elei, a potem wrócić się do narodu całego i świeckiej myśli w Helladzie.

Jeśli Pitagoras należał do średniego stanu, Heraklit, pod wielu względami jego współzawodnik, lubo znacznie młodszy, był królewiczem i następcą tronu w Abderze na południowym wybrzeżu Tracji. Umysł jego raczej wróżbowy jak badawczy, a karmiony nauką podaną w misterych, i niejednym pitagorejskim zdaniem, zbrzydził sobie wszystkim ludzi i panowanie. Wydało mu się, że ludzie mówią jeszcze do pewnej miary rozsądnie, a czynią zawsze źle i szalenie; wszystko co oni cenią i za czém się ubiegają, wydało mu się marnością nad marność. Królewskość, podług nauki moralistów była nieledwo grzechem; sam wiedział że ciężarem, a wszyscy jęj zazdrościli. Życie było snem, śmierć niczem, a ludziom życie wydawało się wszystkim, śmierć końcem. W szaleństwie swém niepoprawni dreczyli się samowolnie i nieustannie i źli i głupi. Ledwo kilku wybranych zajmowało się prawdą wiekuiącą i pięknem i Heraklit wołał ich los i zaniechał świetnego trudu panujących. Oddał dobrowolnie berło bratu i ożeniwszy się, postanowił wieść życie ciche, poświęcone jedynie nauce.

Ale teraz dopióro, gdy się stał ludziom równym, poznał ich złość całą; gdy zgłębił nauki myślicieli, poznał marność wszechrzeczy. Mędracy stawiali piękne i niezmierne bóstwo ogniste na czele i u gruntu wszechrzeczy, i w niem szukali pociechy, a Heraklit tego bóstwa znaleźć nie mógł: wszak ogień to rzecz znikoma i przemiennea; dusza jednego człowieka z dnia na dzień się mieni; młodość uchodzi, starość nadchodzi, wspomnienia mijają, ciało odumiera, dusza gaśnie, nowe życie na grobach ustaje, wszystko przemija, mienia się, niknie bezustanku, bez prawdy i nadziei. Wszystko kłamstwem tylko i złudzeniem. Heraklit to widział jak na dłoni, a nikt tego nie chciał zrozumieć: ani żona, ani dzieci, ani nikt! Wszystkich ciągnęło do siebie to co wiecznie przemija

Czasem Heraklit brał do ręki pióro, by spisać myśli swoje, ale skoro stów kilka skreślił, rzucał kartkę niecierpliwie; bo i pocóż było prawdę pisać, dla tych co jęj nie rozumieją, i co szczęśliwsi może przeto że jęj nie rozumieją? Więc Heraklit rzucał kartki w ką, i tylko żona wzgardzona zbierała je skrzętnie, chcąc przechować myśli mądrego nadto męża. Nareszcie dnia jednego rzucił zgoryczony dziwak i dom i miasto i uciekwszy w góry zamknął się w pustyni, w jaskini jakiejś. Myślał że lepiej mu będzie samemu z naturą, i jadł korzenie dzikie, byle nie zdybywać ludzi. Ale i natura głupstwem mu się wydała, i zwierzęta i rośliny samolubami co się trudzą dla nicości i kłamstwa. Już dłużej wytrzymać nie mógł i postanowił umrzeć; wierzył że to co po jego śmierci powstanie z cząstek jego ciała, głupszém będzie od niego, a przeto i szczęśliwszém. Jak najprędzej chciał się rozplynać; chciał by

odrazu znikł wszelki ślad jego istoty. Wrócił tedy do miasta, zawołał synów, i wyszedłszy z nimi o zmroku na rynek, kazał się zakopać żywcem w krowim nawozie, i tak zmarł najbrzydszą a dobrowolną śmiercią. Po śmierci jego wydała żona owe kartki niedokończone, które niegdyś zbierała, i z nich powstała dziwna książeczka, niejasna, przezywana ale pełna dziwacznych paradoksów, w których się niektórzy tak lubowali, że czytając je mienili się być uczniami wielkiego filozofa Heraklita, i za jego przykładem obierali sobie pustelnicze życie <sup>1)</sup>.

Ale mimo Pitagorów i Heraklitów, Grecyi nie czekał los Indyi. Tylko Krotona osłabiona przez Pitagorejską ascezę padła niezadługo pod ciosami Lukanów; reszta Hellady nie poszła ani do pustelni, ani do klasztoru, zostawiając te schronienia dla tych, co żyć w świecie nieumieli. Obywatelami i żołnierzami byli Helleni i mieli doma żony, i nawet mistycyzm u nich nie stronił koniecznie od życia i obowiązków. Obok Pitagorejczyków i Abderytów stanął że tak powiem trzeci zakon filozofów, czynny i obywatelski. Byli nim Eleaci których zakonodawcą Ksenofanes, a pośród których zasłynął Zenon jako Hellen prawy. Przyjęli wiele od Pitagorejczyków; jak oni wierzyli w jedność wszechrzeczy, głośniej od nich stwierdzali marność zjawisk. Bogiem najwyższym był im świat okrągły, którego duchowne i ogniste części tworzyły promieniającą zewnętrzną łuskę jasnego eteru; poniżej był eter gęstszy i powietrze; poniżej obłoki i wody, a u spodu ziemia co wydała zwierzęta i ludzi. Owe cztery żywioły wszystko składały, a ogień był duszą. Nietrwało jednak nic ani w skrępełym, ani w ciepłym, ani w powietrznym, ani w ognistym stanie: wszystko się zmieniało, płynęło, przemijało, a świat tylko jeden zostawał, i człowiek winien był zgodzić się z tą jednością. Czém mniej myślał o sobie, a więcej o wszechświecie, tém był szczęśliwszym, tém mniej cierpiał, tém prędzej mógł mieć nadzieję, że porzuci ciała ziemne i zamieszka w eterze górnym, przejrzystym, duchowym, po którym płyną wszechwiedne nieśmiertelne gwiazdy, w którym żyją wieczni, szczęśliwi bogowie, co chorób nie znają i śmierci. Bogowie owi własny los wzięli od Przeznaczenia; i oni nawet znikną po długiej wieków kolei, gdy świat ua chwilę być przestanie; lecz i świadomość zgonu owego nie zamąci ich szczęścia, bo po światów śmierci nastąpi odrodzenie, i wszystko co było, znów się powtórzy, i jaśni bogowie znów będą szczęśliwi. Każda zmiana ułudą; czas sam ułudą. Co było, to jest i będzie, i przez wiek wieków się powtórzy. Czas stoi na bogów zegarze, a ludzi tylko ludzi myślą, że chwile mijają niepowrotnie; a one nie miną, a one stoją, i z ludzi stają się wciąż to zwierzęta, to bogowie. To co było, to jest i będzie.

A każdy ma i miał przeznaczenie, i spełniać je musiał, i odstąpić od niego nie może; ale gdy je rad znosi, szczęśliwy; a rad je znosi mędrzec tylko; a mędrcecm ten komu przeznaczono. Los nie jest w rękę

<sup>1)</sup> Żywot Heraklita u Dyogenesa Laercyusza.

ludzki, a o los ten, niewiele mędrzec stoi. On chwilą w wieczności, on cząstką tkanki bytu niezmienną: on niczém <sup>1)</sup>.

Mistyryzm to i mistyryzm niezawodnie. Ale Eleatów nie pędził do klasztoru, i to tylko spełnił, że weselę obowiązek pełnili, że radzi poprzestawali na tém że praw byli sługami, sprawiedliwości stróżami, dzielnymi żołnierzami i wrogami zbrodni. Ówto mistyryzm uczynił z Zenona bohatera, co sprawił podziw Helladzie. W jego ojczyźnie, w Elei, panował tyran srogi, któremu na imię było: Nearch. Zabijał, kradł, czynił złość wszelką, i Zenon wraz z przyjaciółmi uczynił spisek przeciw nieprawemu, wierząc wraz ze wszystkimi Hellenami, że zabicie tyrana, cnotą. Zenona wybrano aby czyn spełnił, i Zenon został pochwycony. Wtedyto tyran kazał filozofa przyprowadzić do sali radnej, i obiecał mu i przebaczenie i mnogie skarby, jeśli współników spisku zdradzi. Zenon obiecał, że wszystko powie, ale tylko na ucho tyranowi, a gdy się Nearch pochylił by posłuchać tajemnicy, odkąsił mu ucho Eleata zawzięty. Wściekły od bólu i skrwawiony tyran zagroził męką zuchwałemu, ręką że tortury wyrwą mu tajemnicę; ale wtedy Zenon chcąc być pewnym że milcząc potrafi, sam sobie język odkąsił. Niczego niemógł się przeto tyran od niego dowiedzieć, i wskórał tylko tyle, że kazał Eleatę żywcem utłuc w mózdzierzu <sup>2)</sup>, co mędrzec zniósł napozór obojętnie.

I lubo mało kto w Helladzie zbadał i pojął naukę Ksenofana, i lubo Grecy byli narodem rolników, kupców, żołnierzy, poetów i rzeźbiarzy, i dzień na pieśni spędzali, hart podobny jak u Zenona był w jednej greckiej piersi, i niejeden umysł grecki ujął ład świata, i ułożył rzeczy w lik, i gdy działał greczyn każdy, chciał działać tak jak tego wymagało przyrody prawo, a nie tak jak tego pożądała ślepa namiętność, córa niesforna jednej człowieczej piersi. I państwo w Helladzie w ład się zwarło, w ład się zwarł bojowy szyk mężów, i mawiano że nie ten Hellenem co helleńskiej używa mowy, jeno ten, co jak człowiek rozumny a nie jak zwierz dziki działa.

A jak zwierz jaki wszechpotężny, mową ludzką obdarzony, działał wielki król, rozkapryszony pan Azyi, czyto Daryuszem się zwał czy Kserksesem. Zwierza miał chucie, zwierza guiew, i przebiegłość zwierzęcą, i nie Hellenem był: był barbarzyńcem. Aż strach pomyśleć o jego potędze; grody jego to kraje były całe, i w grodzie jednym było ludzi tyle co w całym Peloponezie; i znużyłbyś się gdybym zaczął wyliczać wszystkie ludy jemu poddane, wszystkie skarby co coroku z królestw wielu do jego płynęły skarbnicy. Zwierz to był i niewolnik z rodu, godzien niewoli, a miał władzę i moc taką, jak chyba który z bogów nieśmiertelnych. Więc gdy oręż jego doszedł aż po morze błękitne, po szumne Egejskie morze, po którym płyną bałwany o kitach z białej piany, i statki Helleńskie o żaglach białych jak owe kity,

<sup>1)</sup> Porównaj jeszcze wykład pierwotnych filozofii greckich u Zellera.

<sup>2)</sup> Raz jeszcze odsyłam do Diogenesa Laercyusza.

i gdy usłyszał o nadbrzeżnym narodzie, co chodzi na targ i sprzedaje i kupuje, wzgardził nim, ale chciał by ludek ten drżał przed obliczem jego, i bijąc mu czołem, tarzał się w prochu. I wydawał rozkazy, i piecił się z gniewu, gdy grody nadmorskie spełniały bogów a nie jego wolę, i prawa i sumienia słuchały, a nie królewskiej groźby.

Jeśli była rzecz święta, świętym był człowiek, choćby wróg, co szukał schronienia u bogów. Gdy kto w świątyni padł na kolana przed ołtarz okrągły, bogów był gościem, boga prawica zaślaniała go przed wrogim pociskiem, choćby tyranem nawet był, najgorszym z ludzi. I jeśli kto go zabił, choćby nawet na to by pomścić krzywdę ojczystego grodu, prześladowali zabójcę odtąd wieczni bogowie; we dnie i w nocy nie było dlań spoczynku; z sykiem budziły go ze snu sumienia gadziny, i klątwa bogów spadała na miasto w którym bawił. Być może czynem cnotliwym zabić wroga w niepoświęconém miejscu, i krótka pielgrzymka i kilka obrzędów zabójcy wraca prawo składania ofiar nieskalanych, ale gdy kto wroga zabił w świątyni, trzeba go było odpędzić precz z miasta, trzeba było miasto poświęcić, by po nim znikła zakała; i niewiedzieć jak za rzecz taką bogów przebłagać nieśmiertelnych.

A w każdym domu greckim mieszkała święta bogini, Hestia córca Zeusowa, widna w płomieniu na ognisku domowém. I każdy gród miał Hestią wspólną, miał ogień święty co tlił gdzieś na rynku przywieziony z metropoli, albo cudem zapalony przez dawne bóstwo. I gdy kto uchodząc przed przemocą, przybył do grodu, i Hestią ujął ramionami, był odtąd gościem bogini, i biada ludziom, biada miastu, coby gościa takiego w ręce wroga oddali.

Uszedł przed gniewem króla zbieg do Helleńskiego miasta, a król zażądał głowy zbiega. Więc przestrasch był w grodzie, więc była narada. Małoduszni radzili oddać gościa, bo król był możny, a rozgniewany mógł gród w perzynę obrócić. Mędrsi w mieście radzili by się najpierw spytano boga. Posłano tedy jednego z nich do wyroczni; zbliżył się poseł do świątyni, weszedł pod cień portyku, pochylił się przed drzwiami celi, przez które widać było w pomroku boga bałwan niesforny, i spytał się o to, czy ma miasto słabe oddać gościa w ręce króla potężnego, czy nie? i usłyszał głos co wyszedł z półcienia, głos wyraźny, głos boski, i usłyszał jako głos ten wołał: „Wydajcie gościa!“ Więc zdziwił się mędrzec i zgorszył gdy usłyszał z ust boga, tak bezbożną odpowiedź. Z tym poseł nie chciał wrócić do miasta; pewien był że bóg nie mówił szczerze; więc obszedł w zadumie, idąc popod kolumnady dom Apolinowy, i wrócił poprzód drzwi i pochylił się znowu, i spytał się znowu co czynić miastu? I znów głos wyszedł z boskiego przybytku i dał rozkaz wyraźny: „Wydajcie gościa.“ Mędrzec usłyszał ale potrząsał głową i nie wierzył, i poraz trzeci sparty o kij podróżny, obszedł świątynię. Gdy zaszedł w tylną część kolumnady, podniósł głowę wypadkiem i ujrzał wśród architrawów mnogie jaskółek gniazda. Spojrzał na nie czas jakiś, potem podniósł kij i zaczął gniazda jedno po drugim burzyć. Nagie piskłeta padały na kamienną posadzkę,

i zabijały się niebożęta na miejscu, a czarne, długoskrzydłe rodzice oblatywały głowę zabójcy, kwiląc, bezradne. Aż się bóg Apollo obruszył w świątyni, aż zapłonął wielkim gniewem słysząc skargi ptastwa mordowanego co gościło pod jego dachem. I poseł znów usłyszał wielki bóstwa głos wychodzący z celi świątynnej: „Jak śmiesz, zbrodniarzu, zabijać gości moich? Zawołało bóstwo: czy myślisz że gości nieobronię?” Usłyszał mędrzec groźbę i spartał się o kij, spytał znowu spokojnie: „A jakżeż ty śmiesz, boże, upominać się o gości swe, gdy sam każesz nam gościa, wbrew świętemu prawu, wydawać w ręce barbarzyńców?” Tak spytał się człowiek, a w świątyni znowu zahuczało od boga w odpowiedzi: „Głupcze! Gdyście się przelekli wojsk królewskich, gdyście w małodusznej trwodze śmieli do świątyni śtać posły z zapytaniem, czy wolno gwałcić prawo, ja Apollo wam odrzekłem: gwałćcie prawo! Słuchajcie króla! a odrzekłem tak, by bezbożnicy co się lekają, rychléj spełnili zbrodnię, i rychléj na zgon, na zgubę i zagładę zasłużyli!” Tak zawołał bóg, a poseł teraz dopiero boga zrozumiał, i wrócił do domu z odpowiedzią wyroczni.

Niebyło-bo jak z bogami żartować, gdy chodziło o prawo. Jeden Spartyata pytał się w Delfach o to Apolina, czy ujdzie mu bezkarnie, gdy sobie przywłaszczy pieniądze powierzone mu przez laty, przez człowieka co znikł bez śladu; i za te pytanie zmarł Spartyata bezdzietnie. Apollo na to by się mścić nie czekał, aż kto zgwałci prawa; dość mu było gdy kto pomyślał o tém, że można ominąć prawo święte. A pierwszym Hellenów prawem był rozkaz, by żyli wolno w wolnym grodzie, i by pomarli raczéj, a czoła przed panem nie pochylili. Więc jakżeż miał ich król królów poddać pod swoje jarzmo?

A bez Greków nie mógł się król obejść. Bez Greków był pan Azyi napoty tylko królem i czuł to. Na Behistuńskiej opoce wykuł Daryusz, Histaspów syn, tytuły bez końca i wizerunki królów, na których kark stopę położył. A jednak był igrzyskiem choroby, gdy niemiał przy sobie Greków lekarzy. A gdy chciał most postawić przez Bosfor lub Hellespont, znów Greków potrzebował i bez Mondroklesa Samijczyka i na krok niemógł postąpić po bladolicéj Europie. Niedziw tedy, że Daryusz, Histaspów syn, codzién kazał niewolnikowi przypominać sobie wojnę ze Spartą i Atenami; niedziw, że się wypytywał wciąż o to, kto w Helladzie króluje? komu na kark ma postawić stopę, by mógł powiedzieć, że jego włóścią boska Hellada? A jednak niedziw, że ludzie co czcili prawo i ład, co chcieli zrozumieć świat i własne czyny, co widzieli w śmierci dawczynię szczęścia i spoczynku, nie ulegli królowi królów o barbarzyńskiej mocy.

Jeszcze zrazu gdy nadgraniczuc, azyatyckie Greków osady napadali, szło Persom po myśli. Lud tu był z Jońska po staremu rozkoszny, lud tu usypiał na fiołkach z biesiadnym puharem w ręku, z siedniostrunną lirą przy boku. A z Aten i Sparty straszno było iść Jończykom na odsiecz. Przez cnotę Spartyaci zostawali doma.

Był tedy królem w Sparcie mąż co się narodził nawet z postuśzeństwa dla Eforów władzy, mąż gwałtowny zresztą i często bezbożny, ale mąż co się narodził jak na Spartyatę przystało i co się znalazł ostrożnie i roztropnie jak na Spartyatę przystało, gdy do niego posłali Jończycy wymownego Anaksagorasa z prośbą o przymierze. Warto tedy opowiedzieć jak się mąż ten narodził i jak mąż ten się znalazł, gdy Anaksagoras Jończyk do niego przyszedł z namową. A najpierw o urodzinach, potem o odprawie danej postłowi.

Kto chce wiedzieć jak mąż i niewiasta, jak miłość i dom były posłusznymi prawu w Sparcie, gdzie prawo czyniło ludzi podobnymi bogom nieśmiertelnym, niechaj zważy jako Anaksandrydas Leonów syn, król Sparty zrodził syna. Miał żonę i kochał żonę, a żonę w Sparcie kochano naprawdę. Nie często widywał ją mąż i nie miał czasu przywyknąć do żony, a odwyknąć od miłości. Gdy się ożenił, niewolno mu było przez lat kilka przychodzić do żony przy świadkach. Choć królem był, musiał się do niej zakradać pocichu, niespostrzeżony i musiał czynić tak, by nikt nie wiedział o tém, że do własnego zachodzi domu, jeśli chciał uniknąć ludzkiego śmiechu. Więc przez lat kilka żona była owocem zakazanym, a wiecie jak wszelki owoc zakazany smakuje. I później, gdy już dzieciom ojcem był, nie jadał z żoną i rzadko widywał się z żoną. Choć królem był obiadował w przyjaciół kole, z przyjaciółmi chodził na łowy, z przyjaciółmi ciągnął w bój. Do żony wracał tylko na rzadkie chwile; więc tęsknił za nią, więc kochał ją, więc oddawał jej rząd w domu, więc słuchał jej we wszystkiém, w czém nie spotkał przeciwnego Rzeczypospolitej rozkazu. Mawiano gdzieindziej w Grecyi, że w samej jednej Sparcie niewiasty rządzą mężami, a Spartyatki odpowiadały na to, że to prawda i że przyczyną tego to, że w Sparcie tylko niewiasty mężów rodzą. Więc mężem chyba był naprawdę i kochał żonę i służył jej Anaksandrydas Leonów syn, ale z żony owęj nie miał dzieci <sup>1)</sup>.

A oto prawo chciało, by Spartyaci na to tylko brali żony, by im rodziły mężów i przyszłych ojczyzny obywateli; stróżami prawa byli obrani urzędnicy zwani eforami i oni się gorszyli tém, że król Anaksandrydas bezdziećnością swoją dawał zły przykład Spartyatom, wydali tedy rozkaz, by król obok ukochanej pojął drugą jeszcze żonę. Król się wahał, król się prosił, ale wreszcie usłuchał rozkazu i Kleomenes królewicz narodził się tak z Eforów woli. Gdyby prawo było kazało królowi żonę odstąpić na tydzień lub miesiąc starszemu mężowi, zasłużonemu a bezdziećnemu, byłby król także usłuchał, bo rodziny niczém, niczém serce wobec prawa i woli ojczyzny.

Więc król Kleomenes Anaksandrydasów syn, po prawie narodzony, siedział w dobrowolnym Spartyatów ubóstwie, na toku w drewnianej sieni domu swego, w koszuli z sieraczyny, bosy, gdy poseł z Miletu jońskiego Anaksagoras przybył doń namawiając go by stanął na czele

<sup>1)</sup> Herodot, V, 39 i nast.



Spartyatów swych i popłynął za morze i zdobył sobie chwałę nieśmiertelną i mężów Helleńskich godne panowanie, walcząc przeciw królowi Azyi i zniewieściąłem jego zastępom. „Niegodni Azyjaci, wam zajrzęć w oczy,” mówił Anaksagoras, „a gdy zdobędziecie kraj ich, posiadziecie kraj nad miarę wielki.”

Kleomenes słuchał mowy posła z uwagą i głąskał główkę córeczki ulubionój co przy nim stała. „I jakież to wielki ten kraj króla królów?” spytał Spartyata. Anaksagoras odrzekł: „Od granicy naszój i morza, trzy miesiące chodu jest do Suzy, do miasta tak wspaniałego, że gdy miasto to posiędziesz, zrównasz się z Zeusem.” A wtedy król Sparty, podniósł głowę i spojrzawszy gościowi w oczy zawołał: „Przed wieczorem, cudzoziemcze, opuścisz Spartę, bo wymownym jesteś i gotówes Spartyatów namówić na własną ich zgubę, wiodąc ich namową swą w kraj obcy aż na trzy miesiące drogi od morza i ojczyzny!”

Zmieszał się Milezejczyk. Ale po chwili pochyliwszy się do ucha królewskiego szepnął ciszej: „Niech córeczka twa odejdzie ztąd, a ja ci coś powiem takiego, co cię do wyprawy skłoni.” „Mów przy córce,” odparł król. A na to Anaksagoras ofiarował Spartyacie dziesięć centnarów srebra, jeśli tylko naród swój do wojny z Persją namówi. Ale Kleomenes nie chciał złota i odmówił. Milezejczyk nie uwierzył w odmowę, a wierzył w targ i zaczął coraz większe pieniądze ofiarować, aż doszedł do pięćdziesięciu centnarów srebra; a wtedy córeczka Kleomenesowa zawołała: „Chodźmy ztąd tatko, bo gość gotów cię przekupić” i król przerwał rozmowę ze zmieszonym kusicielem.

Więc jak długo Persowie podbijali zamorskie osady, nie dawała rozważa pędzić na odsiecz Grekom ze stałego lądu. Wzrósł tedy król Kserkses w dumę i z ludem niezliczonym i ze statkami wieloma ruszył na Grecją, pewny że ją pokona samym przestraczem. I gdy most na łodziach rzucił przez Hellespont, szło przez Hellespont wojsko trzy doby bez ustanku, a król na tronie siedział na wywyższeniu nad wojskiem i z uśmiechem patrzył na lud niezliczony. Szli Scyci w futra ubrani i zbrojni w łuki, szli w korę przyodziani Indusi, szły ludy aż gdzieś zpod Sybiru i rogaty ludy z Etyopii, czarne jak smoła i do czartów podobne; szli Egipcyanie w zbrojach misternych i podbici już Grecy w karnym szyku i szli dzicy o pomalowanój pstro twarzy i tłumy te wszystkie pędzili wodzowie w bicze zbrojni. I rydwan Ormuzda ciągniony przez białe konie,jechał przez morze i przez morze ciągnęło dziesięć tysięcy sług Ormuzdowych, nieustraszonych, nieśmiertelnych; a Grecy znad Hellespontu w trwodze padali do stóp króla w złocistój tyarze i wołali z lękiem: „Czemużto Zeusie, panie piorunów, pędzisz przez morze nam na zgubę wszystkie światła narody, gdy wystarczy ci rzecz słowo, a Hellada runie?” I słuchając uśmiechał się Kserkses król królów, najpiękniejszy i najsłuszniejszy mąż w Azyi.

A miał przy sobie w obozie króla co mu służył, byłego króla Sparty Demarata, co za sprawą Kleomenesa poszedł na wygnanie dlatego właśnie, że nie tak jak Kleomenes po prawie się narodził. A jak

się narodził opowieć, bo nic lepij niż tę opowieść nie wytłómaczy co było cnotą rodzinną w doryckiej, dawniejszej i bogobojnej jeszcze Helladzie.

Otóż narodziło się przed laty w Sparcie z rodziców Spartyatów dziecko, nad wszelką miarę szpetne, a było to tém boleśnieszem, że dziecko to było dziewczyną, a więc potrzebowało kiedyś témbardziej wdzięku i piękności co kobiety z bóstwem równa. I rodzice z zacnego rodu mieli to sobie za dowód gniewu bogów, że im się tak niepiękna córka narodziła i tak głośno się żalili, że bogobojna mamka postanowiła wymodlić się odmiany ich smutku. Chodziła tedy codzień z dzieckiem do świątyni Helleny Argiwskiej, owę niewiasty co boginią dla piękności się stała naprawde i błagała Sparty świętą opiekunkę, by dziecinie pokrzywdzonej udzieliła choć cząstkę owęj piękności, którą niegdyś jaśniała uwodząc wszystkich Azji i Europy bohaterów po kolei przez lat sto bohaterów wieku. I próby nie zostały bez skutku i zmiłowała się bogini. Wychodziła raz mamka ze świątyni, zakrywając starannie twarz niepięknęj dzieciny, by nikt nie zajrzał jej sromu, gdy spotkała wyniosłą a nieznajomą niewiastę. Niewiasta zatrzymała mamkę i spytała się jej o to, co przy łonie niesie?

— Nic szczególnego! rzecz nieciekawą!—odparła mamka niechęcą odkryć twarzy dziecka.

— Ale przecie co?

— Pańską dziecinę.

— Pokaż mi ją, bo lubię dzieci.

— Nie pokażę! nie mogę pokazać, bo dziecko chore.

— Ale proszę przecie pokazać na chwilę; i napierała się pótý obca pani, póki mamka brzydkiej twarzy rada nierada nie odstąpiła.

Wtedy to niewiasta owa wyniosła, złożyła ręce swe białe na twarz dziecinną i rzekła uroczyście:

— Bądź dziecko najpiękniejszą niewiastą w Sparcie!

Rzekła te słowa i odeszła i dziewczątko odmieniło się odtąd i z najbrzydszego stało się najpiękniejszem i z laty coraz więcej wzraszało w cudownych, w nadludzkich wdziękach <sup>1)</sup>).

Gdy chłopcy spartańscy do krwi się biczowali <sup>2)</sup> i jęki tłumili przed świątynią Artemidy, gdy niejeden z nich tłumiąc ból i milcząc, zadrżał raptem i zachwiał się i padł na plecy i skonał na piasku przed świątynią, stały dokoła matki Spartyatki w długich szatach, stały dziewoje, których całym strojem były dwa fartuchy: jeden z przodu, drugi z tyłu, nad ramionami spięte a zresztą powiewne; a między nimi jaśniała pięknością, pobłogosławiona niegdyś przez Hellenę dziewczyna. Do posągu była podobna, była podobna do Artemidy.

Dwu chłopców spartańskich, co przywykli spać na rogoży, dwu chłopców o podrapanej twarzy i spuszczonej głowie, spotykało się na

<sup>1)</sup> Herodot t. VI, str. 60 i nast.

<sup>2)</sup> Ksenofont: *Respublica Lacadaemoniorum*.

ścieżce w Sparcie wśród sadów i chat, a przeszła obok dziewica jak zjawienie; więc by się przed nią mężtwem popisać, rzucali się na siebie jak wściekli i kąsali się i dusili i drapali i aż na ziem padli obaj, tarzając się krwawo w prochu i póty się bili, póki nie przeszedł tamtędy jaki starszy Spartyata i nie uderzył ich laską przechodząc i nie rozdzielił. A gdy nagie dziewczęta między nagich chłopców przychodziły ćwiczyć ciała, każdy z nią patrzył, jęć szukał rad każdy.

Wreszcie raz Agetos Spartyata, wykradł ją z domu cichaczem, po nocy, jako było Spartyatów obyczajem i zostawił u siebie w ciemnej izbie, gdzie na nią czekała starka. Starka włos jęć po mężku ostrzygła i przyoblokła ją w mężką koszulkę, ścisnęła jęć kibić rzemieniem i odeszła i zostawiła przebraną samą w ciemnościach, gdzie na Agetosa czekała godzin kilka, marząc pewno dziwnie. Aż rozwarły się drzwi, promyk księżycy na chwilę wszedł do ciemnicy, Agetos milcząc stanął koło oblubienicy; uczuła jego dech ciepły na twarzy; ręką poszukała kibici i sprzączki u pasa, odpiął pas, odłożył na bok i piękną, niewidzianą, wśród ciemności złożył na łożo i było już po ślubie i Agetos jak żrenicy w oku strzegł żony swęj, najpiękniejszej w Sparcie niewiasty; a patrzył za nią pożądliwém okiem król Sparty, przyjaciel Agetosowy, Aryston.

Zawiązała się raz między przyjaciółmi poufalsza rozmowa. Aryston wniosł, by sobie nawzajem dali dowód przyjaźni szczerzy: niech Agetos zażąda czegokolwiek ze skarbcy królewskiego, a będzie mu daném i niech Agetos nawzajem da królowi to, czego król zażąda. Podchlebił wniosek Agetosowi, przystał na niego i zażądał tarczy, czy włóczni, czy trójnoga. A gdy Aryston dał już rzecz zażadaną, zażądał nawzajem nowopopoślubionęj, ukochanęj, niezrównanęj żony Agetosowęj.

Spartyata winien był dochować słowa, choćby słowo było płochodane; i dotrzymał słowa Agetos i żonę ukochaną, oddał na żonę królowi.

Oto w dni kilka potém, wydało się królowęj, że Aryston przyszedł do niej, że użył z nią małżeńskieję pieszczoty i że odchodząc złożył na jęć skroń wiano kwiatów; i gdy tak śniła z kwiatami na skroni, wrócił do niej król Aryston i zbudził ją pocałunkiem; lecz gdy zaświecił lampę w sypialni, spytał się z zadziwieniem: zkąd się wzięły kwiaty na skroni żony?

— Wszak sam je przyniosłeś przed chwilą.

— Anim był dziś u ciebie. Nie żartuj! a powiedz, żono, przecie prawdę!

— To ty żartujesz i źle czynisz, że takie stroisz żarty; wszak przed chwilą widziałam ciebie.'

I w dalszym ciągu rozmowy przyszło do wyrzutów i do płaczu królowęj.

Dopiero spytani wróżbici i znachory, wytłómaczyli rzecz i powiedzieli, że to bóstwo, przybrawszy postać Arystonową, nawiedziło Arystonową.

tonowe łożę; a gdy w siedm miesięcy narodził się Arystonowi syn i doniesiono o tém królowi, gdy siedział wśród eforów na radzie przy drugim królu Sparty, zmarszczył Aryston brwi i porachował coś na palcach i w prędkości zawołał:

— To dziecko, to nie moje dziecko!

I choć potem chował przy sobie Demarata i choć Demarat po nim wzięt chwilowo berło, nie zapomnieli lotnych słów ojcowskich Demarata wrogowie i gdy przyszło w Sparcie do wewnętrznego sporu, oskarżył Kleomenes Demarata o to, że nie Arystonowym, że Agetosowym synem, a gdy rzecz nie była jasną, przekupił Kleomenes delficką wyrocznię, tak, że wyrocznia jego podejrzenie potwierdziła i Demarat do króla królów poszedł na wygnanie. Ugościł go był Daryusz, przywołał do siebie Kserkses Daryuszów syn, gdy lud przepędził przez Bosfor i spytał w te słowa <sup>1)</sup>:

— Demaracie, chce mi się ciebie wypytać, bo tyś Grek i podobno nie z najlichszego Greków miasta, jeśli prawdą co mi inni Grecy mówili. Powiedźże mi, czy zechcą Grecy zajrzeć mi w oczy? Jak mi się zdaje, na nicby się nie zdało, gdyby Grekom na pomoc przyszły wszystkie ludy, co dalej na zachód mieszkają, zawsze małoby ich było i moimby nie wydołali. Aleś zawsze ciekaw, co ty o tém myślisz i o to się pytam.

Spytany rzekł, pytając się nawzajem:

— Królu! czy chcesz bym ci prawdę mówić? czy wolisz bym ci podchlebić?

— Mów prawdę!—rzekł król—za prawdę nie myślę się gniewać.

Usłyszawszy łaskawe słowa, tak oto począł Demarat:

— Królu, gdy każesz prawdę mówić, będę mówił tak, byś mnie potem nigdy nie złapał na kłamstwie. Ubóstwo z dziada pradziada w Grecyi jest doma, a cnotę do Grecyi sprowadziły i mądrość i nieugięte prawo. Cnota Grekom pomaga, ubóstwo poskramia i broni od niewoli. I tędy i dzielni są wszyscy Grecy, tu w Grecyi sprawiedliwój i wszystkich zarówno chwale; ale ręczę tylko za Spartyatów i o nich tylko prawić ci będę. To pewna, że nie zechcą słuchać posłów twoich, gdy będą prawić o twojém panowaniu nad Grecyą i to także pewna, że wyjdą naprzeciw ciebie i wydadzą ci bitwę, choćby nawet wszyscy inni Grecy z tobą trzymali. A nie pytaj się o to, czy ich nie będzie nadto mało. Gdy ich tysiąc będzie, wyjdą w bój; wyjdą, gdy ich będzie mniej; wyjdą, gdy będzie ich więcej.

Słyszac, zaśmiał się Kserkses i rzekł:

— Demaracie! co ty mówisz? Jakże chcesz, by tysiąc ludzi z takim walczyło wojskiem? No słuchajcie! Powiadasz, żeś był królem tych ludzi? A zechcesz się bić sam z dziesięcioma z moich żołnierzy? Jeśli twój cały naród taki jak mówisz, wypada tobie być dwakroć tak dzielnym, jak twoi poddani, a jeśli każdy z nich może zbić dziesięciu

<sup>1)</sup> Herodot t. VII, str. 101 i nast.

moich, tyś chyba winien pokonać dwudziestu. No! weź się do nich! a ja tobie uwierzę. To, co mówisz, to przechwałki; niespełna rozumny, kto im wierzy. Wszak sam zważ! Jakże chcesz, by tysiąc albo dziesięć tysięcy, albo zresztą pięćdziesiąt tysięcy ludzi i to ludzi wolnych, walczyło z takim wojskiem jak moje? Niech ich będzie pięćdziesiąt tysięcy, a nas będzie na każdego tysiąc bez mała. Jeszcze gdyby u was się działo po naszymu i gdyby kto jeden wami rządził, mogłoby tak być jak mówisz, boby batogami garstkę przemocą na tłum popędzono. Ale śmiech, aby wolni ludzie mieli takie popełnić szaleństwo. Ot! pleciesz co ci ślina do ust naniesie.

Na to Demarat powiedział:

— Zgóry, królu, wiedziałem, że gdy ci prawdę powiem, prawda miłą ci nie będzie. Ale kazałeś mówić czystą prawdę i mówiłem przeto jak na Spartyatę przystało. A nie myśl, bym swoich na wiatr chwalił; niéмам powodu ich kochać, bo zabrali mi ojcowiznę i wygnali na świat szeroki i gdyby mnie ojciec twój nie był ugościł, niemiałbym gdzie złożyć głowy. Ale, że tobie sprzyjam, prawdę mówiłem. Bynajmniej się nie podejmę walki z dziesięcioma. Spartyaci pojedynczo niestraszni, ale gdy idą kupą, nikt im nie sprosta; bo choć są wolni, niezewszystkiéń wolni. Mają pana: tym panem prawo i prawa więcéj się boją, jak twoi ludzie ciebie. I z pewnością zrobią co im prawo każe, a ono każe zawsze jedno i to samo i neda uchodzić w boju, choćby przed największą przemocą. Każe na miejscu stać i zwyciężyć albo zginąć. A jeśli myślisz, że plotę co mi ślina do ust naniesie, wolę oddać milczéć zawsze przy tobie. Sam mnie przymusiłeś teraz mówić i stało ci się po woli.

Rzecz całą obrócił Kserkses w śmiech i pociągnął dalej pewny swego. A jako Demarat przepowiedział, spotkał Spartyatów, choć tylko trzystu, co czoło stawili wojsku. Nie Kleomenes wiódł ich w bój, bo Kleomenesa spotkała była już kara za świętokradztwo, za spalenie świętego gaju w Argos i za przekupienie delfickiej wyroczni, ale brat Kleomenesa przyrodni, Leonidas poprowadził mężów na radosną śmierć i trzystu stawiło opór milionom. Nie świętokradzcy daniem było zginąć z chwałą Leonidasową.

Szaleństwo napadło byto Kleomenesa za karę za grzechy, tak, że gdy spotkał jakiego Spartyatę, bił go berkiem w twarz; przykro było na to patrzéć i wreszcie nie było rady i musiano króla szaleńca zakuć w dyby i oddać pod straż Helocie. Helota zwykł był słuchoać tylko; Helotę biczem smagano, Helota nie śmiał bronić ogrodu, gdy dla ćwiczenia w wojenném rzemiośle, młodzi Spartyaci kradli w jego ogrodzie; Helota bywał zwierzyną, na którą wypadał młody Spartyata, zabijał dla krotchwili po nocy i dla postrachu; i niewolnik taki, zwierzyna taka, strzegł teraz z bogów wyroku króla Sparty, zakutego w dyby. I naprawdę dobrym stróżem nie mógł być stróż taki. Gdzież jemu sprzeciwić się było rozkazom, gdy Kleomenes zawołał głosem, którym był zwykł przewodzić w zwyciężkich bitwach:

— Puść mnie, podły niewolniku! złam dyby i daj nóż! bo gdy nie usłuchasz, źle z tobą będzie!

Drżąc, złamał Helota dyby i dał szaleńcowi nóż i król nożem pokrajał się żywcem na kawały, zaczynając od stopy; a gdy doszedł do brzucha, skonał w męce. W chwale miał skonać brat jego i następca Leonidas.

Miał w nieprzebytym górskim wąwozie, w Termopilach, przy sobie trzysta Spartyatów, a innego ludu kilka tysięcy. Zdziwiony tём, że tak małą spotkał garstkę, spytał się Kserkses Demarata:

— A gdzie reszta Hellenów?

— Na igrzyskach w Olimpii—odparł Demarat.

— I cóż tam robią tak ważnego, że dla igrzysk lekceważą wojnę?

— Konie królów i panów odbywają gonitwy. I ja tam niegdyś czwórką wyścig wygrałem. Biegną także nadzy ludzie do mety, a kto w wyścigu pieszym zwycięży, tego imię będzie wyryte na spiżowej tablicy. Rzucają tarczami do celu i mocują się w sposób wszelaki.

— I jakażto nagroda ich tam czeka? Wieleż złota, wieleż srebra weźmie zwycięzca, że to u nich rzecz tak ważna?—spytał król barbarzyński.

A Spartyata odparł:

— Od Elejczyków weźmie zwycięzca wieniec wawrzynowy. Chwalić go będą po pieśniach, czcić go będą do śmierci i jeszcze po śmierci.

Ruszył Kserkses ramionami i tłumy swe nieprzejrzane, różnorodne, puścił do szturmu przeciw Grekom. Ale w wieczór nie ruszał już ramionami wcale. Grecy byli na górze i strzały niemodne dolatywały do nich; Grecy mieli na sobie pancerz i w rękę długą włócznię, a Azyatów broniła tylko tarcza lekka ze trzciny. Azyatom służyła tylko broń krótka, więc jak muchy padali zakłóci przez włócznie helleńskie, a najmniejszej szkody Grekom zrobić nie mogli. I tygodnie całe musiał król czekać u stóp wąwozu; a gdy wąwóz obszedł, wrócili się do domów inni Grecy, Leonidas i Spartyaci nie chcieli się na krok cofnąć i woleli zginąć. Włosy sobie namaścili, kwieciami uwieńczyli skroń i zanucili pieśń. Król zginął z chwałą w pierwszym szeregu, przyjaciel zginął przy nierozłącznym przyjacielu, tak, jakby dziś kochanek ginął przy kochance, bo w Helladzie kochankami bywali przyjaciele, często tak, że tego nie mogli chwalić filozofowie: i król królów poraz pierwszy zaznał greckiej cnoty.

Ale goście z Azji przeszli Termopile i w pochodzie swym wypili rzekę na sucho, gdy rzekę spotkali i strach był w Grecyi i Beotowie i Focejczycy poddali się królowi, a Spartyaci ruszali się powoli; na radę zebrali się mężowie Ateńscy. Nie wiedzieli co począć i posłali po radę do Delfów, a z Delfów przyszła odpowiedź, że bój będzie daremny, że klęska będzie niezawodna, że Akropolis czarną krwią spłynie i że nie zostanie z Aten śladu. W drewnianych statkach jedyny ratunek, jedyny ratunek w ucieczce. A na to rzekł Temistokles:

— Będziemy się bili, wbrew groźbie bogów.

I odwieziono matki, żony i córki na zieloną Salaminę i do Trezeny w Peloponezie i na to by Grecy uciec nie mogli, dał się Temistokles ze statkami otoczyć w Salamińskiej cieśninie przez tłum niezliczony statków perskich. Król królów spalił był już bezludne Ateny i ze szczytu góry patrzył na wojsko niezliczone i statki o czerwonym dziobie i cieszył się już, że Greków wszystkich ma w rękę. Zawiął wiatr poranku, wstały białe zorze, w słońcu zabłyśł tron, zabłyśła króla korona, ale Grecy w szyku i ładzie popłynęli naprzód; w takt biły wiosła, a pieśń unosiła się ku niebu; sternicy wołali:

— Naprzód dzieci Greków! Oswobodźcie ojczyznę waszą i dzieci i żony <sup>1)</sup>!

I z ładem i bez trwogi łamały statki Greków tłum nieparadny perski i w cieśninie tonęły okręta króla królów, a wieczór Kserkses zeskoczył z tronu i zapłakał, bo gdy flota jego zginęła, musiało wojsko niezliczone, z głodu chyba mrznąć w Helladzie.

I w zwycięztwie i z pieśnią na uściech, lądowali Ateńczycy na święte ojczyste wybrzeże i ujrzeli jako młodzieniec wbiwszy włócznię w łódź, tańczył nagi dokoła włóczni piejąc o zwycięztwie, w purpurowem świetle zachodzącego słońca. Młodzieńcem był poeta Sofokles i wielka pieśń zwycięztwa w Helladzie powstała, bo garstka mężów wolnych a cnotliwych pokonała świat cały, królewskich niewolników. I w Plateach pobito raz jeszcze Persów na lądzie, a pod Mikale w Azji na morzu i Hieron Syrakuzański pobił w tymże czasie Kartagińczyków pod Himerą, a Etrusków pod Italskimi Kumami. Zwycięztwo było, cześć i chwala! Eschyl, ponury piewca hartu i ładu, wywiódł Persów na scenę i kazał im opłakiwać klęskę niesłychaną, a tłumy greckie okrzykami radości wtórowały płaczom wroga; i siadł wśród Hellenów przy biesiadzie piewca Pindar i porównał ojczyznę swoją do harmonii wszechświatów, do świętej bogów jasności i do niebios ładu, co bez trudu uśmierza siły podziemne, ślepe, ukryte pod wielkiem brzemieniem Etny i jasno było w Helladzie, a Fidyasz kował posągi, rzeczy tak piękne, jak jasne słońce na niebie. I dziś jeszcze słyszemy pieśń wielką, pieśń świętą, którą po wiekach zaśpiewała wiekom, słowem i marmurem owa lutnia narodów, lutnia owa ze stali: Hellada praw i mężów wolnych ojczyzna!

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

<sup>1)</sup> Persowie, Eschyla.

# Antoni Oleszczyński.

PRZEZ

*Sewerynę z Zochowskich Duchlińską.*

## V.

Nadeszły krwawe dni czerwcowe. Tu już nie idzie o wywalczenie tych lub owych politycznych swobód: rewolucya przybiera ów charakter komunistyczny, właściwy stepowym koczownikom, ale tak sprzeczny z dążnością i tradycją ludów cywilizacji europejskiej. Paryż dzieli się na dwa obozy. Nad jednym powiewa czerwony sztandar; z tysiąca ust wybiega hasło szalonych doktrynerów: *Własność kradzież!* Do drugiego obozu biegną ludzie serca, gotowi kosztem krwi ocalić społeczeństwo tak silnie zagrożone. Artysta nasz pojął znaczenie walki. Pięknato chwila w jego życiu. Mógł on nie przyjąć udziału w zapasach, łatwo mu było wytlómaczyć się, jużto wiekiem, już niezajomością sztuki wojskowej; on tymczasem bez chwili wahania, porzuca swoje rylce i blachy, staje w szeregach gwardyi narodowej.

Opowiada to z całą prostotą, godną wielkiej ofiary jaką czyni. Zobaczmy go w tym nowym charakterze. Oto krótki ustęp z *Pamiętnika*.

„Przyszedł dzień 24 czerwca 1848 roku, socjalizm rzucił ludzkości rękawicę. Przy Panteonie, o kilka kroków od mego domu, okrążył się barykadami, wywiesił czerwoną chorągiew. Tłumy niepocziwe otoczyły ją, gotowe umrzeć lub przeistoczyć społeczeństwo.

„Rano o piątą słyszę bęben, widzę przez okno ciągnącą chmurę, zjeżoną bagnietami. Pewien że to mój batalion, chwytam czempredżę za broń, lecz żona moja, tknięta przecuciem, radzi, bym się nazbyt nie kwapił. W rzeczy samej byłto oddział powstańczy, ciągnący z przedmieścia. Gdybym był z bronią w ręku stanął wpośród złoczyńców, zagarniony przez nich, byłbym musiał strzelać na ludzi pocziwych, lub też opór przypłacić życiem.

„Kiedy czekam co dalej nastąpi, słyszę strzały zrazu pojedyncze, później plutonami, wreszcie zagrzmiały działa. Opanowała mnie gorączka: dotąd, myślę sobie w duchu, pełniłem pilnie służbę w gwardyi narodowej, nie opuszczałem żadnej warty, mustry, ani parady; ztąd powołano mnie do zasiadania w radzie naszej kompanii; ależ gwardya istnieje nie dla narad, mustry ani parady, lecz dla bronięcia własności i porządku! Dziś, kiedy jedno i drugie zagrożone, wypadaj mi zostać

\*) Dokończenie, patrz zeszyt za m. czerwiec r. b.



za piecem? Jam jeden Polak w kompanii, nieobecność moja wnet będzie spostrzeżoną... Nazwą mnie tchórzem... Na to Polakowi przystać nie wypada! Kładę więc bluzę pożyczoną, bo inaczej trudno ukazać się na ulicy, chwytam za karabin i chyłkiem, wpośród kul świszczących w powietrzu, dobiegam do cyrkułu (*Mairie*), gdzie był plac zbor-ny kompanii naszej.

„Przybywam szczęśliwie, znajduję drobny ledwie ułomek tój kompanii: wczoraj liczyła trzystu ludzi, w tój chwili stanowczej liczy ich ledwie ośmdziesiąt!

„Nasz kapitan Wensen, wytrawny marynarz, otrzaskany z niebezpieczeństwem, zwykle wesół, gaduła, dziś jakoś ponury i milczący, rozkazuje nam stanąć w szyku; wreszcie przemówił do nas: „Wszystkie dzielnice z całym poświęceniem pochwyliły za oręż, nasz oddział jeśli szczególniej pomnożył liczbę powstańców, ma przecież ludzi poczciwych, rozumiejących dobro kraju. Czas nam pokazać tym szaleńcom, że niedarmo broń nosim! Kto gotów iść za mną, niech odpowie! Dalej na barykadę!”

„*Allons!*” wołają liczne głosy.

— Marsz! *en avant!*—krzyknie kapitan.

„Ruszamy z determinacją, koło Panteonu stajemy chwilę, nabijamy broń. Wtém zpoza bocznej barykady sypnął się na nas gesty ogień. Kapitan zwraca się ku nam i wyrzecz z uśmiechem: „Na głupie pytanie, odpowiedzieć nie warto! Wreszcie, nie przebić kulą kamienną ściany: szkoda prochu!”

„Aż tu dwu naszych odbiera postrzał, trzeci upada trupem.

— Co tu czekać—zawoła kapitan—czas iść na barykadę! Na ramię broń!

„Czekamy na rozkaz, nagle z ulicy Soufflot występuje wojsko liniowe, staje nam wpoprzecz drogi. Dowódca przystąpił do kapitana.

— Z barykadami—rzeczemy—my tu się wkrótce załatwimy. Gwardya niech strzeże domów narażonych na niebezpieczeństwo.

„A zatém, prawa noga w tył... wracamy do cyrkułu; tu smutny uderza mnie widok. Patrzę, niosą z pobojowiska powstańca ciężko rannego. Oblany krwią, powtarza ochrypłym głosem: „Pomściejcie mnie! rabujcie dobrze!” Ta apostrofa jawnie wskazywała cel walki.

„W cyrkułe rozdzielono nas na kilka części: mój oddział zajął klasztor Ś. Michała; kilkaset lekkliwych kobiet szukało tam przytułku. Przez ciąg trzydniowej walki, odbywałem czaty w tój zaimprovizowanej kordegardzie, wykrzykując co chwila: *Qui vive? Sentinelle prenez garde!*

„Pokonano wreszcie powstanie; rozwiązano legią, a ja złożyłem broń i wróciłem do domu. Tak ukończyła się służba moja, do której nie ciągnęło mnie powołanie, ale uczucie honoru i obywatelskiej powinności.

„Widziałem zbliżka śmierć i niebezpieczeństwo: nie tak one straszne jak je malują. Wrzawa, szcęk broni, huk armat, głuszą

w nas instynktową obawę zgonu lub kalectwa. Dość mi było na tej nauce. Ofiara moja zjednała mi naturalizacyą, przypuściła do krajowych swobód i pozwoliła mi głosować na obiór cesarza Napoleona III."

Kilka miesięcy służył w gwardyi narodowej, wielką przyniosło korzyść tak artyście naszemu jak i tym wszystkim, którzy z zajęciem śledzą piękny a dziś stargany wątek jego żywota. Mustry codzienne w ogrodzie Luksemburskim ukrzepiły mu zdrowie; kolejne zaś warty, odbywane co tydzień przez dobę, obdarzyły nas szacowną autobiografią. Czynna służba zabierała mu ledwie kilka godzin, miał też dosyć wolnego czasu; aby go skrócić, kreślił dawne wspomnienia, w miarę jak mu na myśl przychodziły. Gdyby nie ta okoliczność, przyciśnięty nawet prac, nie byłby nigdy przystąpił do *Pamiętnika*; dowód na to, iż go nie posunął dalej nad rok 1848. Z czasów późniejszych pozostały tylko luźne zapiski; zbrakło czasu do spojenia ich w jedną całość.

Artysta nasz wrócił do swoich rylców. Wkrótce potem dotknęła go boleśnie wiadomość o pogorzeli Krakowa. Miłośnik pamiątek ojczystych, ubolewał nad starożytnym kościołem Dominikanów, obróconym w perzynę z pomnikami i bogatą biblioteką. Cała Polska uczuła stratę, kto mógł składał swój datek na podźwignięcie pięknej gotyckiej bazyliki. Oleszczyński dzielnie przyczynił się do tego. Wykonał on wielką rycinę *in folio*; w górze unosi się N. Panna z Dzieciątkiem, u stóp Bogarodzicy patronowie narodu: Ś-ty Jacek i Ś-ta Salomea, ukazują stary Wawel i gruzy zgorzałych kościołów; u dołu artysta wyrył piękną modlitewkę biskupa krakowskiego Woronicza.

Kraj z wdzięcznością przyjął tę pracę; rycina przebiegała w tysiącnych egzemplarzach i stała się już nie prostą cegiełką, lecz potężnym filarem odnowionej budowy.

Podróż do Szwajcaryi i Niemiec Nadreńskich, odbyta z przyjaciелеm, oderwała artystę od zwykłych prac; zwiedził kolejno Bazyleę, Friburg, Baden, Hejdelberg, Moguncyą, Frankfurt; w ciekawym dyaryuszu zostawił pamiątkę tej kilkotygodniowej wycieczki. Z młodzieńczym zapałem wdziera się na góry: tu ogarnia wzrokiem śnieżne wierzchołki Alp, tam malownicze brzegi Renu. Pilnie ogląda starożytne pomniki po kościołach, wyczytuje gotyckie napół zatarte zgłoski; w bibliotekach przegląda odwieczne księgi i rękopisma, szuka przedewszystkiem starych zabytków, świadczących, że Polska w XVI wieku nie ustępowała w cywilizacji innym europejskim ludom. Z jakążto dumą odkrywa w Bazylei dzieło Strusia! jak szczęśliwy, gdy niezbitemi dowodami przekonywa bibliotekarza, iż ów Stratovius, mistrz akademii Padewskiej, którego dzieło drukowane w Bazylei a przysłane do Padwy, rozbiegło się w dniu jednym w ośmset egzemplarzach, był Wielkopolaninem, urodzonym w Poznaniu; jakim znów wybucha gniewem, gdy bibliotekarz, zagadniony o księgę Jana Zamoyskiego, drukowaną również w Bazylei, utrzymuje, że ani słyszał o niej; z jakim tryumfem nasz erudyta odkrywa wśród starych druków ową rozprawę:

*De Senatu Romano*; jak usilnie nalega, aby napis: *autor incognitus*, zamienił na *Johannes Zamojski!*

Liczne grono ziomek, przebywających u wód w Homburgu i Badenie, uczcilo w godny sposób naszego mistrza. Rozerwano w okamgnieniu wszystkie ryciny, jakie zabrał z sobą na wypadek. „Wyjechałem, mówi on, z dwunastu frankami w portmonetce, powróciłem do domu więcej niżli z tysiącem. Byłoby więcej jeszcze, lecz mi zabrakło egzemplarzy!”

Zachęcony takim powodzeniem artysta, począł znów marzyć o pomnikowym dziele: przedmiotem jego miał być sławny hetman Potocki, Revera, pogromca Szwedów i Rakoczego. Bohaterska ta postać zająć miała główne miejsce na obrazie, wśród liczego grona zasłużonych krajowi Pilawitów. Szereg ich rozpoczyna Żyrośław, rycerz XII wieku, dalej błyszczy ów młody Stefan, uczczony najpiękniejszą z pieśni Niemcewicza. Jeszcze dalej przyświeca wspaniała postać prymasa Teodora, oddanego sercem Leszczyńskiemu, chlubnie przezwanego *ojcem ubogich*. Piękny ten szereg zakończają trzej mężowie, których imiona świecą jak gwiazdy u zmierzchu dziejów naszych. Ignacy główny promotor ustawy majowej, Jan słynny podróżnik po Słowiańszczyźnie, Włodzimierz bohater Sandomierza!

Artysta już naszkicował plan pomnikowej ryciny, wydobyl z dziejów postacie trzydziestu sześciu Pilawitów, powiązał ich w okazałe grupy, przybrał w stroje odpowiednie do wieku, z całą ścisłością archeologiczną, nadał każdemu układ i ruch właściwy. „Tak utworzony pomysł, mówi on, poddałem pod sąd Instytutu, prosząc, aby spojrzawszy bacznym okiem na przedmiot, wskazali czego mu niedostaje. Nie powtórzę ich sądu, powiem tylko, że tém śmieliej zamierzyłem przystąpić do dzieła!” Niestety! zamiar ten rozbił się o niepodobieństwo; praca wymagała trzech lat czasu; ręka, która miała wykonać arcydzieło, zmuszoną była pracować na chleb dla rodziny. Później ta ręka omdlała, oczy osłabły; Pilawici zostali w tece!

Dzieło wydawane przez księdza Martin: *O sztukach średniowiecznych*, otworzyło artyście pole do korzystniejszej pracy. Wykonał dwadzieścia rycin, przedstawiających misterne rzeźby z drzewa i kości słoniowej. Powołany potem przez wydawców dzieła Plutarcha, narysował kilkanaście popiersi starożytnych; wypracował przytóm całą serją obrazków świętych dla seminarium ś. Sulpicyusza.

Śmierć Mickiewicza głęboko poruszyła Oleszczyńskiego; porzucił więc inne prace, aby uczcić pamięć narodowego wieszca. Odtworzył drogą tę postać z posągu, wykonanego w Poznaniu dłutem brata swego Władysława. Wkrótce potem Sadyk Pasza (Czajkowski), przysłał mu z Konstantynopola fotografią, zdjętą z oblicza zmarłego, w chwili gdy ciało złożonemu być miało do trumny.

„Dawne stosunki przyjaźni, mówi artysta, łączyły mnie z Mickiewiczem. Onto niegdyś moje napisy na Koperniku sprawdzał i poprawiał, onto nie szczędził swęj zachęty w pracach moich artystycznych i literackich, a nawet miał cierpliwość, moję powieść historyczną: *Rodowód przybylców*, przeczytać od deski do deski i tam dorzucił niektóre myśli swoje. Ja też niegdyś rytowałem jego młodzieńcze popiersie, później posąg; należało poświęcić mu i tę ostatnią pracę. Ze zaś widok trupa, jakkolwiek ubranego w czamargę i czapkę krakowską nie jest przyjemnym, więc narytowawszy go w tychże samych ramkach, w jakich fotografia przysłałą mi była, otoczyłem go napisami i godłami, przypominającemi jego chwałę. W górze położyłem napis: *Ile cię cenić trzeba, ten się tylko dowie, kto cię stracił!* Z jednéj strony postawiłem ów puchar, ofiarowany mu przez Rossyan w Moskwie r. 1829, z drugieję puchar dany przez ziomków w r. 1840. Pod nim umieściłem medal, bity w r. 1845 na cześć Quineta, Micheleta i Mickiewicza, profesorów w kolegium francuzkiém, a widząc młodzież naszą w Paryżu, oddającą się gorliwie nauce, poświęciłem jęj całe dzieło pamiętną strofą poety:

Młodości! Ty nad poziomy  
Wylatuj, a lotem słońca,  
Ludzkości całe ogromy,  
Przenikaj z końca do końca!”

W tych właśnie czasach, cesarz Napoleon rozszerzył dawne przywileje dla młodzieży polskieję, uwalniając ją od wszelkich szkolnych opłat, a tém samém otwierając jęj drogę do naukowego wykształcenia. Oleszczyński przejęty wdzięcznością, ofiarował kolekcją prac swoich do biblioteki cesarskieję. Zbiór ten złożony z dwuset rycin, oprawny w wielką księgę, rozpoczyna w katalogu osobny dział, poświęcony wyłącznie rzeczom polskim.

Przybył wtedy z kraju do Paryża, brat artysty Władysław, niegdyś uczeń jego i wychowanek. Trzy miesiące przebyli razem. Obok radości, jaką sprawiało spotkanie z ukochanym bratem, czuł on niemniej dręczący niepokój, patrząc na zwątlone jego siły. Władysław wyjechał do Rzymu; wkrótce wieść o jego skonie, napełniła serce brata nieutulonym żalem.

Książę Stanisław Jabłonowski, aby złagodzić nieco tę boleść, zabrał go wiosną do Krakowa. Kilkotygodniowy pobyt w odwiecznym grodzie, widok ojczystych pamiątek, a obok tego dowody powszechnego uznania, jakie co chwila napotykał, wszystko to ożywiło artystę. Podróż ta była oddawna celem najgorętszych jego pragnień. Żałujemy szczerze, iż w pozostałych listach i zapiskach niema najdrobniejszego śladu tych chwil, spędzonych między swymi.

Za powrotem do Paryża, Oleszczyński z nową energią zasiadł przy ulubionym stole. Krzepki starzec żadną niedotknięty niemocą,

lekką znośił brzemię lat z górą siedmdziesięciu. Wzrok nieco osłabiony nakazywał mu wstrzymywać się od rylca, pozwalał jednak zajmować się łatwiejszą pracą, do której nigdy nie brakło mu pobudek. W życiu jego przyszła chwila spokojnego wytchnienia: wówczas błogosławieństwo dobrej matki spełniło się nad starcem w całym znaczeniu słowa. Dwoje dorosłych dzieci: córka wysoko ukształcona, zajmująca się wychowaniem pańienek w zamożnym domu i syn biegły architekt, hojnie wypłaciły ojcu, to co on niegdyś czynił dla własnej matki. Otoczony troskliwą opieką żony, mógł więc odpocząć po długoletnich trudach, bez obawy o jutro. Pragnąc zostawić ukochanej córce godną siebie pamiątkę, począł wtedy gromadzić dla niej zbiory, nazwał je archiwami wspomnień artystycznych, literackich i historycznych. Zbiory te, objęte w siedmiu woluminach, doszły wkrótce do tysiąca przedmiotów. Były tam i oryginały i kopie transponowane z rzadkich dzieł i przerysy i *facsimila*; wszystko to ułożone z artystycznym smakiem, opatrzone objaśniającymi napisami. Widzieliśmy nieraz uciechę artysty, gdy mu wpadł w rękę jakiś ważniejszy pomnik, szczególnież tyczący się literatury lub dziejów narodowych. „Ucieszy się moja Jadwiga!” powtarzał nalepiając do książki nową kartę, a oko jego żywą promieniało radością.

W tymże czasie Oleszczyński wzbogacił nowemi materyałami dwie literackie prace oddawna rozpoczęte. Jedną z nich powieść historyczna: *Rodowód Przybyłców*, drugą: *Zarys historyczny sztuk pięknych pomników w dawniej Polsce*. W przedmowie do tej ostatniej pracy, autor określa jój cel i znaczenie.

„Od chwili jak się poświęciłem sztukom pięknym, mówi on, uczułem potrzebę gromadzenia wspomnień do nich się odnoszących. Nie było wtedy jeszcze żadnego specjalnego dzieła w tym przedmiocie. W takim niedostatku, moje notaty zwolna przybywające, počęły mnie utwierdzać w przekonaniu, że i my także mieliśmy chwile, w których niejedna gałąź sztuk pięknych zbliżyła się do niepośledniej doskonałości, a niejedno krajowe dzieło postawione obok obcych, stynaących w świecie, nie traciło na porównaniu.

„Aliści pojawiły się prace Ambrożego Grabowskiego, Kraszewskiego, Woycickiego, Sobieszczańskiego, Rastawieckiego i wielu innych. Te nie tylko utwierdziły mnie w dawném przekonaniu, lecz i posłużyły do pomnożenia notatek moich, którym daję dziś porządek chronologiczny.

„Jeżeli ograniczam się celniejszymi tylko wspomnieniami, to z powodu że niezamierzałem pisać historii sztuk pięknych, ani dykcjonarza, którego właściwą atrybucją wyczerpać rzecz do gruntu. Mój cel nierównie skromniejszy: dosyć dla mnie, jeżeli te notatki pobudzą udolniejsze pióro do skreślenia historii sztuki w kraju naszym.”

Rękopism ten złożony z trzystu stronnic *in folio*, obejmuje wiadomości o stanie sztuki w Polsce od czasów przedhistorycznych do koń-

ca panowania Stanisława Augusta. Autor rozpoczął rzecz wyliczeniem archeologicznych zabytków; przechodzi następnie do pomników architektury, do dzieł pędzla, dłuta i rylca; opisuje medale; daje poznać teatru, muzyki i t. d.

Powieść historyczna: *Rodowód przybylców*, fantastyczna w pojęciu, ciągnie się przez pasmo dwu wieków. Sam już wstęp zasługuje na uwagę: oto jego początek:

„Potrzeba mało mieć rozsądku a wiele miłości własnej, aby śmiało wystąpić ze swoim rodowodem, o którym żaden herbarz nie wspomina,“ tak może pomyśli czytelnik.

„Wprawdzie, nie jeden spoczawszy na zbutwiałyach wawrzynach swego rodu, szczyti się kartą pergaminową, gromadzi rozpierzchłe wieści o przodkach, ogłasza je chętnie, a nawet maluje herby na domach i powozach, sądząc że tém samém dopełnił święcie obowiązków, względem kraju i rodu swego.

„Bóg zachował mnie od takiej próżności, nie dał mi nawet środków do chlubnego wystąpienia z antenatami, bo gdyby mi przyszło historycznie spojrzeć na własną przeszłość, naówczas w mojem sercu polskiem, mógłbym napotkać bijącą krew tatarską.“

Opowiada następnie autor, jak praszczur jego Mirza Tarak, w początkach XVI wieku, przybył z rodziną do Polski, gdzie jęczał w niewoli starszy jego brat Achmet Han Tatarów. Młody Mirza tak sobie upodobał w kraju polskim, że po śmierci brata nie wrócił już do Złotej Ordy. Onto w języku arabskim począł pierwszy spisywać swe przygody. Syn jego Jan, używany do poselstw, otrzymał od króla kęs ziemi: nazwano go Przybylcem. Odtąd przez cztery pokolenia, potomkowie Mirzy Taraka zapisywali w rodowej księdze, sprawy tak domowe jak i publiczne, w których byli uczestnikami: każdy z nich umierając przekazywał ją starszemu synowi. Po latach stu pięćdziesięciu, owa księga spłonęła w Oleszczycach podczas najazdów szwedzkich. Ale Jerzy Przybylec, ostatni jej właściciel, tylokrotnie ją był odczytał, że mógł całą powtórzyć z pamięci. Spisał ją też na nowo, arabski zaś początek Taraka przetłómaczył na polski język. Na czele tak przemawia do współplemiennych sobie rodzin.

„Wy Kopcie, Perekopy, Hurdy, Kopczaki, Ordy, Przybylce, Bulharyny, Ordyńce i Ordęgi, bez względu że herby i nazwiska dzisiaj nas odróżniają, wam przypominam, szanujcie tę księgę, bo zacy Mirza Tarak wspólnym był naszym naddziadem. Uczcie się na pamięć co tu napisano i piszcie dalej, polecam pod błogostawieństwem.“

I znów księga przechodziła z ojca na syna: autor opowiada jak ją odziedziczył po ojcu, jak ją wielokrotnie odczytywał. Puszczał się w podróż, zostawił drogą pamiątkę, dla bezpieczeństwa, w Kazimierzu u matki, gdzie miał ją spotkać podobny los, jaki spotkał pierwszą księ-

gę za szwedzkiego najazdu. Równie jak prapradziad Jerzy, Antoni powtórzył ją z pamięci.

W takie to fantastyczne ramy ujął autor mnóstwo historycznych szczegółów. Jeden z Przybylców, rówieśnik Jana Zamoyskiego, wychowany przy jego boku, towarzyszy mu w wędrówce do Paryża i Pady. Syn jego walczy z Rakuszanami pod Buczyną, w Infantach ściera się z wojskami Sudermana, z jarów Podola przepędza Tatarów na Perekop, nie pomny rodowych z nimi związków. Wnuka widzimy w obozie hetmana Żółkiewskiego, prawnuka w Tyszowcach przy Stefanie Czarneckim. Wątek to zaprawdę bogaty! Autor przeplata historyczne wypadki obrazami z życia domowego. W jego stylu brzmi tętno Zygmuntofskiej epoki. Nie wiemy ile razy Antoni Oleszczyński przeczytał księgę Jerzego Przybylca, ale za to śmiało możemy ręczyć, że wielokrotnie odczytał Reja, Bielskiego, Górnickiego, a nadewszystko Skargę.

## VI.

Spokojne to i pracowite życie przerwała nagle burza, gwałtowniejsza niż wszystkie jakie artysta przetrwał w długim pasmie dni swoich. Mówimy tu o wojnie 1870 roku. Tu już późny wiek nie pozwolił mu przyjąć udziału w służbie wojskowej, jak przed dwudziestu laty, choć więcej niż wówczas bolał nad stanem Francyi, widząc ją upokorzoną przez Prusaka! a co więcej karmiącą już w łonie swoim hydrę bezrządu, rewolucyą komunistyczną, straszliwszą od tój, przed którą Paryż drżał w roku 1848. Gorąco przywiązany do Francyi, nie chciał opuścić stolicy przed oblężeniem, rad był jednak że ukochana córka wyjechała do Brukseli. „My tём przynajmniej pocieszeni, pisze do niéj, że ty zagranicą słyszeć nie będziesz grzmotu armat i jęku rannych.“

Mamy przed sobą kilkanaście listów pisanych do córki, najprzód pocztą, potem balonem. Opisuje w nich swoje wycieczki na fortyfikacye, przechadzki po Luksemburskim ogrodzie, zainienionym w wielki pastewnik, pełen bydła i owiec; opowiadał jak wyrzucił kwiatki z doniczek a posiał w nich sałatę. O ile może, uspakaja oddaloną, zaleca ufność w Bogu; chwali wyborny smak koniny, upewnia o doskonałym stanie zdrowia, dzięki wygnanym zbytkom.

„Ufaj taktyce naszej, i położeniu naszego mieszkania, dodaje w jednym liście: nas kule nie dosięgną!“

Niestety! kule dosięgły cichego zakątka, gdzie starzec aby rozzerwać umysł w bolesnych chwilach, zajął się pilnie malowaniem talerzy na porcelanie. Przeznaczał je dla ukochanej córki. Oto list pisany w dzień Nowego roku, posłany do Brukseli balonem.

„Kochana moja Jadwigo! Smutnyż dla nas ten Nowy rok, raz że ciebie nie możemy przycisnąć do serc naszych, a potem że jesteśmy w ciągłej obawie. Dziś bomby przybiegły w nasze sąsiedztwo; świszczą

nad Panteonem. Mamy przecież nadzieję, że nam się nic złego nie przytrafi. Wśród tylu smutnych wypadków, pozostała nam jedyna rozrywka: mały i śliczny piesek, którego chciano upiec na różnie jako przysmak. Brat twój wyprosił go dla siebie, i my wszyscy trudnimy się jego edukacją.“

„Tryb życia jakie prowadzimy służy nam widocznie, bośmy wszyscy utyli; druga korzyść, że się przyuczymy do wielkiej oszczędności. Psów, szczurów i kotów nie jedliśmy dotąd, bo to przysmak dla wielkich panów: my poprzestajemy na końskiém mięsie i to w dozie homeopatycznej.“

„Malowanie talerzy nie idzie tak prędko, jakby szło w czasie spokojniejszym. Wykończyłem jednak sześć; będę bardzo szczęśliwy jeżeli się tobie spodobają. Nie są to cacka dla dzieci, ale raczej poważne pamiątki historyczne.“

Kilkanaście dni ubiegło zaledwie od nakreślenia tego listu, a postać rzeczy stała się nierównie groźniejszą: smutne przewidywania zamieniły się w smutniejszą jeszcze prawdę.

„Wiadomo ci zapewne z dzienników, pisze ojciec w następnym liście, że bombardowanie trwało przez piętnaście dni bezustanku. Nasza ulica i w ogólności okolice Panteonu szczególnie ucierpiały. Naprzeciw okien naszych jest, jak pamiętasz hotel; tam wpadła bomba, przeleciała przez dach i przedziurawiła dwa piętra, pokruszywszy to wszystko, co się w pokojach znajdowało. Zakonnice, nasze sąsiadki, dostały także kilkanaście pocisków; ichto klasztor zastąpił nasz dom; my przecież nie ufając bombom, z góry jak pioruny spadającym, skupiliśmy się w mojej pracowni i tam ze strachem czekaliśmy, rychło i nas jakaś bomba nawiedzi, gotowi na śmierć każdej chwili, wkoło nas bowiem słyszeliśmy w powietrzu najstraszliwszy poświst, tak we dnie jak i nocą. Wśród ciągłego niepokoju musiałem na chwilę porzucić twoje porcelanę!“

Dobry ojciec przemilczał nie jedno, aby nie trwożyć biednej córki. W czarniejszych on barwach przedstawiał rzecz w kreślonym wówczas *Pamiętniku*. „Przekłete bomby, pisze on, jak złowrogie ptaki przebiegały wciąż nad Paryżem. Raz, gdy zajmowałem się układaniem ksiąg w bibliotece, wpada ogromna bomba w dom stojący naprzeciw mojego; przebija dach i rozpryskiem swoim wybija szybę w mojem oknie, tłucze porcelanę na półkach rozstawioną. Mnie przecież te żuźle ominęły. Aby jednak uniknąć podobnego wypadku, przeniosłem się do pokoju od dziedzińca, a żona moja zeszła wraz z sąsiadkami do piwnicy. Wtém pada bomba na dziedziniec, zapala stajnię, tuż pod oknem mojem. Dym począł w nie zaglądać i zbiegam na dół, wywołuję sąsiadów z piwnic: wspólnemi siłami przygaszamy nareszcie ogień.“

Głód dokuczał coraz dotkliwiej; chleb czarny ościsty, mięszanina plew, otrąb i suchego ziela, nie dawał żadnego posiłku; racye mięsa zredukowane do małych kęsów, zwodziły tylko żołądek. Dobry ojciec nie zali się na to w liście do córki, swobodny humor nie opuszcza



go wcale. „Tak skromny sposób życia, mówi on, dał się głównie uczuć sukniom naszym, stały się bowiem tak obszerne, że trzeba było poprzybliżyć guziki.“

Troskliwa córka tymczasem, jak anioł opiekuńczy, zdala czuwała nad rodzicami. Jéjto staraniom zawdzięczali oni niespodziewany zasilek otrzymany z Londynu, za pośrednictwem ambasady angielskiej. Szczegóły o tém starzec zapisał w *Pamiętniku*.

„W woreczku naszym, mówi on, bardzo już było chudo, aż tu przywlokło się do nas dwu ziomeków, niegdyś dumnych i szumnych; zgłodnieli biedacy od półtorej doby, nie mieli w ustach żadnego pożywienia. Zatrzymaliśmy ich na obiad: składał się z rosółu, z kawaleczką koniny i z połowy kota przezwanego królikiem. Te przysmaki chociaż bez soli, bo nam jéj zabrakło, okraszone winem i kawą, dziwnie nam smakowały: od dwu miesięcy nie śniło nam się o podobnych. Ale niestety, po tym bankiecie kasa nasza zesłała na siedm franków. Co będzie jutro? pytamy oboje z żoną. Gdy pocieszamy się myślą o miłosierdziu Bożém, odźwierny domu wchodzi, oznajmia że przyniesiono dwa pakiety, adresowane do nas. W pierwszym było pięćset franków, przysłanych z Brukseli od naszej Jadwigi; druga większa paka zawierała najdoskonalsze przysmaki: mięsa wędzone, salcesony, ryż, cukier, nawet ciasta, przysłane z Londynu. Ta niespodzianka przypomniła nam ów Psalm: „Kto się w opiekę odda Panu swemu!” Uzналиśmy że śpiew Dawida nie był wcale czczém słowem.“

Starczyło tych zapasów do końca oblężenia. Bomby wreszcie przestały świszczyć nad Paryżem: nastąpiła kapitulacya. Starzec pokrzepiony na siłach, zasiadł znów w pracowni i malował pilnie talerze, aby znaczny ich zasób przygotować na przyjazd swéj Jadwigi. Z radością donosi jéj o tém.

„Dla ciebie, pisze w liście, jako dla panienki poświęcającej się wychowaniu, wypadło mi tę pracę rozpocząć od rzeczy poważnych, historycznych; dalej będę dotykał kwiatów, pejzaży, arabesków i t. p. Będziesz miała kolekcya, jakiej nikt nie ma, gdyż to co dotąd ukończyłem, wszyscy tu podziwiają. Ściskam cię serdecznie, moja ty pociecho, mój zaszczycie, moja opiekunko, moja ty miłości; czekam cię z upragnieniem. Wszystko tu uporządkowane na twój przyjazd. Czeka ją wszyscy a szczególnie twój kochany tatko—Antoni.“

Rzućmy okiem na tę kolekcya talerzy, która tak żywo zajmowała artystę naszego. Zbiór to w rzeczy samej drogocenny. Jak we wszystkich jego utworach, tak i tu, trzy warunki dopełniając się wzajem, nadają téj pracy osobną cechę. Poznajemy tu zarazem rękę biegłego artysty, naukę wytrawnego archeologa i serce rozmitowane w historycznych pamiątkach. Z dwudziestu dwu talerzy, dwanaście poświęcił artysta wspomnieniom narodowym.

Na jednym pomieszczony w środku wizerunek Jana Pawła Sapiehy, z wielką szramą na czole i długim siwym wąsem. Brzegiem

talerza, wśród symbolicznych ozdób, skreślony gotyckimi zgłoskami napis, wyliczający rycerskie sprawy hetmana.

Na drugim talerzu panuje znana postać hetmana Żółkiewskiego, w misiurce i stalowej zbroi. Wkoło zielone wieńce z napisami: Byczyna, Kluzyn, Cecora; poniżej *facsimile*, oraz data urodzenia i skonu. W górze napis, położony na grobie ręką wnuka—Jana III: „*Oby powstał mściciel z kości naszych.*”

Inny przenosi nas w dzieje Litwy: wyobraża dwu kunigasów w żelaznych zbrojach: Kiejstuta i Witolda; w pośrodku nich Birutę w stroju średniowiecznym.

Na dwu innych przedstawione typy, już nie rycerstwa, ale zaskutych mieszczan krakowskich, z czasów Kazimierza Wielkiego. Jeden z nich sławny Wierzynek, stoi w gotyckiej bramie: napis przypomina gody wyprawione przezeń na cześć królów; drugi Mikołaj Gerlak, słynny tém, że sprowadził strumień Rudawy do Krakowa.

Do najpiękniejszych należy talerz z wizerunkiem N. Panny Częstochowskiej. Otacza go wieńiec kwiatów, *en relief*; poniżej w dwu medalionach dwaj patronowie polscy: święty Wojciech i święty Kazimierz.

Inny, niemiń piękny wyobraża dziewięciu królów, w osobnych medalionach. W pośrodku Bolesław Chrobry, okuty żelaznym pancerzem; wkoło niego Krzywousty, Łokietek, Kazimierz Wielki, Jagiełło, Zygmunt-August, Batory i Sobieski; brzegiem idą herby ziem i województw, wykonane według starożytnego oryginału.

Odpowiada mu drugi talerz z medalionami królowych polskich: Dąbrówki, Ludgardy, Kunegundy, Jadwigi, Zofii, Bony, Barbary, Anny Jagiellonki, Elżbiety, Maryi-Ludwiki. Ten, nieszczęściem, rozbity odłamem bomby pruskiej: artysta zlepził go jednak zręcznie: zostały ledwie słabe rysy, które nadają mu tém większą wartość.

Inne przedstawiają znów symboliczne przedmioty: w każdym równie bogaty pomysł, jak piękne wykonanie.

W dziesięciu talerzach wyobrażających obce przedmioty, artysta nasz dał dowód głębokiej erudycji. Widzimy tu różne typy: japoński, chiński, perski, indyjski, staro-galski, staro-słowiański. Na jednym uderza w oczy reprodukcja meksykańskiego kalendarza, sprowadzonego przez Korteza w XVI wieku. Ten również strzaskany pruską bombą.

Ciekawy szczególnie, typ arabski: brzegiem talerza ciągnie się napis, zdjęty z chorągwi posłanej do Rzymu przez króla Jana, po Wiedeńskim zwycięstwie.

Kolekcya to jedyna w swoim rodzaju, będzie kiedyś prawdziwym klejnotem zbiorów archeologicznych. Wielu artystów maluje dziś na porcelanie; może nie jeden prześcignie Oleszczyńskiego pod względem kolorytu i biegłości technicznej, ale wykonać dzieło takiej doniosłości jak dwanaście wspomnianych talerzy historycznych, może ten tylko, kto jak nasz czcigodny mistrz, przygotowywał się do tego pięćdziesię-

cioletnią pracą, prowadzoną w jednymże kierunku, kto jak on umiłowal stare nasze pomniki i jak on przesiąknął na wskroś tradycją narodową.

Niezaraz jednak dobra córka miała ucieszyć się widokiem tych skarbów, a bardziej jeszcze widokiem i pieszczotą drogiego ojca. Nad Paryżem, ledwie oswozonym z żelaznej obręczy pruskich dział i bagnetów, wisała czarna chmura, która miała niebawem lunąć krwawą powodzią i sypnąć piorunami. Z boleścią patrzył Oleszczyński na gwałty codziennie popełniane; włos powstawał mu od grozy, gdy przed oczyma jego, świętokradzcy, wdarłszy się na szczyt Panteonu, odrębywali ramiona krzyża i na pozostałym pniu, czerwoną zawieszali chorągiew. Panteon podsadzony prochem, groził ruiną całej dzielnicy miasta! Mimo groźnego niebezpieczeństwa, starzec nie oddalił się z domu: czekał cierpliwie spełnienia woli Bożej!

Pomnik Napoleona runąć miał skazany wyrokiem komuny. Szalony ten wyrok dotknął do żywego artystę. Wzrósł on pod czarem wielkiej epopei dziejowej, zachował też gorącą pamięć bohatera, którego zwycięskie orły witał niegdyś nad Wisłą. Pchany tym prądem, co sprawia, że radzi szukamy rozdzierających serce widowisk, pośpieszył w tym dniu na plac Vendôme. Nieraz opowiadał nam wrażenia owę okropną chwilę; „Jak tam było, powtarzał, na to niema słów w ludzkiej mowie!” Kiedy runął kolos, ulany z dział wydartych wrogom Francji, ziemia jękała przekleństwem, słońce zgasło w tumanach pyłu, niechcąc być świadkiem takiej hańby! gmachy zatrzęsły się w posadach, tłuszcza przyklasnęła świętokradztwu. „Niech żyje komuna!” wykrzyknęło tysiące głosów. „Niech przepadnie! niech jak ten spiz rozbije się na kęsy,” szepnął do starca weteran, co stał przy nim drżący jak liść, błąd jak widmo.

— Niech przepadnie!—odszepnął starzec: podali sobie ręce i z klątwą na ustach rozeszli się wśród tłumu.

Klątwa rychło spełnić się miała. Piekielny dramat miał niebawem rozwinąć się na ulicach paryzkich. Artysta nasz mieszkał w dzielnicy na największe narażonej niebezpieczeństwo. Z listu pisanego do nas pod wpływem świeżych wrażeń, przytaczamy wiernie cały ustęp.

„Ulica St. Jacques obsadzoną była silnemi barykadami. Przyszło do uporczywej bójki: trwała bitwa od rana do piątej wieczorem. Ziemia trzęsła się od huku dział i karabinów. Na każdy strzał, fortepian nasz odpowiadał żalonym jękiem. Bomby nie pobłazały domom. Sześciopiętrowa kamienica naprzeciw okien naszych, utraciła już trzy podstawy; zostało ich dwie jeszcze: gdyby jedna zniszczoną została, wówczas runąłby wielki gmach i przywalił nas swym ogromem. Wyprawilem płaczącą żonę do piwnicy, sam zaś w pracowni mojej od dziedzica, zabrałem się do pisania testamentu, bez nadziei abym go mógł dokończyć.”

Bój wreszcie posunął się dalej; w samą porę przecięto knot prowadzący do składów prochu pod Panteonem. Część miasta ocalała,

lecz widok płomieni roztoczonych nocą nad Paryżem, przenikał artystę naszego uczuciem boleści i grozy.

„Nazajutrz wyszliśmy na ulicę, pisze dalej w liście swym do nas: okropnyż to był widok! Wszystkie domy jakby w łachmanach; wyszczerbione, bez okien! niejeden zbryzgany krwią lub mózgiem. Ledwie uszliśmy kilka kroków, aż tu kupa gruzów i straszliwsza jeszcze kupa ciał ludzkich tak zasłała ulicę, że trudno się przecisnąć bez nastąpienia na głowę, rękę, nogę, lub wlokące się trzewia. Bruk czerwony jakby po krwawym deszczu. Nagle pojawia się ogromny wóz, tłoczą nań poległych jak śledzi; wśród trupów są jeszcze drgające ciała! Naładowany sunie wolno ku cmentarzowi, strumień krwi pocieka jego śladem. Straszne pobojowisko!”

Siedmdziesięcioletni starzec przetrwał te szalone czasy z godnym podziwienia spokojem. Nie była to owa bezmyślna obojętność, znamionująca upadek sił tak fizycznych jak umysłowych. Czerstwy na ciele, zachował on krzepką zarówno duszę: *mens sana in corpore sano*. Przywiązany do Francji, gorzko on cierpiął nad jej upokorzeniem; jako Polak ubolewał bardziej jeszcze nad ślepotą ziomków, którzy pochycili czerwony a tak wstrętny mu sztandar. Cierpiął, powtarzamy, lecz cierpiął jako chrześcjanin przekonany głęboko, że złe rozbić się musi o krzyż Pański. Z pociechą też patrzył, jak owe ramiona krzyża, odrąbane niedawno toporem komunardów, ogarnęły znów Paryż ze szczytów Panteonu!

Powrót córki stał się dla niego najśłodszą pociechą i uleczył go do reszty z tyłu bolesnych wstrząśnień. Kiedy po dwuletniem blisko rozłączeniu, ujrzeliśmy go znów w pracowni, przy oknie zastawionem doniczkami ulubionych kwiatów, troskliwe oko nasze nie mogło dopatrzeć w nim najmniejszej nawet zmiany. Słodki uśmiech ożywiał jak zwykle usta zacnego starca, gdy nam z uczuciem zadowolenia pokazywał przesłiczne talerze, malowane ręką drżącą od zimna i głodu, te zwłaszcza, na których pruskie bomby wycisnęły swe piętno. Z nieminiejszą radością pokazywał nam owego czarnego pieska, w czasach głodu skazanego na rożen, którego ocalił od śmierci i uczynił nieodstępny swym towarzyszem.

## VII.

Miała to być ostatnia burza w życiu artysty. Ośm lat jakie zostawało mu jeszcze do kresu ziemskiej pielgrzymki, biegły w ciszy, niezakłócone niczem, jak owa rzeka co przekroczywszy z trudem wiry i kamienne zapory, wstrzymuje prąd swój, a powolnym i cichym łozyskiem, dobiega oceanu.

Wzrok coraz bardziej słabnący nie pozwalał artyście przedsiębrać pomnikowych utworów. Z rylcem, jak mówiliśmy wyżej, rozstał się już przed wojną; malowanie talerzy zbytecznie go też utrudzało; musiał poprzestać na tych dwudziestu dwu, które wykonał podczas oblężenia.

Umiał on jednak wymyślać sobie coraz nowe zajęcia. Gromadził skrzętnie przedmioty sztuki, układał z nich księgi pamiątkowe; kolorował ryciny z całą sumiennością archeologiczną, przez co nową nadawał im wartość. Między innymi widzieliśmy tak ukolorowany zbiór starożytnych ubiorów polskich Matejki; wielkie tablice rozdzielone na części i oprawne razem, utworzyły piękny wolumin.

Z wielkiem upodobaniem hodował kwiaty w doniczkach. Szerokie okno w jego pracowni, wyglądało wiosną jak grzędka. Małoważył egzotyczne, choćby najpiękniejsze kwiaty; wybierał te jedynie, które mu przywodziły na myśl, ogródek w Kurowie lub Kazimierzu, pielęgnowany ręką drogięj matki. Była tu lewkonia i rezeda, były nasturcyce i błękitne powoje, i astry i gwoździki; wśród nich świecił nawet żółty słonecznik! on sam posiewał ziarna w doniczkach, a roślinki otoczone miłością, rosły szybko, i bujnym kwiatem odpłacały mu trudy.

Muzyka słodziła mu też nie jedną chwilę. Miał w pracowni gitarę hiszpańską, skrzypki i flotrowers. Ilekroć czuł że strudzone oczy, zabiegają mu łzami, porzucał ołówek lub pędzel, brał gitarę, potraçał struny wprawną ręką i śpiewał stare zapomniane dziś pieśni. Tenorowy głos jego, musiał mieć za młodych lat niepospolity urok; gdyśmy go znali, brakło mu nieraz wyższych tonów, lecz pozostała wyborna metoda i wysokie poczucie artystyczne. Z prawdziwem też upodobaniem, słuchaliśmy go nieraz śpiewającego piosenkę tak niegdyś popularną:

Te brzóz kilka, ten bieg wody,  
Jak mi wiele przypomina!

Ale najulubiejszą z jego melodyi, była aria kompozytcy Alberta Sowińskiego, do znanych słów: „*Święta miłości.*” Śpiewał ją wobec nas, na kilka tygodni przed skonem.

Gdy córka grała na fortepianie, chętnie akompaniował ję na skrzypcach. Każde zacięcie jego smyczka, śmiało było i pełne wdzięku. Muzyka wojskowa w Luksemburskim ogrodzie, należała do najmilszych jego rozrywek. Trzy razy w tygodniu przed wieczorem, wybiegał z radością na te gody, siadał na ławeczce w cieniu klonów, i poił ucho tematami włoskich oper: im dawniejsze, tem bardziej go zachwycaly.

Kilkudziesięcioletnia przyjaźń łączyła go z Sowińskim. Na porankach muzycznych w jego domu, Oleszczyński zwyczajnym bywał gościem. Tu miał sposobność słyszeć nieraz młodych, przybyłych z kraju muzyków. Każdy talent, w jakiejkolwiek gałęzi sztuki, zjawiający się między ziomkami, budził w nim radość niewymowną, świadczący bowiem o żywotności drzewa, wydającego z siebie coraz nowe listki i odrósle. On zazwyczaj, tak cichy i spokojny, unosił się jednakże gniewem, gdy czytał lub słyszał paradoksalne dowodzenia, jakby zbyt wybujały rozkwit sztuki, miał być niebezpiecznym dla przyszłości pnia narodowego, wyprowadzając na zewnątrz wszyst-

kie żywotne soki, a zatrzymując jego normalny rozwój. Przypominał wtedy epokę Peryklesa, która była zarazem epoką Fidyaszów i Praksytelesów, przypominał też bliższe nam czasy, kiedy geniusz Klonowiczów i Kochanowskich, zlany harmonijnie z geniuszem Batorych, Zamoyskich i Rewerów, roztoczył nad krajem świetną zorzę Zygmuntofskiej epoki!

Inny zarzut, dotykający wprost jego pojęć filozoficznych i politycznych, doprowadzał go niemniej do gniewu. Byliśmy raz świadkiem, jak stary przyjaciel, pesymista z natury, zarzucał mu optymistyczne dążenia, utrzymując że patrzy na wszystko przez różową zastłonę. Dobodło to starca do żywego; umilkł, ale nazajutrz potem otrzymaliśmy od niego list, w którym sformułował jasno poglądy i cele, jakie nim kierowały.

„Ja poświęciwszy się sztukom pięknym, pisze w liście, nie miałem zamiaru uczyć kogobądź historii, lecz jedynie postanowiłem wznawiać chlubne wspomnienia, a widząc że w opiewaniu klęsk, obwinień i zdrad, licznych mam wyręczyeli, zwróciłem myśl i rylce mój do tych szczególnie przedmiotów, któreby nam czyniły zaszczyt i nastręczały wzór godny naśladowania.”

Optymizm Oleszczyńskiego, nie był wcale skutkiem tój samolubnej obojętności, odtrącającej z drogi życia wszelkie dotkliwe kolce; był to raczej wyptyw badań głębokiego myśliciela, który zrozumiał potrzeby czasu swego. Byłby on śmiałą ręką porwał za bicz satyry, i wystąpił jako publiczny oskarżyciel, gdyby jak mówi sam, inni go w tym względzie nie wyręczyli!

Niezmordowany pracownik do końca dni swoich nie odpoczął na chwilę. Kiedy siły nie sprostały już chęciom, gdy czuł że nie zdoła już dźwignąć płyt granitowych, zbierał jeszcze drobne cegiełki, nie gardził najmniejszą okruczą, na której czas wycisnął swoje pieczęć, z pogodą ducha gromadził zasoby dla przyszłych budowników. „Wiem ja dobrze, pisze do córki, przekazując jój zbiory swoje, wiem że nie jeden spojrzy na nie z politowaniem, gotów nawet przypisać mi dzieciństwo; lecz znajdują się i tacy, którzy rozumieją, że gromadził te zbiory, nie dla samych tylko współczesnych. Księgi te mogą kiedyś po naszym skonie, zabłąkać się do jakiejś biblioteki, a po upływie lat wielu, kto wie, ujmie je może w rękę jakiś sumienny badacz. O! wówczas, nie jedna drobnostka może się stać dla niego, ważną skazówką historyczną, wymownym świadectwem dawno minionych zdarzeń.”

Ta myśl ożywiała starca, gdy dolepiał codzien nowe karty do swych pamiątkowych woluminów, gdy każdą z nich objaśniał historycznym napisem, czém podnosił jój wartość. Jedną z takich ksiąg, o ile wiemy, ofiarował kilka lat temu, Krakowskię akademii, której był członkiem. Inną obdarzył nieznanego osobiście ale gorąco sercem ukochanego przyjaciela, Kazimierza Władysława Woycieckiego, z powodu jego pięćdziesięcioletniego jubileuszu. Tam charakter prac

czcigodnego nestora naszych etnografów, odpowiadał usposobieniem Oleszczyńskiego: równa miłość tradycji, równa wytrwałość, cechowała oba te bratnie duchy; ztąd łatwo odgadnąć, o ile nasz rytownik czcił i kochał Woycickiego, jak umiał ocenić jego wielkie zasługi.

Doroczne wystawy rzeźb i obrazów, żywą budziły w nim ciekawość. Z jakążto dumą narodową ukazywał cudzoziemcom wspaniałe sceny historyczne Matejki, jak był rad spotykając w katalogu nowe imie artysty polskiego. Wolny od zawiści, tak zwykłej niestety schodzącym z pola artystom, tym zwłaszcza, którzy w paśmie mozolnego zawodu, częściej stąpali po cierniach niżli po wieńcach wawrzynowych, wolny, powtarzamy, od wszelkiej zawiści i goryczy, cieszył się bratniem powodzeniem jakby własnem, pobłazał drobnym usterkom z dobrą wolą, podnosił znaczenie cudzej pracy.

Pełen estetycznego smaku, równie biegłym był krytykiem literackich utworów. Wezwany o radę, udzielał jej chętnie, wypowiadał zdanie swoje szczerze i bez ogródki. Mamy przed sobą kilkanaście jego listów pisanych do p. Hipolita Swiejkowskiego, autora pięknej powieści poetycznej p. t. *Marek Jakimowski*. Starzec kochał całą duszą poetę; w bohaterze powieści widział też dziecię swego ducha; onto bowiem wydobył z dziejów i ożywił rylcem tę zapomnianą postać. Przed laty trzydziestu ukazał w stalorycie owego Marka, przedstawiającego Ojcu Świętemu, piękną Katarzynę wyrwaną przez siebie z rąk algierskich korsarzy. Każda uwaga Oleszczyńskiego świadczy o wytrawnym poglądzie; rady udzielane w żywy i oryginalny sposób. „Posłuchaj mnie, ja byłem na tej uczcie, wiem jak się zakończyła, pisze w liście, o jednym z ustępów. Wasz mazur wyborny, ale zbyt nowoczesny. Mazur dzisiejszy powstał na zrębach francuzkiego kontredansa, przywiezionego nam przez Legionistów; bądź więc oszczędny w figurach lub przenies je do poloneza. Na stole postawiłeś cukrowe piramidy jakby na dzisiejszém święconém. Łukasz Opaliński współczesny Markowi, podaje za wyborny przysmak, groch tłusty, w którym wędzonka pływa jakby wieloryb w morzu. Przytaczam to nie dla powtórzenia, lecz aby złagodzić wytworność stołu twego.” Gdzieindziej znów, pierścionek ofiarowany rycerzowi, przez starą matronę, nie podoba się naszemu artyście. „Mam odrazę do pierścionka, mówi on, bo ten zbyt często uwiija się w romansach. U nas odjeżdżających do boju rycerzy, obdarzano medalionem N. Panny Częstochowskiej.” Te i tym podobne uwagi, przypadły do myśli poecie, poszedł za radą wytrawnego mentora, i utwór jego zyskał o wiele na wartości.

Surowszym był Oleszczyński w sądzeniu swych własnych utworów. Dopóki mu słuch nie przytępiał, co nastąpiło w końcu, nie opuszczał nigdy miesięcznego zebrania Towarzystwa historyczno literackiego. Odczytywał ustępy z licznych swych rękopismów: mamy przed oczyma pełną erudycji rozprawę o Koperniku, z powodu czterechsetletniej rocznicy urodzin wielkiego astronoma.

W małym kółku przyjaciół, chętnie téż odczytywał swoje prace, rad pokazywał i objaśniał swoje historyczne albumy. Niekiedy powtarzał z pamięci utwory ulubionych sobie poetów, dopełniał je własnymi uwagami. Na kilka tygodni przed śmiercią, żywo zajął grono przyjaciół Krakowiakami Edmunda Wasilewskiego. Te śliczne kwiaty wyrosłe na miedzy ojczystej, szczególnie go zachwycaly, umiał je na pamięć, pragnął miłość ku nim przelać we wszystkie serca.

Ostatni rok życia naszego artysty, ubiegł mu nadzwyczaj przyjemnie i swobodnie. Małe dolegliwości, nieodłączne od tak późnego wieku, zupełnie ustąpiły. Wystawa międzynarodowa ożywiła go w dziwny sposób. Patrząc na rozpromienione oblicze starca, na słodki jego uśmiech, na siły rosnące w miarę trudów, niktby z nas nie przypuścił że dni jego już policzone. Widok dzieł geniuszu i pracy ludzkiej, zgromadzonych na Polu Marsowém, głęboko poruszał jego badawczy umysł. Cieszyły go szczególnie dzieła malarzy polskich. Honorowe medale przyznane Matejce i Sieniradzkiemu, budziły w nim dumę narodową, tryumf ich był własnym jego tryumfem.

W urzędzeniu polskiego działu antropologiczno-etnograficznego, Oleszczyński położył niemałe zasługi, wzbogacając go wielką częścią swych drogocennych zbiorów. Odwiedzał wystawę, jak mógł najczęściej, przyglądał się dziełom sztuki i przemysłu, porównywał bacznie okazy różnych plemion. Charakter przeważnie etnograficzny całej wystawy, rozbudził w nim myśl nową. Zapragnął zebrać w wielką księgę typy i kostyminy wszystkich ludów. Jakoż wziął się skwapliwie do téj pracy, nagromadził mnóstwo rycin, kolorował je według wzorów, widzianych świeżo na wystawie. Niestety! zbrakło mu czasu do wykonania tak olbrzymiego dzieła.

Rok ten tak pomyślny w życiu Oleszczyńskiego, zakończył się w sposób najmiłszy dla jego ojcowskiego serca. Ukochana córka Jadwiga przebywająca w południowej Francji, przybyła na miesiąc do rodzinnego gniazda. Dobra córka jakby ostrzeżona przecuciem rychłego sieroctwa, całe dni spędzała w ojcowskiej pracowni. Przy boku ojca, pod pilnym jego okiem malowała na porcelanie. Artysta nasz tymczasem czując poprawę wzroku, pochwyił znów za rylec, jął wykończyć i poprawiać swoje blachy, oddawna już na bok odłożone. Przy wspólnej pracy czas leciał oboju jak na skrzydłach; rozmowa nie ustawała, nigdy nie zbrakło do niej wątku.

— Dobrze nam tak razem, drogie dziecko—rzekł raz ojciec do córki—ale przygotuj się, to szczęście niedługo już potrwa.

— Nie mów tego, ojczel!—zawołała córka i rzewnemi zalała się łzami.

— Jadwigo moja!—dodał starzec—wszakże my chrześciance. Wiara w nieśmiertelność duszy niech nam osłodzi gorzyc chwilowego rozstania. Wkrótce pożegnam cię, biedne dziecko, ale myśl ta nie ma ci mi spokoju; wiem, że kiedyś spotkamy się w lepszym, szczęśliwszym świecie.



Myśl o śmierci nie odstępowała starca od lat kilku. Mamy pod ręką ostatnie jego rozporządzenia, wprawdzie nieopatrzone datą; lecz jak widać z drobnych szczegółów, nakreślone przed dwoma lub trzema laty. Ojciec rozdziela między córkę i syna zbiory swoje, blachy, księgi i rękopisma, plon sześćdziesięcioletnich mozolów. Przytaczamy ustęp, cechujący tę duszę tak wielką w swój prostocie.

„Nie potrzebuję zalecać wam, drogie dzieci, abyście troskliwie pielegnowały ukochaną matkę waszą. Matka dla pocziwych dzieci to istota święta! a wy dałyście już dowody, że ją za taką uważacie, zaco daję wam moje uroczyste błogosławieństwo.

„Zachowajcie, moje dzieci, dozgonną między wami zgodę i powolność. Nie obrażajcie się, jeśli jedno drugiemu czynić będzie uwagi lub dawać rady. Pielegnuj, synu mój, miłość dla twój siostry Jadwigi, a będąc pewnym jej dozgonnego przywiązania, nagradzaj ją niezmienną wzajemnością.

„Zalecam wam kochać Polskę, rodzinne gniazdo ojca waszego; nosząc polskie imię, każcie je w sobie uszanować.”

Tę ostatnią wolę znaleziono w biurku; ojciec nie pokazywał jej córce, aby nie rozraniać jej serca.

W połowie stycznia nastąpiło smutne rozstanie. Córka odjechała ku Pireneom, ojciec pozostał w Paryżu, pełen nadziei, że ją powita wiosną. Szybko dni ubiegały mu w pracy, etnograficzny zbiór typów pomnażał się z dniem każdym, wieczorami starzec odwiedzał chętnie przyjaciół. We wtorek 25 lutego, spędził kilka godzin w domu naszym, zdrów był i swobodny jak zwykle. Prowadząc zajmującą rozmowę z jedną z obecnych osób, przybliżył się zbytecznie do szklanych drzwi biblioteki; naciśnięta szyba pękła z łoskotem: starzec zmieszał się widocznie, jakby złowrogim uderzony przecuciem... odszedł śpiesznie do domu.

W cztery dni potem ujrzeliśmy znów to łagodne oblicze, ale żółkłe jak wosk, oświecone blaskiem dwu gromnic, ujrzeliśmy te ręce poraz pierwszy założone beczynnje, przyciskające krzyż do wystygłej już piersi!

Skonał uderzony apopleksją, umarł w ulubionej pracowni wpośród ksiąg, obrazów i pamiątek, przy tym stole, przy którym przez lat pięćdziesiąt oblekł w formę tyle twórczych pomysłów, rozniecił w płomień tyle czystych iskierek ducha swego.

Pozostał sam w pracowni, miał wyjść na przechadzkę z ulubionym swym pieskiem; żona oddaliła się na chwilę. Wraca, spotyka u drzwi kołającego przyjaciela, tego właśnie, którego zasiłał doświadczoną radą, a kochał ojcowskiem uczuciem.

Piesek szczeka... pan więc nie wyszedł z domu. I czemuż nie otwiera? Drżąca żona dobywa klucz, rozmyka drzwi... przyjaciel wbiega z nią do pokoju... tu okropny uderza ich widok. Starzec leży na ziemi... puls jego słabo drga jeszcze, ale ośłupiałe oczy nikogo już nie widzą. Wszelki ratunek był daremny... serce niebawem bić przestało.

We dwa dni potem odprowadziliśmy na cmentarz drogie nam zwłoki. Jeden z przyjaciół i czcicieli zmarłego, profesor Duchiniński, przemówił słów kilka po francuzku wobec licznej gromady tak ziomków jak cudzoziemców. Pokazał on w Oleszczyńskim pracowniku żelaznej wytrwałości, artystę wielkiego talentu, męża głębokiej nauki, a przede-wszystkiem człowieka wielkiego serca, który zapędzony burzą na cudze skały, umiał w głębi duszy stworzyć sobie własny świat i czerpiąc siłę w tym ognisku, rozciągać wokół siebie miłość i spokój Boży.

Z tego tymczasowego grobu, zwłoki przeniesione zostaną wkrótce do Montmorency i tam pochowane obok grobów Ursyna i Mickiewicza. Ten hołd słusznie należny człowiekowi tak znakomitych zasług, zawdzięczamy szczególnie troskliwym staraniom autora Marka Jakimowskiego, wiernego przyjaciela, na którego rękę skonał Antoni Oleszczyński.

---

PRZEMYSŁ CUKROWNICZY

W KRÓLESTWIE POLSKIM \*).

PRZEZ

*Antoniego Wrotnowskiego.*

V

Nie zwróciwszy uwagi na możliwość przyjęcia systematu podatkowego, niezapóżyczzonego od zagranicy, a w poprzednim opisanego rozdziale, musieli statyści szukać po Europie wzorów, i czynić wybór między prawodawstwami, jakie istnieją w tym przedmiocie gdzieindziej, mianowicie zaś w Austrii i w Niemczech. Rzeczywiście bowiem, nie dałyby się zastosować w Rosyi zasady podatkowe przyjęte we Francyi, w Holandyi i w Belgii, skoro przemysł cukrowniczy tych krajów, rozwijając się wśród innych, niż w Rosyi warunków ogólnych, oddziaływa na ekonomię tychże krajów w sposób zupełnie odmienny; podatkowość przeto musi być przez prawodawstwo urządzoną inaczej.

---

\*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za sierpień r. b.

Ta różnica położenia wyniknęła z samej przeszłości i wytworzyła się samą tradycją. Rzeczono kraje posiadały kolonie na drugiej półkuli świata, najgłówniejszém zaś bogactwem tych osad była właśnie trzcina cukrowa. Między niemi z jednej, a ich metropoliami z drugiej strony wytworzył się był długoletni stosunek. noszący w historii nazwę *systematu kolonialnego*. I kiedy Rosssa, nie mając jeszcze u siebie fabryk, a więc sprowadzając cukier z zagranicy, mogła była ustanawiać cła wyłącznie fiskalne, rzeczono kraje, owemu systematowi kolonialnemu wierne, zmuszone były trzymać się ceł prohibicyjnych, a przynajmniej wysoce protekcyjnych.

Ta podatkowość, będąca istotną treścią rzeczonoego systematu, wynikała z ówczesnych pojęć o naturze związku łączącego kraje na stałym lądzie Europy z ich koloniami zamorskimi. Powszechnie mniemano, iż kolonie są przeznaczone wyłącznie na to, by zaopatrywały metropolię we wszystkie płody stref gorących, jakich ona u siebie nie miała, i pokrywały, ile się da, jej potrzeby budżetowe, za pośrednictwem nakładanych na teź płody podatków. Nawzajem znowu poczytywano, iż ona ma obowiązek zaopatrywać się w teź płody nie gdzieindziej, jak we własnych koloniach, a więc za pomocą podatkowości zapobiegać konkurencyi zagranicznej. Innego znaczenia systemat kolonialny nie miał. Usiłowano więc cukrowi, pochodzącemu z własnych kolonii, zapewniać premium przez obciążanie wyższemi cłami cukru pochodzenia obcego.

Opłata pobierana od cukru pochodzącego z kolonii francuzkich, przy jego wwozie do Francyi (*la taxe*), była więc zawsze niższą od opłaty pobieranej od cukru pochodzącego z kolonii obcych, zwanęj *la surtaxe de provenance*. Pierwsza była podatkiem wyłącznie fiskalnym, druga cłem dla przemysłu kolonii widocznie protekcyjnym, przybierającém znaczenie zakazowego, ilekroć różnica między ową taksą i surtaksą czyniła niemożliwym przywożenie cukru pochodzenia obcego <sup>1)</sup>.

Systemat kolonialny wytworzył był potężną marynarkę handlową, zajętą głównie przewozem do Francyi płodów z jej osad zamorskich; cukier snrowy był znowu jednym z pierwszorzędných przedmiotów przewozu. Chcąc sobie zachować ładunek wszystkich płodów przychodzących do Francyi z rzeczonych osad (*frét de long cours*), marynarka handlowa domagała się także odpowiedniej protekcyi, Zaprowadzono więc różnicę pomiędzy flagą narodową (francuzką) a flagami innych krajów, i pobierano znowu wyższą opłatę od cukru przywożonego do Francyi na okrętach zagranicznych. Tę wyższą opłatę zwano: *la surtaxe de pavillon*.

Do względu na przemysł cukrowniczy w koloniach i na interesa własnej marynarki handlowej, dołączył się wkrótce wzgląd trzeci:

<sup>1)</sup> Jeszcze w r. 1816, różnica między taksą i surtaksą czyniła przeszło 33% premium na korzyść kolonii. (M. Amé *loc. cit.* tom I. str. 131).

na interes olbrzymich rafinerii, powstałych we Francji kosztem bardzo wielkich kapitałów, w celu przerabiania cukru surowego, przechodzącego z kolonii, na przedmiot zdatny do miejscowego spożycia <sup>1)</sup>. Ten znowu względ powodował był rząd, do przyznawania ulg rzezonym rafineriom, czyli do zapewniania im premium *la detaxe* zwanego, znowu w celu ich osłonięcia przed konkurencją rafinerii zagranicznych. Pod taką nazwą przyznawano później premia cukrowi kolonialnemu, ze względu na konkurencją, spotykającą go ze strony cukru wyrabianego w samej Francji. Trudność, wynikającą z potrzeby pogodzenia tych trzech względów, zwiększyły jeszcze miasta portowe, które pod osłoną systematu kolonialnego doszły były do świetnego stanu. Żądały one otworzenia nowych miejsc zbytu i układów w handlu z zagranicą a zwłaszcza zmian w zasadach zwrotu podatku pobranego od cukru surowego wwożonego do Francji, przy jego wywozie za granicę już w postaci rafinady. Zwrot ten pod nazwą *drawbaku*, czynionym był od czasów bardzo dawnych, (już w wieku XVII i XVIII). W interesie więc plantatorów trzciny cukrowej w koloniach, czyniono znowu różnicę między przerabianym w rafineriach cukrem surowym, pochodzącym z kolonii, i takimże cukrem zagranicznym, przyznając *drawbak* wyższy od pierwszego z nich, a niższy od drugiego.

Że tak różnorodne interesa musiały się z sobą ciągle ścierać, tego wykazywać niema potrzeby; podatkowość bowiem protegująca jeden z nich, na inne musiała oddziaływać szkodliwie. Badania rozporządzone przez rząd (*enquêtes*), uwydatniając radykalną między temi interesami sprzeczność, ani jej przecież usunąć, ani wszystkich zadowolnić nie były w stanie. Z tej więc przyczyny wyrodził się był we Francji prawdziwy chaos i podatkowy i ekonomiczny zarazem, a który nabrał był szczególnej doniosłości z chwilą, gdy wzmiankowana wyżej inicjatywa Napoleona I, wydała owoc, mianowicie zaś, gdy fabryki cukru z buraków doprowadziwszy swą produkcją do cyfry poważniejszej, zajęły stanowisko oddzielnej gałęzi przemysłu krajowego <sup>2)</sup>. Ta produkcja uderzyła była przedewszystkiem w same podstawy sy-

<sup>1)</sup> Istnieje we Francji 32 rafinerii (de Saint-Rémy, *loc. cit.* str. 15.). Francja spożywa cukru rocznie 250 milionów kilogramów (*tamże* str. 207), wywozi zaś rocznie cukru rafinowanego 180 milionów (187,816,000 wr. 1874. M. Amé *loc. cit.* tom II. str. 378). Razem 430 milionów kilogramów. Część cukru idącego na miejscowe spożycie, dostarczają wprost same fabryki, zawsze jednak każda z rafinerii, wyrabia rocznie przynajmniej kilkadziesiąt milionów kilogramów. Jedna w samym Paryżu, 80 milionów (M. Amé *loc. cit.* tom II. str. 355). Te cyfry dają miarę doniosłości przemysłu rafinarnego we Francji. Dawniej zaś było rafinerii daleko więcej: w r. 1828 w jednym Orleanie 167 (*de Saint Rémy loc. cit.* str. 17).

<sup>2)</sup> W kampanii 1838/9 r. fabryki cukru z buraków we Francji wyprodukowały 35 milionów kilogramów (M. Amé, *loc. cit.* str. 109).

stematu kolonialnego, wyszło bowiem na jaw, że pod osłoną ceł, mających na celu niedopuszczenie do Francji cukru zagranicznego i zapewnienie koloniom wyłączności zbytu tego produktu, ustaliły się były wysokie jego ceny, które najwięcej zachęciły do zakładania fabryk cukru z buraków, i że właśnie tenże cukier, cukrowi kolonialnemu czyni konkurencją najgroźniejszą.

Nie pozostały zresztą bez doniesłego na przedmiot wpływu, zawierane następnie traktaty handlowe, nadające cechę polityczną, międzynarodową, nawet podatki od cukru, ustanawianemu we Francji.

Opodatkowanie rzeczonych fabryk w r. 1837 nie usunęło kolizji między tylu różnorodnymi interesami, w obec której stanowisko rządu stało się rzeczywiście bardzo trudnym. Nie ustawały badania rozporządzane przez rząd i przez Izby prawodawcze; zmieniano prawie co rok zasady podatkowości, lub stanowiono przepisy nowe, nie mogąc przecież znaleźć takiego systematu, któryby wszystkim względom czynił zadosyć. Historia podatkowości francuskiej w przedmiocie cukru przedstawia też mozaikę wszelkiego rodzaju pomysłów <sup>1)</sup>, czasami nawet najdziwaczniejszych, samą przecież swą różnorodnością świadczących, iż we Francji każda gałąź przemysłu troskliwej używa opieki i nawet przy stanowieniu na nią podatków, obawiać się o swój byt niema potrzeby.

Rząd, jak wzmiankowano, był ciągle w położeniu bardzo trudnym, tak dalece, iż w r. 1843, ulegając naciskowi ze strony przedstawicieli kolonii i miast portowych, wnosił był nawet w Izbie deputowanych projekt bezwarunkowego zakazu zakładania nowych fabryk cukru z buraków i zniesienia tych, jakie wówczas już we Francji istniały z wypłaceniem wynagrodzenia dla tychże fabryk w sumie 40 milionów franków. Ówczesna ich produkcja dochodziła do 50 milionów kilogramów na rok i już pokrywała prawie połowę ówczesnej konsumpcji kraju <sup>2)</sup>. Rzeczony więc projekt rządowy w Izbach prawodawczych utrzymać się nie mógł, w obec zwłaszcza obawy szkodliwych jego następstw dla interesów ogólnych niewątpliwiej doniosłości, a mianowicie dla rolnictwa krajowego. Przy rozbiorze tego projektu czyniono także nacisk na to, iż dla zapewnienia zbytu cukrowi kolonialnemu i frachtu marynarce handlowej, nie można znosić gałęzi przemysłu, której sam rząd dawał początkowo subwencje pieniężne, na korzyść której czynił był zwolnienia podatkowe i w której już były umieszczone znaczne kapitały krajowe, pociągnięte w ten kierunek, właśnie tak wyraźną opieką rządową.

Dla uwydatnienia trudności przy ustanawianiu podatku od cukru, wynikających z tradycji systematu kolonialnego, w krajach posiadających osady zamorskie, trzcinę cukrową uprawiające, zaznaczyć jesz-

<sup>1)</sup> M. Amé (*loc. cit.*) t. II. rozdz. XVIII str. 103-156 i rozdz. XXII str. 261-384.

<sup>2)</sup> M. Amé (*loco citato*), str. 113.

cze należy, że w roku 1850 był stawiany w Izbie deputowanych nawet taki wniosek, iżby cukier uczynić przedmiotem monopolu rządowego, przy włożeniu na rząd obowiązku zaopatrywania się w tenże produkt w 35% z fabryk miejscowych, w 35% z kolonii, a w 30% za granicą <sup>1)</sup>. W obec przeto tak wielkich trudności, zmieniające się ciągle systemata podatkowe we Francyi, były i dotąd są kompromisami; mającemi na celu godzenie tylu różnorodnych względów i tylu sprzecznych z sobą interesów. Nie można więc szukać we Francyi wzorów dla akcyzy od cukru wyrabianego w Imperyum rosyjskiem, skoro ono nie miało i niema ani kolonii, uprawiających trzecinę cukrową, ani marynarki handlowej tak silnie rozwiniętej, ani miast portowych, ani wreszcie traktatów handlowych ścieśniających swobodę postępowania nawet w przedmiocie podatkowości miejscowej.

Systemat podatku od cukru, istniejący we Francyi, jest zresztą bardzo skomplikowanym i mającym tyle stron ujemnych, iż nie mógłby być przyswojonym z korzyścią dla Imperyum rosyjskiego, chociażby następstwa systematu kolonialnego nie oddziaływały nawet dziś na podatkowość francuską i nie czyniły z niej sztucznego gmachu, dla Rosyi nieprzydatnego pod żadnym względem. Podatek pobieranym jest we Francyi od wagi cukru, dopełnianej w chwili, w której tenże produkt z magazynów fabrycznych wchodzi w cyrkulacyą handlową. Waga cukru nie jest przecież jedyną i wyłączną podstawą do obliczeń podatku, skoro wysokość opłaty zależy od typu, do którego zważony cukier ma być zaliczonym. Tabela tych typów dzieli cukier na numera, mające wskazywać stopień jego bogactwa, czyli ilość zawartej w nim słodyczy. Ten znowu stopień ustanawianym jest za pomocą cukromierza (*saccharimètre*), czyli narzędzia poświadczającego owe absolutne bogactwo każdego rodzaju produktów fabrykacyi cukrowej <sup>2)</sup>.

Pod względem podatku, prawo dzieli cukier na cztery kategorie: a) surowy, bez różnicy pochodzenia niżej nr. 13; b) surowy bez różnicy pochodzenia od nr. 13 do nr. 20 włącznie; c) mączka biała, wyżej nr. 20 porównana z cukrem rafinowanym i d) rafinowany, tak we Francyi z cukru krajowego, jak i w koloniach francuzkich. Każda z tych czterech kategorii opłaca w innej wysokości podatek od stu kilogramów, przyjętych za jednostkę. Od czasu wojny niemiecko-francuzkiej, wysokość tych opłat była kilkakrotnie zmieniana <sup>3)</sup>. Kolonie fran-

1) M. Amé (*loco citato*), str. 125.

2) Sacharimetr jest narzędziem optycznym, opartym na właściwości materyi cukrowych, skutkiem której stopień polaryzacyi uwidoczni się w świetle przez te materye przechodzącem i zmienia się odpowiednio do mniejszej, lub większej słodyczy, czyli do bogactwa tychże materyi.

3) Prawo z dnia 7 maja 1864 r., *de Saint Rémy, loco citato*, annex, str. 235, późniejszo prawa, tamże, str. 20 i annexa.

cukkie korzystają z premii (*détaxe*) 5 franków od sta kilogramów <sup>1)</sup>. Cukry przywożone z poza Europy na okrętach zagranicznych i cukry wprowadzane z krajów i składów europejskich (*entrepôts*), bądź lądem, bądź morzem, bez różnicy flagi, płać cła (*surtaxe*) dwa franki od sta kilogramów. *Drawbak* został zniesiony, a raczej zastąpiony dozwole- niem wprowadzania do Francyi cukru surowego, bez różnicy jego po- chodzenia, bez cła, pod obowiązkiem wyprowadzenia w oznaczonym terminie zagranicę odpowiedniej ilości cukru rafinowanego. Dozwole- nie to ma więc na celu tylko rafinerie krajowe, nie zaś fabryki cukru z buraków. Wydajność rafinady z cukru surowego obliczaną jest na podstawie norm oznaczonych w samem prawie, a z konieczności niż- szych od wydajności rzeczywistój.

I dziś więc systemat podatkowy we Francyi nosi jeszcze cechy kompromisu między wzmiankowanemi wyżej interesami i względami, co zresztą wyraźnie i niejednokrotnie uwydatnianem było z trybuny, przy rozbiore nieustannie projektowanych zmian prawodawczych, po- czytywanych i przez rząd i przez izby za przepisy przejściowe, tym- czasowe <sup>2)</sup>.

Że ten systemat nie przestaje wywoływać skarg i zarzutów, temu się dziwić nie należy, skoro w zastosowaniu powstrzymuje postęp fa- brykacji cukru nierafinowanego, wytwarza premie dla rafinerji ze szkodą fabryk cukru, staje się źródłem nadużyć lub niesprawiedliwości przy determinowaniu, do którego z typów cukier ma być zaliczanym, i podkopuje zasadę równości w obec prawa, co właśnie jest najprzy- krzejszém dla francuzów, nadających tej zasadzie znaczenie dogmatu politycznego.

Jakoż, podnoszone są przedewszystkiem, dobrze usprawiedliwiane zarzuty przeciwko klasyfikacji typów, a nawet przeciwko używaniu sa- charimetru przy zaliczaniu cukru do właściwego typu. Okazuje się bowiem, że obliczania i sprawdzania dopełniane przez władze fiskalne, w praktyce są zależnemi od dokładności tych narzędzi i dają rezultaty niejednakowe, różniące się między sobą aż o kilka stopni; że jednako- wość tych rezultatów byłaby możliwą tylko wtedy, gdyby wszystkie sacharimetry z jednéj pochodziły fabryki, a przynajmniej jednakową miały cenę <sup>3)</sup>. Istniejące we Francyi laboratoria rządowe, stopień

1) *Antylle* i wyspa *de la Réunion*, art. drugi powyższego prawa.

2) M. Amé, *loco citato*, str. 142 i nast. W tych dyskusjach wyrażano, iż projekta przyjmowane są *comme une epreuve a faire, non comme une so- lution*.

3) „Ces différences sont dans la nature des choses, comme les variations que l'officier de vaisseau relève journellement entre sa montre de cent écus et le chronomètre du bord que le ministre de la marine a payé 5000 francs chez Breguet,” mówi de Saint Rémy *loc. cit.*, str. 86, w oddzielnym rozdziale (*troi- sième question*) zawierającym rozbiór pytania: „Quelle peut être la valeur pra- tique de la Saccharimétrie envisagée comme assiette de l'impôt sur le sucre?”

słodocy produktów cukrowych obliczające, przestrzegają, iżby opakowanie przesłanej im próby (*échantillon*) było zawsze zupełnie czystym, nie zawierającym w swych zagięciach, ani materji ziemnych, ani jakichbądź resztek; najmniejsza bowiem ilość tych części obcych staje się powodem bardzo ważnych w obliczeniu pomyłek <sup>1)</sup>; co znowu wykazuje wadliwość podstawy podatkowej, skoro byle jaka przyczyna zewnętrzna udeterminowanie typu czyi mylném.

Korzysta z téj wadliwości zła wola; produkta cukrowe przeznaczone do rafinowania, niejednokrotnie są wynaturzane za pomocą operacji *la sophistication des nuances* zwanéj, a polegającéj na przeistaczaniu powierzchowności tych produktów, w celu, iżby władza fiskalna, stopień ich cukrowości oceniająca okiem, zaliczała je do typów niższéj wydajności, niż tę, jaką rzeczywiście zawierają. Przeistaczanie to odbywa się bądź przez dodanie pewnych wytworów chemicznych, z produktem cukrowym łatwo się łączących, bądź przez odpowiednie działanie mechaniczne podczas gotowania tegoż produktu <sup>2)</sup>.

Różnice między normami oznaczającemi wydajność rafinady ze stu kilogramów cukru surowego z buraków, a wydajnością rzeczywistą, wytwarzają, jak już powiedziano, widoczne premium dla rafinerji <sup>3)</sup>. Gdy zaś te normy są niestosunkowo niższymi przy przerobieniu niższych gatunków, wynika ztąd najprzód większe poszukiwanie gorszych gatunków cukru, dających premium stosunkowo większe, a następnie przewaga rafinerji nad fabrykami cukru. Koszta produkcji cukru rafinowanego, obniżone sumą oszczędności na podatku temi premiami zapewnionéj, są bowiem stosunkowo niższymi od kosztów produkcji cukru białego (w mączce, lub w głowach), wyrabianego wprost w fabrykach cukru i zdanego na pokarm bez potrzeby rafinowania. Fabryki niemogąc przeto wytrzymać konkurencji z rafinerjami, upatrują większą korzyść w przerabianiu niższych gatunków cukru surowego, skutkiem czego niema bodźca do ciągłego udoskonalania fabrykacji mączek białych i cukru w głowach, idącego wprost do detalicznego handlu, z czego wynika znowu szkoda dla ogólnej konsumpcji kraju <sup>4)</sup>.

Wobec tylu stron ujemnych systemu podatkowego, streszczonych tu w najogólniejszych zarysach, przemysł cukrowniczy we Francji domaga się zniesienia typów, ustanowienia jednakowego podatku od wagi na wszelkie gatunki cukru, bez względu na jego słodycz, kolor i powierzchowność, wreszcie zwracania podatku od cukru wywożonego

<sup>1)</sup> List dyrektora laboratorium przy ministerjum rolnictwa i handlu, A. Riche, z dnia 16 września 1876 r., do sekretarza generalnego departamentu w Arras, w odparciu zarzutów ogłoszonych drukiem przez margrabię d'Harvincourt, prezesa komitetu fabrykantów cukru w tymże okręgu, dosłownie zamieszczony w cytowanym dziele: *le questionnaire*, p. de Saint Rémy, str. 74.

<sup>2)</sup> De Saint-Remy, (*loco citato*), str. 111.

<sup>3)</sup> Art. 6, prawa z dnia 7 maja 1864 r. (tamże str. 236.)

<sup>4)</sup> De Saint-Rémy *loc. cit.*, str. 189.



za granicę, licząc sto kilogramów rafinady za tyleż kilogramów cukru surowego, czyli waga za wagę, a więc uchylecia norm wydajności, wytwarzających premia dla rafinerji i pobierania cła od cukru zagranicznego na podstawie ogólnej taryfy celnej <sup>1)</sup>.

Łatwo więc pojąć, że projektujący nowe przepisy o akcyzie w Rosyji, żadnego z podatkowości francuzkiej nie mogli wziąć wzoru <sup>2)</sup>.

## VI.

W stosunku do przestrzeni kraju, fabrykacya cukru z buraków doszła w Belgii do bardzo wielkiego rozwoju. Produkcya cukru wyniosła w r. 1877/8 1,200,000 centnarów <sup>3)</sup>. Wedle innych obliczeń, przeciętna z lat pięciu (1871—1875), czyni przeszło cztery miliony pudów rocznie <sup>4)</sup>. Liczba fabryk cukru z 31 w r. 1843, wzrosła do 164 w r. 1875 <sup>5)</sup>. Cukrownictwo tworzy więc w Belgii jedną z ważnych gałęzi przemysłu krajowego.

Zwraca ono na siebie uwagę jeszcze z tego względu, iż handel wywozowy cukru przybiera w Belgii znaczne rozmiary. Z przecięcia lat dziesięciu (1860—1870), wywóz cukru nierafinowanego wynosił był około 1,200,000 pudów rocznie; obliczenie następnych lat pięciu daje przeciętną 4 milionów pudów, niezależnie od wywozu rafinady w cyfrze około 700,000 pudów. Obecnie przeto Belgia wywozi cztery razy więcej cukru, niż przed ośmiu laty <sup>6)</sup>. Traktaty handlowe, istniejące między rządami Anglii, Francyi, Hollandyi i Belgii, mają właśnie na widoku zapewnić handlowi cukru możliwe ułatwienia. W celu zbadania, jakimi środkami dałoby się uwolnić te kraje od wydatków i ofiar pieniężnych, przez rząd każdego z nich czynionych w stopniu większym, lub mniejszym dla zachowania lub pomnożenia zagranicznych miejsc zbytu cukrowi wywożonemu, odbywają się prawie co rok konferencye między delegowanymi rzeczonych krajów. Ścisłe określonym przedmiotem tych międzynarodowych porozumień jest więc równanie, o ile się da położenia handlowego, czyli inaczej, usuwanie różnic w warun-

<sup>1)</sup> Tamże, str. 58 i 184. Produkta zawierające słodczy mniej niż 50%, musiałyby, wedle tych wniosków tworzyć specyjalną kategorię i płacić podatek niższy, ale znowu jednakowy.

<sup>2)</sup> *Żurnal komisji*, str. 3.

<sup>3)</sup> Wedle I. O. Lichta, autora używającego wielkiej w tych rzeczach powagi. Patrz przypisek, str. 38 cytowanego dzieła D-ra R. v. Kaufmann.

<sup>4)</sup> Tablica IV, wykazująca produkcją, przywóz i wywóz z Belgii za granicę cukru i rafinady od 1831 do 1875 r., ułożona na podstawie źródeł urzędowych, a dołączona do pisma: *Obzor razlicznych sistem...* już kilkakrotnie cytowanego; patrz czwartą rubrykę téjże tablicy. Przeoiętna z lat pięciu wynosi 4,370,329 pudów rocznie.

<sup>5)</sup> Tamże, w rubryce drugiej.

<sup>6)</sup> Tamże, rubryka ósma i szesnasta.

kach i kosztach produkcji, jakie właśnie wytwarza różnica podatkowości, istniejąca między temi krajami <sup>1)</sup>). Zadanie niewątpliwie bardzo trudne, dziwić się przeto niemożna, iż nie podołali mu dotąd rzeczenni delegowani, pomimo kilkunastoletniej w tym kierunku pracy i że owe traktaty handlowe mają ciągle cechę tymczasowości.

Jakoż istnieje dotąd w każdym z tych krajów nietylko inna wysokość podatku, ale i odmienny systemat obliczania, rozkładu i poboru, czyli odmienne podstawy podatkowe, oddziaływające na owe koszty produkcji silniej, niż sama różnica opłaty stosowana do jednostki opodatkowaniu ulegającej. W każdym bowiem z tych krajów wypada odmienny stosunek między ilością cukru rzeczywiście wyrobionego, a tą jaką ponosi podatek odpowiednio do norm i metody obliczania, każdemu z nich właściwej.

W Belgii podatek nie pada bezpośrednio na sam cukier wychodzący z fabryk, chociaż tak samo jak we Francji jednostką podatkową jest sto kilogramów cukru, podzielonego na klasy. Ilość bowiem tegoż cukru nie jest ustanawianą za pomocą rzeczywistego ważenia, ale ją determinuje rachunek na podstawie norm prawnych, wskazujących wydajność surowego soku (*rendement*), dobywanego z buraków, sprawdzana przed defekacją i saturacją, czyli przed oczyszczeniem tegoż soku z części obcych za pomocą wapna i kwasu węglowego <sup>2)</sup>). Łatwo więc pojąć, że rezultat tych obliczeń jest zawsze fikcyjnym, z rzeczywistością niezgodnym, sama bowiem natura rzeczy nie pozwala nawet przypuszczać, iżby sprawdzanie przymiotów i bogactwa soku surowego (zawartej w nim słodyczy), czynione za pomocą narzędzi, chociażby najdokładniejszych i wskazywanie która z norm prawnych jest w danym przypadku właściwą, mogło prowadzić do cyfr ścisłych i dokładnych.

Już więc w samej teorii systemat belgijski niższym jest od francuzkiego, który przynajmniej nie odbiega od prawdy, mówiąc iż podciąga pod opłatę produkta cukrowe, skoro je poddaje rzeczywistemu ważeniu, chociaż, jak to wyjaśniono w rozdziale poprzedzającym, jest także w niemożności temu zapobiedz, iżby żadna część produkcji fabryk nie potrafiła opłaty podatkowej uniknąć.

Że systemat belgijski w samym zastosowaniu i wykonaniu wyraża liczne trudności, nie dając w zamian rękojmi ani skarbowi przeciwko nadużyciom, ani przemysłowi pod względem uszanowania zasady równości wobec podatku, tego wykazywać niema potrzeby. Urzędowe zaś źródło poświadczą, że te wszystkie trudności i następstwa, potęgowałyby się w Imperyum rossyjskiem; rzecz więc bardzo naturalna, iż rzeczony systemat nie stał się wzorem dla podatkowości w témże Imperyum <sup>3)</sup>.

<sup>1)</sup> M. Amé, *loc. cit.* t. II, str. 147.

<sup>2)</sup> Dr. R. v. Kaufmann, *loc. cit.*, str. 79 i 143, s. *Obzor razlicznych sistem...* str. 128.

<sup>3)</sup> *Żurnal komisiji...* str. 4.

Nie mógł również służyć za wzór systemat podatkowy, istniejący w Hollandyi, jako łączący w sobie wady systematów francuzkiego i belgijskiego <sup>1)</sup> i z tego zapewne powodu nie znalazł nawet miejsca przy rozbiorze tego przedmiotu <sup>2)</sup>. I jak to już wzmiankowano, pozostawiało uczynić wybór jedynie między dwoma prawodawstwami, podatkowość od cukru urządzającymi: niemieckiem, a właściwie pruskim i austryackim.

## VII

Systemat *pruski*, przyjęty w całych Niemczech, poddaje opodatkowaniu same buraki, bez względu na ilość i przymioty produktu wytwarzanego z nich przez fabryki <sup>3)</sup>. Obciąża więc opłatą sam materiał surowy (*matière première*), będący przedmiotem fabrykacji, i w tym celu oblicza wagę buraków w chwili, gdy one po oczyszczeniu wychodzą z ptuczki pod tarkę w fabrykach prassowych, a pod przyrząd nożowy, zwany krajanką w fabrykach dyfuzyjnych. Obliczania dopełniają agenci skarbowi przy czynności warzenia buraków codziennie i nieodstępnie obecni, a na cały czas kampanii do każdej fabryki wyznaczani. Jednostką podatkową jest więc centnar rzeczono go materiału surowego; podstawą zaś podatkowości, rzeczywista tegoż materiału waga <sup>4)</sup>.

Systemat pruski t $\acute{e}$ m się przeto wyróżnia, iż w granicach możliwości uwzględnia poglądy nauki i nie stawia się w sprzeczności z zasadami poczytywanymi przez nią za pewniki ekonomiczne. I już z tego powodu jest wyższym od systematów istniejących we Francyi i w Belgii.

Należy mu przed nimi pierwszeństwo, skoro jest jedynie racjonalnym w teoryi, a w zastosowaniu nie oddziaływa szkodliwie na byt i rozwój przemysłu cukrowniczego; zasługuje więc na to, by przy wyborze systematów podatkowych stawał się dla statystów wzorem, ilekroć oni dla tych lub innych względów nie są skłonni podatkowi

<sup>1)</sup> Dr. R. v. Kaufmann, *loc. cit.* str. 79 i 155. *Obzor razlicznych sistem*, str. 133.

<sup>2)</sup> *Żurnal komisii* nie czyni o Hollandyi żadnej wzmianki. Cukrownictwo w Hollandyi jest także bardzo rozwiniętem; dr. v. Kaufmann poświadczają (str. 65), iż produkcya z 32 fabryk wynosiła w r. 1874/5, 25,565 ton. Hollandya według tegoż źródła i wedle tablicy III, dołączonej do pisma: *Obzor razlicznych sistem...* czyni znaczną konkurencyą Anglii, wywozi bowiem za granicę, a głównie na targi angielskie po sto kilka tysięcy ton rocznie. W tym handlu wywozowym rafinada wynosi 80<sup>0</sup>/<sub>0</sub>.

<sup>3)</sup> Dr. R. v. Kaufmann *loc. cit.* str. 79, daje taką definicyą systematu pruskiego: „Die Besteuerung nach dem durch wirklichen Abwägen ermittelten Gewichte der zur Zuckererzeugung bestimmten Rüben.”

<sup>4)</sup> *tamże*, str. 90.

od cukru oprzeć na czystym dochodzie fabryk. Systemat pruski nie wytrzymuje porównania tylko z podatkowością, poprzestającą na porborze procentu od tegoż dochodu wedle stopy stałej, oznaczonej w prawie, góruje zaś nad prawodawstwami szukającemi oparcia gdzieindziej. Cechą systematowi pruskiemu właściwą jest zgodność jego celów z następstwami jakie zeń wynikają, a więc oparcie prawodawstwa na rzeczywistości, na prawdzie. Zamierzyło ono opodatkować przemysł, nie zaś konsumpcją cukru i dzieje się temu zamierzeniu zadosyć, skoro opłata dotyka bezpośrednio tenże przemysł, nie przestając się w podatek konsumcyjny, skoro nie zespala się z ceną handlową cukru, ale pozostaje zawsze jednym z czynników jego produkcji. Ceny handlowe cukru układają się w Niemczech wedle stosunku między ilością tego towaru wystawioną na sprzedaż, a jego zapotrzebowaniem, zupełnie tak samo jak ceny zboża i wszystkich innych artykułów żywności, na które to ceny wpływ kosztów produkcji jest niewątpliwie słabym i jak najbardziej pośrednim. Podatek pobierany w Niemczech od wagi buraków, ciąży na tych cenach tylko wtedy, gdy zamierzenia fiskalne przechodzą miarę; nieumiarkowanie zaś tych zamierzeń oddziaływa nieinaczej, jak wszystkie inne postronne wpływy, jak pogorszenie się ogólnego dobrobytu, zastój handlu i t. p.

Systemat pruski nie uwzględnia wprawdzie różnicy położenia pomiędzy fabrykami przynoszącemi zysk większy i mniejszy, ani między zamkniętymi w skromnym zakresie, a rozwiniętymi na wielką skalę, i z konieczności potęguje dla tych ostatnich pewny przywilej i pewną przewagę, jaką z samej natury rzeczy już im daje wielki kapitał; ale nie narusza przynajmniej doniosłej zasady równości w obec podatku, zasady mającej, jak już powiedziano, stanowić konieczny jego przymiot. Wszystkie fabryki uiszczają opłatę w jednakowy sposób i w jednakowym stosunku, mianowicie zaś w proporcji do ilości materiału surowego fabrykacyi poddanego. A chociaż powiedzieć się nieda, iżby ta zasada czyniła zadosyć sprawiedliwości absolutnej, niedościgłej zresztą dla większej części stosunków między ludźmi, a w tej materji, jedynie możliwej przy uwzględnianiu czystych zysków każdej fabryki; nie narusza przecież sprawiedliwości względnej <sup>1)</sup> i przynajmniej staje się silnym bodźcem udoskonalania przyrządów fabrycznych, zmusza do umiejętnej pracy i do wyężniania wszystkich ku temu usiłowań, iżby z owego materiału surowego, opodatkowanego jednakowo, wydobywać ilość cukru możliwie największą. Rozbudzając zaś współ-

<sup>1)</sup> Różnica korzyści otrzymywanych przez fabryki z jednakowej ilości buraków opodatkowanych jednakowo, ma taką samą naturę i podstawę i w każdej innej produkcji. Zarobki np. krawców nie są równe, chociażby wszyscy kupowali także same sztuki sukna i płacili je jednakowo. Większa korzyść jednego jest nagrodą umiejętnościszej pracy i zależy od innych warunków wpływowi prawodawcy nie ulegających.

zawodnictwo i uderzając w interes osobisty, staje się dźwignią postępu cukrownictwa.

Tęj właśnie dźwigni zawdzięczać przychodzi udoskonalenia i wynalazki snujące się bez przerwy przed naszymi oczami; co ze stanowiska ogólnej ekonomii kraju musi być poczytanem za największą zaletę systematu pruskiego. Nie mają jej inne metody obliczania podatku na podstawie norm prawnych, nigdy nie mogących podciągać pod opłatę całej produkcji. Oznaczając bowiem ilość przerobu na podstawie wymiaru i siły przyrządów fabrycznych i *czasu prowadzenia roboty*, zmuszają one do *pośpiechu fabrykacyi*, skoro ilość buraków opodatkowaniu nieulegająca, zwiększa się w miarę tego, im więcej materyału surowego da się przerobić w ciągu doby. Metody, czyniące z tego pośpiechu dla każdej fabryki kwestyę życia lub śmierci, mają więc ten skutek, iż dokładność fabrykacyi koniecznie musi schodzić na plan drugi, iż nie jest otrzymywaną cała do otrzymania możliwa ilość cukru, stanowiąca składową część buraka, i jak się to dzieje zwłaszcza w fabrykach na Podolu i Ukrainie, znaczny procent tegoż cukru pozostaje w wytłokach bez żadnego pożytku, a więc ze szkodą dla ogólnej produkecyi krajowej <sup>1)</sup>.

Systemat pruski najskuteczniej także temu zapobiega, iżby równość podatkowa przez jedne fabryki na niekorzyść innych naruszana nie była i najmniej ogranicza swobodę pracy, najmniej krępuje fabrykacyą formalnościami kontrolli. Ma przeto obok innych zalet, zaletę jasności i prostoty.

Statyści, czyniący wybór między metodami podatkowości zagranicznych, zwracali wprawdzie uwagę na zalety systematu pruskiego, poświadczając, iż on oddziaływa pożytecznie na stronę techniczną cukrownictwa, a nawet na uprawę buraków <sup>2)</sup>, i zmusza fabryki do usiłowań, by z buraków otrzymywaną była największa, o ile się da, ilość cukru. Wybór nie wypadł przecież na korzyść rzeczowego systematu, przeważyły bowiem dwa poglądy:

1. Uznano, iż systemat pruski, acz tańszy od francuzkiego i belgijskiego, jest jeszcze zakosztownym, wymagającym wielkiej liczby nadzorców (600 przynajmniej), i inspektorów dla dozoru nad temiż nadzorcami; obok tego zauważono, iż inspektorowie nie mieliby żadnych środków do skutecznej kontroli i poświadczono, że nadzorcóm nie zawsze możnaby zaufać <sup>3)</sup>. Tą zaś nieufnością ogarnięto

<sup>1)</sup> Nie owe resztki cukru pozostawiane w wytłokach, ale inne części składowe, a mianowicie solne, czynią z tychże wytłoków cenny pokarm dla bydła poszukiwny przez rolników; nie ma więc równoważnika, chociażby częściowo wynagradzającego szkodę, jaka wynika z pośpiechu fabrykacyi.

<sup>2)</sup> „Kak na techniku proizvodstwa, tak i na kulturu swickłowicy” *Żurnal komissyi* str. 4.

<sup>3)</sup> „A na diejstwija nadsmotrczykow nie wsiegda można poлагatsia” *tamże*, str. 5.

zarazem wszystkich właścicieli, administratorów i dyrektorów fabryk, skoro w piśmie urzędowym stawiano rachunkowy przykład, wykazujący, iż przy znowie fabryki z nadzorcą, i przy zatajeniu 60 berkowców z dziennego przerobu na każdej prassie, fabryka wciągu kampanii oszczędziłaby na podatku po 2500 rubli na każdej prassie; nadzorca zaś brałby z tej oszczędności po 360 rubli, a więc już przy trzech prassach dostawałby od fabryki więcej niż od skarbu <sup>1)</sup>. Z powyższego poglądu okazuje się, iż statysci nie poczytywali za rzecz możliwą znaleźć w całym Imperyum 600 nadzorców uczciwych, przekupstwu niedostępnych, ani zapobiedz znowie fabryk z temiż nadzorcami, opartej na przekupstwie.

2. Osądzono: „że systemat pruski nie da się zastosować w Rosyi i dla tego jeszcze powodu, iż wyłącza od fabrykacji buraki zawierające mniej cukru; ma zaś ta roślina przymioty bardzo rozmaite nie tylko w różnych miejscowościach, ale i w jednej i téjże samej miejscowości w różne lata,” że nadto „przy większych urodzajach buraków, jest rzeczą dla fabryk dogodną, znacznie przyśpieszać przerób, poświęcając pewną ilość soku, byleby uniknąć możliwego psucia się buraków <sup>2)</sup>).

Obadwa poglądy czynią regułą ogólną to, co wszędzie poczytywanem jest za wyjątek i *vice versa*. Jakoż przekupstwo i znowę podnosi pierwszy z nich do aksjomatu, uznając, iż one leżą w naturze całego społeczeństwa i tworzą jakoby podstawę życia; drugi znowu pogląd wychodzi z uwagi nie na urodzaj normalny, ale na lata bardzo wyjątkowe nadzwyczajnego urodzaju buraków. Poglądy te należą zresztą do oddzielnych dziedzin; 1-szy wyniknął z zapatrywania się statystów na charakter społeczeństwa i stopień jego moralności, kwestya bowiem kosztów systematu, niemających przenosić 3% sumy postawionej w zamierzeniach fiskalnych, niema téj doniosłości, iżby mogła być stanowczego na zdanie nabrać wpływu <sup>3)</sup>. Drugi zaś pogląd jest natury ekonomicznej. Obadwa są doniosłego wpływu, skoro doprowadziły do decyzji, iż podatkowość, z istniejących na kontynencie najlepsza, nie będzie przyjętą za wzór; nie można przeto poprzestać na pobieżnej jak dotąd o tych poglądach wzmiance.

1. Znajdując w urzędowym źródle sąd o społeczeństwie i wnioski, wyprowadzane ze stopnia jego moralności, musimy ten sąd i te wnioski przyjmując za punkt wyjścia, wyraźnie zaznaczając, że w tych za-

<sup>1)</sup> „A nadsmotrsczyky počuczat 360 r., t. j. uže pri 3-ch presach bo-leje, czem im dajet kazna;” tamże, taż stronnica.

<sup>2)</sup> Tamże, str. 6.

<sup>3)</sup> Komisya obliczala koszta poboru akcyzy od cukru wedle systematu pruskiego na 300,000 rub. (tamże, str. 5), idąc za zdaniem E. Andrejewa *Iz sledowanija nad rabotaj*, (str. 104.), który poświadcza, że te koszta przy systemacie dotychczasowym czynią 40,000 rubli rocznie.

patrywaniach osobistego nie bierzemy udziału, do czego brak nam zresztą dostatecznej kompetencji. Nie podając przeto w wątpliwość zdania tyłu statystów, uznajemy, że rzeczywiście systemat pruski wykonywany za pośrednictwem nadzorców, wyznaczanych do codziennego kontrolowania wagi buraków w każdej fabryce, przez cały czas każdej kampanii, nie mógłby w Rosyji znaleźć zastosowania. Udział wszakże tych nadzorców poczytujemy za zbyteczny i niepotrzebny, skoro bez żadnego niebezpieczeństwa dla skarbu, *akcyzę od cukru można oprzeć na wadze buraków, przyjmując księgi i sprawozdania fabryczne za podstawę do obliczania podatku.*

Wiarogodność rzeczonych ksiąg i sprawozdań uwydatniłszy już w rozdziale IV, nie widzimy przeto potrzeby nic pod tym względem dodawać do tego, co tam zostało wypowiedzianem. Księgi fabryczne są w każdej chwili prawdziwym wyrazem ilości buraków, zakupionych i zapłaconych przez fabrykę, tudzież ilości tychże buraków wychodzących z płóćki, a coroczne sprawozdanie wykazuje co do centnara, jaka liczba korcy lub berkowców, centnarów lub pudów została przerobioną w ubiegłej kampanii. Podatek daje się na tych sprawozdaniach oprzeć z większą nawet łatwością przy systemacie ważenia buraków, niż przy oznaczaniu czystego dochodu fabryk, skoro na cyfrę tegoż dochodu mają wpływ potrącenia sum na rezerwy, amortyzacye, udoskonalenia przyrządów i t. d.: potrącenia zależne od decyzji samychże fabryk. Waga zaś buraków jest zawsze poświadczaniem faktu widocznego, niezmiennego, od decyzji zarządu fabryki niezależnego.

Kontrola agentów skarbowych byłaby bardzo łatwą, skoro jak już wzmiankowano, ograniczałaby się na sprawdzeniu zgodności cyfr przez fabryki wykazywanych z księgami fabrycznymi. Ta zaś uwaga załatwia zarazem kwestyą drogości systematu, wedle nas w tym specjalnym przypadku drugorzędną i niemogącą stanowczego mieć na rzecz wpływu.

Kontrolę agentów skarbowych można i należałoby wzmocnić dwoma jeszcze środkami:

a) zaprowadzić w każdej fabryce przyrząd mechaniczny, kontrolujący wagę buraków. Przyrządy tego rodzaju już są wynalezione; aparat Fuka był już przez rok w użyciu w jednej z fabryk niemieckich i dość dobrze funkcjonował <sup>1)</sup>. Patrząc zaś na rozwój wynalazków, godzi się przypuszczać, iż przy obowiązkowym używaniu takich aparatów, byłyby one ciągle udoskonalaniami.

b) Co zaś najważniejsza, możnaby wytworzyć miejscowe komitety, złożone z agentów skarbowych i jednocześnie z przedstawicieli fabryk w okolicy istniejących; każda bowiem fabryka wie dokładnie, ile w jej okolicy każda z fabryk przerobiła buraków i każda jest zarazem zainteresowaną przestrzegać, iżby inne przez zatajenie cyfr prawdzi-

<sup>1)</sup> Jermolów w piśmie: *Obzor razlicznych sistem*, str. 9, czyni o tém wzmiankę, zaznaczając, że aparat Fuka kosztuje 200 talarów.

wych, na jęj niekorzyść nie wytwarzały dla siebie premii, obniżając ich koszta produkcji i by tym sposobem nie obalały owęj równości podatkowej, w braku której sama konkurencya stawałaby się częstokroć zupełnie niemożliwą.

Tę co do centnara wzajemną wiadomość fabryk o ilości buraków corocznie przez każdą z nich przerobionych i ten interes osobisty można by więc spożytkować w widokach nadkontroli podatkowej, dając zarazem pożądaną dla samych fabryk rękojmią sprawiedliwego rozkładu i poboru akcyzy. Komitety miejscowe byłyby zaś krokiem na drodze do samorządu, o którym tyle się czyta od pewnego czasu, a który rozpoczynać najwłaściwiej i najpożytecznieję właśnie od zapewnienia opodatkowanym udziału w rzeczach rozkładu ciężarów publicznych i kontroli podatkowej.

2. Niejednakowa słodycz buraków, czyli stosunek procentowy między cukrem a innymi częściami składowymi tęj rośliny, w jednych miejscowościach wypadający wyżej, a w innych niżej, zależy nietylko od natury gleby, stopnia jęj kultury, umiejętności plantatora i klimatu, ale nawet od gatunku nasienia <sup>1)</sup>, oceniany z ekonomicznego stanowiska, bynajmniej nie usprawiedliwia poglądu drugiego, zamieszczonego w dzienniku komisji. O tęj różnicy wydajności cukru nie powinno być już mowy, wobec dotychczasowego prawodawstwa, dzielącego Imperyum na *rejony*, mające właśnie na celu wyrównać pod tym względem położenie fabryk za pomocą obliczania rzeczonęj wydajności cukru wedle norm niższych, w miejscowościach produkujących buraki mniej bogate <sup>2)</sup>.

1) Dr. v. Kaufmann *loco citato*, str. 12.

2) Imperyum rossyjskie podzielone jest na trzy rejony: do 1-go należą Królestwo Polskie, tudzież gubernie: Kijowska, Podolska, Wołyńska i Besarabska (*Dokład przedstawlenyj gospodinu ministru finansow komisiej dlia razsmotrienija woprosow ob akcyzie z tuziemnaho i poszliny z priwoznaho sachara*. Petersburg 1871 r., druk Majkowa, str. 32 i 129; *Razwitije swiekl. sach. proizw.* E. Andrejewa, str. 229 i 230). Wydajność cukru z berkowca buraków oznaczoną jest w prawie jak następuje:

Dla rejonu 1-go w fabrykach mających udoskonalone przyrządy wydobywania soku i jego odparowania po 30 funtów, czyli  $7\frac{1}{2}\%$ ;

w fabrykach, mających udoskonalone przyrządy odparowania soku bez udoskonalonych przyrządów jego wydobywania, tudzież w fabrykach rolniczo-gospodarczych, mających udoskonalone te obadwa przyrządy po 28 funtów, czyli  $7\%$ ;

w fabrykach półparowych i ogniowych, tudzież w rolniczo-gospodarczych, odparowujących sok sposobami udoskonalonemi, a wydobywających sok sposobami nieudoskonalonemi i półparowych i ogniowych po 26 funtów, czyli  $6\frac{1}{2}\%$ .

Dla rejonu 2-go w fabrykach z udoskonalonem wydobywaniem i odparowaniem soku po 28 funtów, czyli po  $7\%$ ;



Rejony ze swemi różnicami norm wydajności cukru, są więc zastosowaniem systematu protekcyjnego na wewnątrz, w granicach Imperyum; ta zaś opieka rządu ma właśnie na celu zrównoważyć warunki produkcji cukru i kosztą jego fabrykacji, czyli, za pomocą premii dla rejonu 2 i 3 umozębnić konkurencyą fabryk, przerabiających buraki uboższe z fabrykami otrzymującemi buraki bogatsze. Rejony czynią tym względem zadosyć, ze stanowiska przeto ogólnej ekonomii należałoby ułatwiać fabrykom, iżby każda z nich wydobywała ilość cukru możliwie największą z takich buraków, jakie ma do przerobu, zarówno z bogatszych w sładocy i z uboższych, a więc nie przyjmować takiej metody obliczania podatku, która zmusza do pośpiechu roboty i wobec której oszczędność na podatku przy mniej dokładnem dobywaniu soku z buraków, okazuje się być wyższą od straty pewnego procentu cukru z owego pośpiechu wynikającej. Ta metoda widocznie grzeszy przeciwko pojęciom ekonomicznym, skoro właśnie dlatego, iż masa buraczana nie mogła być poddaną dłuższemu działaniu pras lub dyffuzorów bez narażenia fabryki na dotkliwą dopłatę podatku, cukier pozostający w wytlókach, zmniejsza ogólną produkcją krajową i jak już wzmiankowano, nie przynosi jój w zamian żadnego równoważnika.

Troskliwie badając techniczną stronę fabrykacji cukru, a nawet kosztą produkcji buraków, nie zwrócili statyści uwagi na stronę finansową przemysłu cukrowniczego, być może jeszcze dlań ważniejszą; nie dostrzegli przeto, że zadanie, iżby żadna część sładocy zawartej w buraku, która się wydobyć daje przy robocie mniej pośpiesznej, a więc dokładniejszej, nie była pozostawioną w wytlókach, *jest dla każdej fabryki kwestyją żywotną*. Wykazuje to rachunek: kosztą produkcji cukru w Królestwie Polskiem, odniesione do 300 funtowego korca buraków, w fabrykach urządzonych najlepší i prowadzonych najoszczędniej,

w fabrykach z udoskonalonem odparowaniem soku, bez udoskonalonego sposobu jego dobywania, tudzież w rolniczo-gospodarczych z udoskonalonem wydobywaniem i odparowaniem soku po 26 funtów, czyli po  $6\frac{1}{2}\%$ ;

w fabrykach półparowych i ogniowych, tudzież gospodarczo-rolniczych z udoskonalonem odparowaniem soku, bez udoskonalonego jego dobywania i półparowych i ogniowych po 24 funty, czyli po  $6\%$ .

*Dla rejonu 3-go* w fabrykach z udoskonalonem dobywaniem i odparowaniem soku po 26 funtów, czyli po  $6\frac{1}{2}\%$ ;

w fabrykach z udoskonalonem odparowaniem bez ulepszanego dobywania soku, tudzież w rolniczo-gospodarczych z udoskonalonem dobywaniem i odparowaniem soku po 24 funty, czyli  $6\%$ ;

w fabrykach półparowych i ogniowych, tudzież w gospodarczo-rolniczych z udoskonalonem odparowaniem soku, a bez udoskonalonego wydobywania tegoż soku i w półparowych i w ogniowych po 22 funty, czyli po  $5\frac{1}{2}\%$ .

Różnica wydajności wynosi między rejonami  $\frac{1}{2}\%$  przy równych warunkach (E. Andrejew, tamże, str. 117).

wynoszą po rub. 2 kop. 60 <sup>1)</sup>. Z ceny handlowej cukru (mączki), od kilku już lat prawie jednostajnej i znaczniejszym fluktuacyom nieulegającej, rubli 3 *brutto* za kamień 24 funtowy, pozostaje dla fabryk rubli 2 kop. 85 *netto*, po obliczeniu różnego rodzaju kosztów sprzedaży, czyli za funt po niecałe 12 kopiejek. Z zestawienia tych cyfr wynika, iż pierwsze 24 funty cukru, otrzymane z 300 funtowego korca buraków, zaledwie pokrywają koszta produkcji; że więc rzeczywiście korzyścią fabryk staje się dopiero *plus* wydajności cukru nad 8%, czyli przewyżka ponad 24 funty z korca buraków.

Samo przeto poczucie sprawiedliwości powinnyby skłaniać raczej do czynienia fabrykom ułatwień, w celu, iżby one zawsze prowadzić mogły robotę mniej pośpiesznie a dokładniej, nie zaś do stawiania im w tym kierunku przeszkody. Wobec bowiem terażniejszych cen cukru, *maximum* korzyści fabryk *na owym plusie wydajności wyłącznie oparte*, nie przechodzi 15 kopiejek na każdym centnarze przerobionych baraków w kampanii pod wszelkimi względami pomyślniej, w latach zaś mniej pomyślnych, bardzo łatwo schodzi do kilku zaledwie kopiejek a nawet do zera, już bowiem i rezultaty gorsze od zera widzieliśmy sposobność.

Cyfra możliwych korzyści na przerobie centnara, lub korca buraków jest przeto istotą i treścią finansowej strony przemysłu cukrowniczego; powinnyby więc nie być pozbawianą odpowiedniego wpływu na metodę poboru podatku. Ani w materyałach urzędowych, ani w dzienniku komisji powołanej do projektowania nowych przepisów o akcyzie, niema przecież śladu, iżby wysokość kosztów produkcji cukru była badaną i zestawianą z jego cenami i by statysci zwracali uwagę na konieczność pozostawienia dla przemysłu jakiegokolwiek korzyści, chociażby bardzo umiarkowanej; można nawet przypuścić, iż nie dostrzegli, gdzie i w czém leży ta korzyść. Niedoświadczszy więc do żadnego pod tym względem sądu, postawili jako pewnik ekonomiczny to, co żadnym pewnikiem nie jest, co przeciwnie obala całą ekonomią przemysłu cukrowniczego; wyrzekli bowiem, iż w latach wielkiego urodzaju buraków, fabryki mają interes prowadzić robotę gorzej, byle prędko, a tak przecież nie jest.

A chociaż rzeczzone prace przygotowawcze są niezaprzeczenie materyałami bardzo cennymi, rzucającymi na przedmiot wiele światła; niema w nich przecież i drugiego pożądanego wyjaśnienia, a mianowicie żadnych danych o owym nadzwyczajnym urodzaju buraków, który miałby skłaniać fabryki do roboty pośpieszniejszej, chociażby gorzej. Taki nadzwyczajny urodzaj buraków nie przypadł ani razu za naszej pamięci; nic wszakże nie stoi temu na przeszkodzie, iżby rok tak dla rolnictwa szczęśliwy zaliczyć do przewidywań. Chcąc wszakże tego rodzaju przewidywaniom nadać moc dowodu do tego stopnia doniosłą,

<sup>1)</sup> Z obliczeń kosztów produkcji kilku fabryk w gubernii Warszawskiej i za potrąceniem kosztów rafinowania. Jestto cyfra przeciętna, koszta produkcji stawiają się wyżej w niektórych fabrykach, nawet w téjże gubernii.

izby dla nich usuwać metodę podatkową z innych względów dobrą, należałoby, opierając się na statystyce, chociażby urzędowej, wykazać, co ile lat przypada raz w Imperyum rok urodzaju, dostarczającego fabrykom tak wielką ilość buraków, iż na jej przerób nie starczy czas kampanii zwyczajnej, normalnej.

Doświadczenie poucza, iż urodzaje nadzwyczajne, będące zawsze największym dla kraju dobrodziejstwem, są fenomenami bardzo rzadkimi, z urzędowych zaś danych <sup>1)</sup> możnaby znów produkcją buraków w Imperyum poczytywać za niedość rozwiniętą, skoro większa liczba fabryk prowadzi przerób tego materiału surowego przez czas za krótki w stosunku do sił, jakimi rozporządzają. W razie przeto wyjątkowego urodzaju potrafiłyby one spożytkować nadprodukcję buraków, skoro czynią zadosyć tylu innego rodzaju wymaganiom i warunkom na losy przemysłu cukrowniczego wpływającym. I jest w istocie rzeczą zasługującą na zaznaczenie, iż to wszystko afirmować potrzeba.

Przyjęciu systematu pruskiego z zastąpieniem udziału nadzorców przy wazeniu buraków, dowodem z ksiąg fabrycznych, aparatami mechanicznymi i nad kontrolą komitetów okręgowych, w sposób wyżej przedstawiony, nie sprzeciwiają się przeto ani ekonomiczne, ani fiskalne względy. Zastosowanie zaś głównej zasady, na której się opiera podatkowość pruska, utrwalając przemysł cukrowniczy i pozwalając na dalszy jego rozwój, nadałoby zarazem więcej pewności owym zamierzeniom budżetowym, o których już poprzednio była mowa. Jakoż urzędowe źródło podaje roczną produkcją buraków w całym Imperyum na szesnaście milionów berkowców <sup>2)</sup>; ustanawiając przeto podatek po 40 kopiejek od berkowca (10 pudowego), czyli podnosząc dotychczasową, *rzeczywistą* skalę podatkową o 25% do 30% <sup>3)</sup>, zapewnionoby docho-

<sup>1)</sup> *Razwitiye...* tablica IV, str. 248, zatytułowana: *Wiedomost o czisle dniej proizvodstwa*, wykazująca rejonami i guberniami, jak długo trwała każda z kampanii w latach od włącznie 1870/1 do włącznie 1877/8. Wedle tej tablicy, najdłuższa kampania fabryk w Królestwie trwała dni 117, najkrótsza zaś dni 73.

<sup>2)</sup> *Razwitiye...* str. 231.

<sup>3)</sup> Wedle ustawy podatkowej, akcyza wynosi 15 kop. od centnara, czyli 60 kopiejek od berkowca wagi rządowej; rozłożona wszakże na wszystkie buraki przerabiane na cukier, nie zaś tylko na te, które wedle norm podchodzą pod opodatkowanie, opłacaną jest rzeczywiście w wysokości niższej: po 25 do 30 kopiejek od berkowca. Wykazują to drukowane sprawozdania fabryk na Ukrainie, Podolu i Wołyniu, znajdujące się w archiwum Departamentu dochodów niestających; każde bowiem sprawozdanie musi być w jednym egzemplarzu przesłanym do Ministerjum Finansów. I tak np. w kampanii 1877/8 r. fabryka Dziedowozyzna zapłaciła rzeczywiście po kop. 30, 24 od każdego przerobionego berkowca buraków wagi fabrycznej (12 pudowej). Przemysł cukrowniczy w obec dzisiejszych cen cukru, nie mógłby znieść opłaty 60 kop. od berkowca wagi rządowej, jaka jest w prawie, ale nie w wykonaniu; przeciwnie

du rub. 6,400,000 rocznie (o 1,400,000 rub. więcej, niż w r. 1878) <sup>1)</sup>. Cyfrę szesnaście milionów berkowców podnieśliśmy do 18,820,000 berkowców fabrycznych, czyli do 19,760,000 berkowców wagi rządowej na podstawie przeciętnej, obliczonej ze sprawozdań dwunastu fabryk <sup>2)</sup>. Odnośnie do téj ostatniej cyfry, dochód z podatku pobieranego w powyższej wysokości czyniłby rocznie 7,900,000 rubli; w każdym więc razie więcej, niż skarb mieć może przy systemacie opartym na normach; co postaramy się wykazać w rozdziale następującym.

Ten zaś rozdział zamykamy uwagą ogólną, iż jak poucza doświadczenie wszystkich krajów i wszystkich systematów podatkowych, wzrost dochodu budżetowego nie jest bynajmniej następstwem wysokości skali podatku. Statystyci, pragnący ten dochód zwiększyć, dochodzą do celu w tych jedynie razach, gdy wysokość opłaty nie pociąga za sobą ani dotkliwego podrożenia produktu ostatecznie ponoszącego podatek, ani zmniejszenia konsumpcji tegoż produktu i gdy rzeczona wysokość nie powstrzymuje rozwoju przemysłu, ani zmusza do zamknięcia znacznej liczby fabryk.

Te doniosłe pewniki, mając na pamięci, należałoby umiarkowanie zamierzeń fiskalnych czynić zawsze punktem wyjścia, wzrost zaś cyfry dochodu budżetowego pozostawiać rozwojowi kultury rolniczej i przemysłu, tudzież zwiększaniu się ogólnej konsumpcji krajowej.

zaś skala 40 kopiejek, stosowana do wszystkich buraków, nie będąc dla fabryk uciążliwą i nie wpływając na podrożenie cukru, miałyby zarazem skutek dodatni dla zamierzeń budżetowych.

<sup>1)</sup> *Razwitijsje...* str. 250 i 251. Tablica zatytułowana: *Wiedomost o postuplenii nałoga w Rossyi* wykazuje następujące dochody skarbowe z akocyzy, łącznie opłatą patentową:

rok 1849	rub.	46,208	rok 1864	rub.	459,593
" 1850	"	138,747	" 1865	"	628,297
" 1851	"	138,201	" 1866	"	496,347
" 1852	"	234,623	" 1867	"	1,334,629
" 1853	"	322,703	" 1868	"	2,778,313
" 1854	"	351,454	" 1869	"	1,885,569
" 1855	"	434,702	" 1870	"	2,435,716
" 1856	"	359,687	" 1871	"	3,438,471
" 1857	"	450,112	" 1872	"	2,194,976
" 1858	"	450,008	" 1873	"	3,829,355
" 1859	"	560,390	" 1874	"	3,814,466
" 1860	"	382,629	" 1875	"	3,151,406
" 1861	"	630,357	" 1876	"	4,926,844
" 1862	"	542,582	" 1877	"	6,684,580
" 1863	"	443,320	" 1878	"	5,028,580

<sup>2)</sup> Patrz rachunek zamieszczony wyżej przy końcu rozdziału IV.

Miasto wzrostu raptownego, najczęściej tylko spodziewanego, dochód szedłby w górę krokami wprawdzie powolniejszymi, ale niewątpliwie pewniejszymi.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

---

Z PODRÓŻY I PRZECHADZEK

PO POŁUDNIOWO-ZACHODNIEJ NORWEGII \*).

Z LUŻNYCH NOTATEK SPISAŁ

*Stanisław Bełza.*

VIII.

List drugi do przyjaciela, albo góra olbrzym i olbrzym wodospad; różne przygody, czyli przyjemności podróżowania w kompanii, noone niebezpieczeństwo na jeziorze Tynn i powrót do Kongsbergu na Bolkesiø.

Z Tinnoset do Oernäs, wypadło mi jechać statkiem parowym, dwie te bowiem miejscowości przedziela romantyczne jezioro. Wśród stromych gór wije się ono raz wązkim wężykiem, to znowu rozlewa się szerzej, aby nakoniec w coś nakształt rzeki się zamienić.

W Oernäs, trzeba było się posilić. Dano nam więc (było nas bowiem trzech: ja i dwaj norwegczycy) obiad prawdziwie pański. Po przekąskach złożonych z ryb, sera i homarów, zastawiono przed nami kilka takich dań, żeby ich się nawet nasz Stępkowski nie powstydział. Co zwróciło uwagę moję w tym obiedzie, to dziwny sposób, w jaki przyprawiane było mięso; zamiast pieczystego, dano nam smażoną wołowinę pokrajaną w talarki z długim ostrym sosem. Wyglądało to coś na nasz ozór, tylko że smaczniejsze od ozoru było.

Po zjedzeniu obiadu, który nam przeszedł bardzo przyjemnie, miałem bowiem w mojem towarzystwie nader miłego norwegczyka (p. Dideryka Bruna), należało pomyśleć o ruszeniu w drogę, by na wieczór stanąć w Krokaniu.

---

\*) Dokończenie—patrz zeszyt za sierpień r. b.

Dotąd podróżowałem albo piechotą, albo statkiem, albo na karyoli; obecnie powiedziano mi, że jechać będziemy porządną i wygodną bryczką zaprzęzoną we dwa konie. Cieszyłem się na samą myśl tej podróży, raz że miałem jechać do miejscowości jednej z najpiękniejszych w Europie, a powtórę że podróż bryczką nie obiecywała mi tyle znużenia, co podróz karyolą.

Oernäs, niewielka osada, dziwny doprawdy ma charakter. Patrząc na nią zdala, zdaje się że jest spychaną przez okoliczne góry do jeziora, i że lada chwila zagładę w niem znaleźć musi. Domki bowiem, jakie ją składają, przylepione są do skał, a że tuż tuż stoją nad wodą, przeto złudzenie takie a nie inne sprawiać muszą. Widok z niego bardzo piękny.

Stanąwszy we wrotach gościnnego domu, masz całe jezioro jak na dłoni, a że nie płynie ono prosto, ale wężykiem wije się wśród gór, przeto przy blasku słonecznym przedstawia ci się jak srebrna drożyna wykuta ręką jakiego Cyclopa pomiędzy granitem.

Ledwie miał czas rozejrzeć się po okolicy, gdy nagle po kamiennym gruncie coś zaturkotało i bryczka zajechała przed dom. Wsiadliśmy więc a za chwilę straciliśmy i Oernäs i jezioro z oczów.

Droga do Riukanfossu prowadzi na małą wioszczynę Dale, oddaloną ztąd o jedną norwezką milę (mila norwezka jest znacznie większa od naszej). Jedziemy jednak długo, nierówność bowiem gruntu zapął koni oziębła na każdym kroku. Po jednej stronie mamy rzeczkę Maanelw, po drugiej góry większe i mniejsze. Niedaleko Dale ukazuje nam się olbrzymia Gausta, największa góra w południowej Norwegii.

Kiedy jechaliśmy, wszystko co żyło po wsiach zajęte było sprzętem. Kilkakrotnie przystawałem więc, by przyjrzeć się pracom na polu w Norwegii, tak różnym od tych, jakie widziałem u siebie w domu. Przedewszystkiem zwróciło uwagę moję uderzające ubóstwo tutejszej gleby. Zboże stojące jeszcze na pniu i ścięte przedstawiało się ubogo i nędznie. Robotą żniwiarską zajęte były przeważnie kobiety. Ubrane krótko z zawojami na głowach, przypominały nasze Kachny i Marysie. Jedne ścinały sierpem żyto czy też jęczmień, a drugie wiązały je w małeńkie snopki, które przyczepiały do trzech skrzyżowanych tyczek wbitych w ziemię. Jak mnie moi towarzysze podróży informowali, zwyczaj takiego układania snopków przyjęty jest prawie w całej Norwegii, z powodu bowiem górzystości gruntu, należy spływającej z góry wodę pozostawić pod snopkami wolny przepływ. Inaczej z tego biednego Norweczyków dobytku nicby nie pozostało... Kobiety pracując nuciły swoje melodye tęskliwe a śpiewne. Przywołałem jedną z nich, dałem jój szylinga i kazałem głośno śpiewać. Kiedy skończyła, prosiłem Bruna, by mi znaczenie słów śpiewu jój opowiedział.

Posłuchaj więc.

Biędna dziewczyna kochała panicza... Jego wzięto na flotę na marynarza, a ona została w domu. Została nie sama...

Przyszło dzieciątko... Ale za dzieciątkiem przyszły i łyzy... Pannicz powrócił, lecz także nie sam, bo z młodą i piękną kreolką. Dziewczyna tego ciosu przeżyć nie mogła i zmarła sobie cicho z bólu serca w rodzicielskiej chatce. Ale nad dzieckiem miał litość ten, kto jój nie miał nad matką. Przytulił je jak swoje i wychowuje pod dachem własnego domu.

Pieśń kończyła się słowami:

„Miłość gorsza od śmierci. Śmierć daje spokój, a miłość niepokój rodzi.”

— Prawdę śpiewa dziewczyna—rzekłem, ruszając z miejsca—i przyszył mi zaraz na myśl cudne słowa twórcy Wallenroda:

„Kto nie zna miłości, ten żyje szczęśliwy,  
I noc ma spokojną i dzień nietęskliwy.”

Niedaleko za Dale, woźnica staje i powiada, że już dalej jechać nie może. Istotnie droga około niewielkiej wiejskiej chaty jakoś się urywa. Wciska się ona wężymiem w las porastający stromą górę i znika zupełnie z oczów. Niema więc co robić, trzeba wysiadać, rozprostować nogi i ruszać dalej piechotą. Tak też czynimy i niedługo po opuszczeniu bryczki, znikamy wszyscy trzej w gęstwinie leśnej.

Z miejsca tego, które na żadnej mapie Norwegii nazwy nie nosi, już tylko do Riukanu pół mili. Brun podejmuje się nas tam doprowadzić, choć ja nie bardzo ufam jego znajomości drogi. Jakoż się nie myślę, ledwie uszliśmy bowiem z pół wiorsty lasem, drożyna wiodąca nas dotąd rozszczepiła się na trzy gałęzie i Brun stanął jak wryty. Nie wiedział gdzie iść. Na usprawiedliwienie swoje zaczął nam dowodzić, że przed rokiem gdy był w tych stronach, dwie tylko tu drogi były, że trzecia nie pozwala mu się zorientować, wreszcie oświadczył, że i najznakomitsi na świecie przewodnicy, czasami w górach błądzą.

Oświadczeniem tém tak nas zabawił, żeśmy się na niego gniewać nawet nie mogli, postanowiliśmy jednak, nie słuchać już rad i uwag jego. a kierować się w dalszej wędrówce naszym wyłącznie instynktem. I instynkt ten rzeczywiście do Riukanu nas wkrótce doprowadził. Dostrzegłszy bowiem że w końcu jednej drożyny las cokolwiek rzednieje, podczas gdy około dwu drugich przedstawia się jak zbita masa, puściliśmy się tą drogą, a gdy uszedłszy z wiorstę usłyszeliśmy huk i szum, byliśmy pewni, że wodospad blisko. Szliśmy więc tak jeszcze z pół godziny po stromej górze, a łoskot spadającej wody ciągle się powiększał. Około godziny szóstój wieczorem, nareszcie drożyna wyprowadziła nas z ciemnego lasu. Znaleźliśmy się na płaszczyźnie wielkiej jak pół Saskiego placu, w pośrodku której wznosił się maleńki domek.

Na progu stała młoda i powabna kobieta.

— Proszę panów—rzekła z uśmiechem po angielsku—kolacya już gotowa.

Weszliśmy do domku.

.....

Przed oczami memi ukazał się straszny Riukan!

Widziałem wiele, przecież nic podobnego nigdy jeszcze nie ukazało mi się nawet w marzeniu. Pierwsze przed kaskadą wrażenie, było doprawdy przyniatające. Stałem osłupiały, nie mogąc zdać sobie dobrze sprawy gdzie jestem i na co patrzę: dopiero po długiej chwili przyszedłem do siebie.

Miejsce gdzie stałem, a raczej gdzie staliśmy (oprócz nas trzech bowiem, było tam kilku Anglików i Angielek) znajdowało się naprzeciwko wodospadu; mogliśmy więc dobrze go obserwować. Przed nami piętrzyły się dwie strome góry a pod nami widniała przepaść... Szczytem dwu gór płynął z szumem potok, bałwaniąc się i pieniąc. Widziałeś go zdala jak pędzi, unosząc z sobą kłody drzew i kamienie, burząc wszystko i niszcząc po drodze. Niebaczny, nie widział on, że tuż tuż straszna śmierć go czeka. W jednym miejscu bowiem góry się rozszczypliły i odmówiły mu łoża. To przyspieszyło jego zgubę. Zwalił się więc z łoskotem i zgon znalazł w przepaści.

Wysokość z jakiej Riukan spada, wynosi nie mniej, nie więcej, tylko 540 stóp. Można więc mieć wyobrażenie co się z potokiem tym po spadku staje. Wody jego rozbite na atomy, spadają na dół parą— i tumanami pary powracają napowrót do góry.

Widok precudowny. Kiedyśmy tak wszyscy w religijném milczeniu stali przed olbrzymim wodospadem, księżyc tymczasem wychylił się zpoza gór. Wyszedł cicho i poważnie i osrebrzył całą panoramę. Opisać jak wtedy kaskada wyglądała niepodobna; powiem tylko, że wszystkie kobiety ze zdumienia popadały na kolana i głośno modlić się zaczęły, a my mężczyźni modliliśmy się w duchu.

Chcąc jeszcze lepiej przyjrzeć się samemu potokowi, który takie cuda tworzył, wdrapałem się na jedną stromą górę okalającą wodospad. Omało co jednak nie przypląciłem téj śmiałości straszną katastrofą. Gdy bowiem schodziłem, noga mi się pośliznęła, i zacząłem spadać na dół i gdyby nie baryera żelazna, o którą się zawadziłem, byłbym spadł w przepaść.

Nazajutrz rano, jak to mówią *jeno swit*, poszedłem znowu nad Riukan. Chciałem go bowiem zobaczyć przy blasku wschodzącego słońca. Jak na złość jednak po wczorajszym dniu upalnym, niebo dziś było zasnuwane chmurami i ani jeden promień słońca z poza nich przedrzeć się do ziemi i do tych wód nie mógł. To mnie w zły humor wprowadziło, mówiono mi bowiem, że przy blasku wschodzącego słońca Riukan jeszcze piękniej niż przy księżycu wygląda. Gdyby więc nie wesołość Bruna, byłbym bardzo kwaśny odbył całą powrotną podróż na Gauste, zwłaszcza też, że pogoda nam niesprzyjała; że jednak on melancholijne myśli od nas obu odpędzał, przeto mimo lejący jak z cebra deszcz, śmiać się do rozpuku musieliśmy.

Mówiłem nieraz że o ile góry przyjemne są w pogodę, o tyle nieznośne robią wrażenie gdy chmury zawisną nad ich szczytami i deszcz na ziemię padać zacznie. Pominąwszy już to bowiem, że deszcz w górach



jak zacznie nieraz padać, to pada do znużenia; a choćby i krótko padał, to wrażenie niekorzystne zawsze sprawiaćby musiał. Znajdujesz się bowiem wtedy jak w klatce i nic literalnie dookoła nie widzisz, prócz chmur nad głową i pod nogami.

To cię niepoiniernie drażni a rady na to nigdzie znaleźć nie możesz.

Przyjechawszy około południa do Dale, chcieliśmy zaraz wdrapać się na szczyt Gausty, że jednak deszcz nie ustawał, musieliśmy odłożyć tę przyjemność do jutra. Jakoż nazajutrz najawszy przewodnika, bo już Brunowi dowierzać nie chcieliśmy, około godziny szóstej rano ruszyliśmy w drogę i w kilka godzin stanęliśmy na najwyższej górze południowej Norwegii.

Gausta wzniesiona na 6000 stóp nad poziom morza, nie jest wcale stromą górą. Przeciwnie, zdaleka już przedstawia się jak półkolista mycka żydowska, a kto na jej wierzch wejść zapragnie, o jej przystępności nabierze dokładnego przekonania. Roślinność pokrywa ją w znacznej części, miejscami wije się kosodrzewina, a miejscami wreszcie świecą gołe skały. Śniegu nigdzie nie widziałem.

Wszedłszy na szczyt, masz prawdziwie majestatyczny widok. Cała bowiem okoliczna Thelemarken ukazuje ci się jak na dłoni, a że Gausta panuje nad wszystkimi wzgórzami południowej Norwegii, przeto wzrok twój bujać swobodnie może na kilka mil dokoła. Masz więc przed sobą i Kongsberg i daleką nawet Chrystyanią i jeziora białe jak kryształ i sine wody morskie. Napoiwszy wzrok do syta, zstępujemy z góry na dół i około godziny szóstej wieczorem jesteśmy z powrotem w Dale.

Tu następuje rozstanie z moimi towarzyszami podróży. Oni bowiem jadą na Hardanger, a ja wracam do Oernäs. Rozstanie było dość przykre dla mnie. Przez te kilka dni wspólnych podróży żyłem się jakoś dziwnie z tymi dwoma norwegczykami i tęskniłem za nimi, kiedy mnie karyola do Oernäs unosiła.

Przybywszy do Oernäs dowiedziałem się, że statek przed chwilą odszedł do Tinnoset. Jeszcze widziałem kłęby dymu z jego komina. Wypadało mi więc albo nając łódkę i puszczać się nocą za statkiem, albo nocować w Oernäs. Wybrałem pierwsze.

Podróż moja nocna po Tynnie należy do najromantyczniejszych, ale bodaj czy nie do najstraszniejszych zarazem w moim życiu. Trwała ona niedługo, bo tylko sześć godzin, a przecież pozostawiła po sobie niezatarty ślad w mojej duszy.

Już w Oernäs ostrzegali mnie, bym się łódką w drogę nie puszczał. Po ulewnym bowiem deszczu nastąpiły wiatry: jezioro całe bałwanilo się jak małe morze. Byłbym może tych ostrzeżeń usłuchał, gdyby nie gorąca chęć dostania się jak najprędzej do Tinnoset. Pragnąłem bowiem jeszcze, powróciwszy do Chrystyanii, zwiedzić sławną Ringerike; strata więc całego dnia bolałaby mnie bardzo. Nie bacząc więc na nic, wsiałem do łódki i niedługo utraciłem Oernäs z oczów.

Była godzina 10 wieczorem. W łódce siedzieli dwu sterników i ja. Płynęliśmy. Z początku wszystko nam sprzyjało, wiatr zaczął dąć z tyłu, tak że wioslarze założyli żagiel, który im oszczędzał trudu wiosłowania. Ale niedługo ta pomyślność trwała. Za ledwie usiadł na ławeczce i zaczął przywoływać wrażenia ubiegłych dni, gdy nagle usłyszałem trzask i świst przeraźliwy za sobą. Oglądam się, a tu ster z podartym płótnem już wyrzucony z łódki. Wiatr zawył i zakołował małą łupinką, w której siedzieliśmy, a nadmiar złego, dęszcz zaczęła lać jak z cebra.

Sternicy powstali z łódki i spojrzeli groźno jeden na drugiego; ręce im opadły z wiosłami. Nie sposób było jechać, bałwany bowiem i wiatr miały nami na wszystkie strony.

Jeden ze sterników zbliżył się do mnie i zaczyna coś mówić. Nic go nie rozumiałem, ale jestem pewny, że mówił, iż niebezpieczeństwo naszemu życiu grozi. Czyż bo w podobnej chwili o czem innym mógł do mnie przemawiać? Udałem że go rozumiem i kiwnąłem kilka razy głową.

Jak długo trwało niebezpieczeństwo, sam nie wiem, nie liczyłem bowiem godzin. Wszyscy byliśmy zrezygnowani. Co się mnie tyczy, to wcisnąłem się w kąt łódki i czekałem rychło jaki silniejszy bałwan wyrzuci mnie do jeziora. Było zimno i ciemno: naokoło mnie góry przyglądały się z lodową obojętnością katastrofie, jaka zgon nasz przyspieszyć miała; podemną szkliła się wodna przepaść, a nademną wisiały gęste i czarne chmury, bezlitosne, wilgotne. Śmierć czuliśmy w powietrzu.

Żeśmy w nurtach jeziora śmierci nie znaleźli uważam to za prawdziwy cud. Mieliśmy bowiem w łódce wodę po kostki a bywały chwile żeśmy znikali zupełnie w bałwanach. Ale przeznaczonem nam było widocznie żyć. Około godziny bowiem czwartej rano dostrześliśmy jak przez mgłę statek, który z powodu burzy, przy brzegu na kilka godzin przystanął. Promień ocalenia nam zaświtał. Zaczęliśmy głośno wołać ratunku (ja wołałem po polsku) i ratunek nam nadszedł. Podpłynął ku nam statek i w chwili, kiedy przenosiliśmy się na jego pokład, nasza łódka poszła na dno jeziora. Pół godziny później, a byłoby już po nas.

Około godziny 5 rano przybyliśmy do Tinnoset, gdzie cały dzień przepędziłem, byłem bowiem niewywczasowany i słaby. Trzeciego więc dnia dopiero mogłem się puścić z powrotem. Do Kongsberg wracałem na Bolkesiö. Droga ładna i wygodniejsza od tej jaka prowadzi na Lysthus. Co krok słyszysz szmer strumienia, a pod Bolkesiö masz piękne jezioro.

## IX.

Na Ringerike.—Droga.—Humledal.—Sundwolden.—Czy jestem w Anglii?—  
Klewstuen.

Powiedziałem był już wyżej, że okolice Chrystyanii odznaczają się wielką malowniczością. Istotnie, rzadko która stolica europejska posiada u swoich progów taką rozmaitość widoków, jak stolica Norwegii, na którą natura złała tyle wdzięków i powabów, iż obdzielić niemi można wiele miast i wiele okolic.

Bo jeśli, podróżniku, nie przywykłeś do uciążliwych wycieczek i nie chcesz zapuszczać się w głąb kraju, to dosyć ci wdrapać się na najbliższe wzgórze poza miastem i spojrzeć przed siebie. Będziesz miał wtenczas jak na dłoni najprzód miasto z jego białymi i świeżymi domami, przeglądające się w zwierciadle wód, a dalej nieco fiord przepyszny, długi i wąski, ozdobiony mnóstwem mniejszych i większych wyseppek, jak Wenus wyłaniających się z piany morskiej. Fiord ten pokrywają o każdej porze dnia i nocy tysiącami parowe statki, wywożące z Norwegii drzewo, ryby, piwo i przywożące do niej węgiel i podróżnych.

Jeżeli cię podróż po morzu łódką nie lęka, to możesz znowu puścić się na Hovedö. Będziesz miał ztamtąd uroczą panoramę Chrystyanii, stare ruiny na wysepce, a może jeszcze w dodatku będziesz tak szczęśliwy jak ja i spotkasz w jakiejś tam chatce jaką uroczą jasnowłosą nimfę, której oczy będą piękniejsze i od ruin i od panoramy. A kiedy wreszcie odbywszy te dwie podróże, zechcesz jeszcze widzieć coś więcej, a przecie nie znużyć się tak jak ja, dajmy nato po Thelemarken, natenczas weźmiesz mały pakunek w rękę i wyruszysz na Ringerike.

Podróż na Ringerike chociaż tak bliska i nienużąca, przecieź tania nie jest. Mówiono mi już o tém w Chrystyanii, po powrocie z Miöseńskiego jeziora; temu też to przypisać należy, że nie wiedząc czy mi pieniądze starczy, wprzód puściłem się do Thelemarken, której żaden podróżny po Norwegii nigdy nie pomija, a dopiero myślałem potem gdy mi środki dozwolą, Ringerike odwiedzić. Że jednak Thelemarken bardzo stosunkowo niewiele speciesów mi zabrała, przeto powróciwszy do stolicy Norwegii, po kilkodniowym wypoczynku puściłem się na Ringerike. I chociaż pieniędzy wydałem bardzo wiele, nie żałuję przecieź wydatku, bo w zamian dostałem tak piękne widoki, jakich dotąd jeszcze w Norwegii nie widziałem.

Dziwna rzecz, podróżując po Norwegii, w różnych które zwiedzałem stronach, dostrzegłem taką rozmaitość krajobrazów, jakiej na podobny przestrzeni w żadnym kraju niemasz. Wszędzie są tam co prawda góry, Norwegia jest bowiem krajem wyłącznie górzystym, ale te góry tak niepodobne do siebie, jak niepodobne są np. Tatry do pagórków w okolicach Prądnika. Niedosć że góry są niepodobne, ale różnią się także od siebie i doliny, jakie w łonie ich są uwięzione. Gdy bowiem doliny pod-

mywane Miösenem wabią cię ku sobie miłośnię, doliny Thelemarken przerażają dzikością i nieledwie straszą. Na Ringerike znowu i góry i doliny i wody nawet, z tamtymi niemają nic wspólnego.

Do Rzymu wszystkie drogi prowadzą; na Ringerike tylko jedna, przez Humledal i Sundwolden. Do Humledal ( $1\frac{5}{8}$  mili) dojeżdża się z Chrystyanii koleją żelazną, ztąd do Sundwolden karyolą lub dwukonną bryczką. Ja szedłem piechotą i bardzo zrobiłem dobrze.

Wysiadłszy bowiem z wagonu kolei żelaznej, około prześlicznego mostu w Sandwiken, szedłem drogą prowadzącą do Sundwolden, która mnie ciągle podnosiła do góry. Droga bo też to droga. Naprzód prowadzi cię ponad wodą, potem gubi się w lesie, a nareszcie wyprowadza między dwa szeregi skał, stromych jak Giewont, a dzikich jak Zawrat w Tatrach. A kiedy nasyci twój wzrok widokami, jakich nie przywykłeś widzieć na tak małej przestrzeni kraju, skończy się nareszcie przepyszny wodospadem, który lubo bez porównania od Riukanu mniejszy, przecież cech dzikości pozbawiony nie jest.

Istotnie, co wyróżnia tę drogę i te strony od dróg i stron reszty Norwegii, to to właśnie, że na małym kawałku zgromadziła ona dużo piękności. Żeby się dostać do Listad, trzeba naprzód jechać koleją, potem płynąć długim jeziorem i następnie nogi tłuc po kamieniach Gundbransdalu; żeby widzieć Riukan i Gaustę, trzeba również jechać koleją, mordować się na drodze Lysthusowskiej i narażać na niebezpieczeństwo na Tynie; żeby zwiedzić Hønefos i Ringerike, trzeba wprawdzie także powierzyć się zrazu parze, ale już na południe można jeść obiad wśród szumu uroczej kaskady, lub na szczycie stromiej góry. To dogodne położenie tych okolic sprawia, że drogi te latem napełnione są podróżnymi. Otóż jak wszystko na świecie ma to swoją dobrą i złą stronę. Dobrą, bo milej spotykać w podróży ludzkie twarze, niż kruki i orły; złą, bo ponieważ podróżni ci rekrutują się wyłącznie z Anglików, którzy mają dużo pieniędzy i lubią nimi rozrzucić na wszystkie strony, przeto gdzie się tylko oni pokażą, podnoszą wartość wszelkich potrzebnych do życia produktów i tém samym mniej zasobnemu od nich, środki podróżowania umniejszają.

Doświadczyłem tego na sobie i to mnie nauczyło stronić w podróży od dróg, któremi Anglicy przeszli, nieledwie jak od zarazy.

Zaledwie uszedłem z małą milkę na drodze do Sundwolden, zmuszony zostałem postawić sobie zapytanie, czy ja przypadkiem, cudem jakim nie dostałem się do Anglii. Znikły bowiem wioski i chatki, znikli poczciwi moi Norwegczycy, a z tej i z tamtej strony zaczęły mi się przesuwać bezustannie chude sylwetki Anglików i śmiejące twarzyczki ich rzyżych towarzyszek życia. Język angielski dolatywał mnie ze wszystkich stron, a głośnie krzyki angielskich woźnic napełniały powietrze.

Przypomniały mi się słowa Böhna, że po Norwegii podróżują prawie wyłącznie Anglicy. Tak jest, powiem nawet wyłącznie, bo tych kilku Niemców i Francuzów, którzy tu rok rocznie przychodzą, w rachubę

brać nie należy. Jedni Anglicy są niestrudzeni w odwiedzaniu Norwegii, a jeżeli podróżując po Miøsensu okolicach lub Thelemarkenu skałach, nie spotykałem ich tak wielu jak na drodze do Ringerike, to dlatego tylko, że jak mi mówiono, po tamtych stronach, przywykli oni o wcześniejszych porach roku wędrować. Teraz np. byli masami pod Bergen lub Trontheim, albo też ciągnąc z powrotem do domu, Ringerike w kompanii zwiedzali.

Oryginalni są ci Anglicy w podróży! Tyle już napisano o téj ich oryginalności, a jeszcze nie wyczerpano wszystkiego. W Norwegii są oni może oryginalniejsi, niż gdzieindziej, bo tu czują się jak u siebie w domu, a choć w ogóle te splenowate dzieci Brytanii niewiele przywykły robić sobie ze świata, to jednak po drogach szwajcarskich, gdzie ich spotykają tłumy cudzoziemców, więcej może rachują się z utartymi w Europie formami. Tu nic ich nie obchodzi, nikt spokoju im nie zamąci, a mimo dziwactw i rubasznych manier w dodatku, miejscowa ludność przyjmie ich zawsze z otwartymi rękami, bo przyniosą jój oni to, czego najwięcej potrzebuje — pieniądź.

Anglicy po Norwegii podróżują towarzystwami. Na drodze do Ringerike spotkałem takich towarzystw kilka, a każde z nich liczyło po kilkanaście osób. Ze względu na dogodniejsze warunki gruntu, podróżowali tu oni własnymi powozami, najmując tylko konie od miejscowych wieśniaków. Byli więc istotnie jak u siebie w domu; we własnym koczku, z własnymi ludźmi zwiedzali te cudne miejscowości, sypiąc pieniędzmi na wszystkie strony.

O ile Anglik jest oszczędny i chciwy w ojezysznie swojej, o tyle rozrzutny i wspaniałomyślny bywa między obcymi. Pochodzi to z dwu przyczyn:

Po pierwsze: każdy prawy syn Albionu wie w czém spoczywa potęga jego kraju, będąc więc za jego granicami, na każdym kroku usiłuje dawać dowody, że potęga ta ani na cal się nie zmniejszyła.

Powtóre: nie znając, a nawet pomiatając językiem kraju, po którym podróżuje, tą tylko drogą dojść on może do zaspokojenia najpierwszych potrzeb życia.

Względy te bardzo zasadne w stosunku do niego, w odniesieniu do mnie przykre bardzo wywołały owoce, gdy bowiem przyjechałem do Sundwolden, tak wszyscy na stacyi zajęci byli *panami Anglikami*, iż na kawałek chleba z masłem i kilka jajek czekać musiałem ze dwie godziny, a rozmiano mi się w nos, gdym łamaną norwegczyzną posługującą mi *pige* (dziewczynie) oświadczył, że pół speciesa to nieco za to wszystko zawiele.

Sundwolden leży w uroczém miejscu. Z progu stacyjnego domku widok roztacza ono bardzo romantyczny. Góry i góry, a poza niemi błyszcząca jakaś niezmierna i nieograniczona łysina. To lodniki, których ład stały Europy (z wyjątkiem jednéj Szwajcaryi) nazaźdrościć się Norwegii nie może. Jakżeż żałuję, pomyślałem, że do lodników tych tak daleko, ale istotnie daleko; leżą one o kilkanaście

mil ztąd, więc oczywiście marzyć o zwiedzeniu ich niepodobna. Trzeba się rozkoszować tém co jest, a rzecz to niebardzo dotkliwa, to bowiem co jest, niewiem czy może być mniej piękném od tego co być mogło.

Nie ja jeden napawam oczy moje rajskimi widokami. Obok mnie stoi przesliczna angelka i śmiejąc się głośno jak dziecko, jak dziecko z tego co widzi, cieszy się. Przy boku jój poważny siwawy już mężczyzna, nuci obojętnie jakąś niezrozumiałą piosenkę. Zapewne jój ojciec pomyślałem.

— Ach! ach!—zawołała po francuzku jasnowłosa—widzisz pan tę czarną chmurę i pokazała coś w górze.

— To nie chmura—zauważyłem—to stada dzikich ptaków!

Zawiązała się między nami rozmowa:

— Czy pan francuz?—zapytała patrząc mi bystro w oczy.

— Nie, pani: jam polak.

— Ach! jakie to szczęście. Pan polak, a ja tak polaków lubię. W domu mojej matki (biédna, ona już nie żyje) dawno, dawno... kiedyś jeszcze maleńką była...

— Czy nie w końcu czasami zeszłego wieku—zauważyłem.

— Rozśmiała się głośno.

— Bywał u nas pewien pan z Polski. Przychodził do nas często, widywał się z ojcem, z mamą, czytał im jakieś gazety, a nieraz gorzko płakał. O! pamiętam go dobrze. Był młody i piękny, włos jasny okalał mu wysokie czoło, a niebieskie oko błyszczało rozumem.

— Czy u was wszyscy tacy piękni?

— Jak pani widzi—dodałem skłoniwszy się.

Znowu się rozśmiała. Nastała chwila milczenia.

— Wie pan co, ten pański rodak miał do mnie dziwną jakąś słabość. Często brał mnie na kolana i mówił że się zemną ożeni, jak urosnę. Nie dotrzymał słowa niewdzięczny, a ja tak pragnęłabym być w Polsce.

Dziewczyna ta zajęła mnie bardzo. Nie bacząc więc na obojętność anglika, który pozostał na stronie, poprosiłem ją by usiadła i zacząłem jój opowiadać długo, o ojczystym kraju moim. Słuchała z uwagą, z taką uwagą, iż zdało mi się że znalazł w niej siostrę. Byłbym się z nią nigdy nie rozstał, gdyby nie zbliżenie anglika.

Zrobił ruch niecierpliwości.

Powstała nagle z miejsca i podała mi rękę.

— Do widzenia w Warszawie.

I zwracając się do swego towarzysza, rzekła po angielsku:

— Ten pan polak,—a ten—powróciła do francuszczyzny—mój narzeczony.

Skłoniliśmy się sobie. Odeszli. Długo jeszcze w noc pozostałem na miejscu i myśl moja niechciała odbiedz od téj dziewczyny, która miała tak starego konkurenta.

Wyglądał na jęj ojca—jeżeli nie na coś więcj jeszcze.

Nazajutrz, kiedym się obudził, stacya była opuszczona. Całe towarzystwo angielskie równo z rankiem wyjechało do Chrystyanii.

Opisywać szczegółowo tēj drogi nie będę. Powiem więc tylko, iż po opuszczeniu Sundwolden, idzie się już w towarzystwie stromych skał do samego Kroklewen, na szczycie którego znajduje się gospoda Klewstue, gdzie dostać można przewodników, dla zwiedzenia piękniejszych górskich widoków.

Mamy tu widoków tych dwie kategorye: *króla* i *królowej*. Zwiedziłem i jedne i drugie i mimo uszanowanie moje dla płci nadobnej, powiedzieć muszę, że powaby jakie mi *król* roztoczył były o wiele piękniejsze, od tych jakie mi *królowa* przedstawiła. I tu i tam ta sama dzikość, ale gdy *królowa* nuży twe oko dziwną jakąś jednostajnością, *król* natomiast wprowadza cię w świat groźby i fantazyi, który cię porywa, unosi i usypia. Z obu szczytów widać w dali jeziora i morza, a z *króla* przez lunetę dostrzegłem nawet kilka okrętów na fiordzie.

W Hönofass przepyszna ta droga kończy się, a kończy kaskadą wód.

Dochodząc do miasteczka (1000 mieszkańców), choć jeszcze nie widziałem wody, usłyszałem przecież szum straszny, który mi Riukana przypominał. Wszedłszy w mury miejskie, ujrzałem, wodospad. O wiele mniejszy od Riukana, jest przecież nie o wiele mniej wspaniały. Spadek tu nie tak wprawdzie wielki, ale za to woda rozlewa się szerszém korytem. Co się traci więc na grozie, zyskuje się na rozciągłości widoku.

Z Hönefoss do Dramen idzie linia kolei żelaznej. Nie chcąc więc już powtórnie odbywać piechotą powrotnej do Chrystyanii drogi, powierzyłem jęj moje losy i nic nie straciłem na tém: po trzygodzinnęj bowiem niespełna podróży, znalazłem się znowu w stolicy Norwegii i na trzeciém piętrze hotelu Stockholm spisywałem skrzętnie do katalożka to, com widział i słyszał.

## X.

Zakończenie.—Nicco luźnych uwag i spostrzeżeń.—Słówko o dzisiejszym stanie Norwegii.—Do zobaczenia...

Dnia... oglądałem Chrystyanią poraz ostatni. Ta sama *Westa*, która mnie tu przywiozła z Kopenhagi, około godziny piątej po południu, zabrała mnie z powrotem. Zabrała nie samego, bo z głębokim żalem w duszy. Tak jest, z żalem.

Jeżeli bowiem jechałem do Norwegii, żadny wrażeń i oryginalności, to nie przypuszczałem nigdy, ażebym do tego kraju tak przyłgnał, tak go prawie pokochał. Bo i cóż mogłem przewidywać, że znajdę tam het, het na północy, gdzie noga polska tak nieliczne dotąd

pozostawiła ślady? O górach, dolinach, lodnikach wiedziałem ja co prawda, nie wiedziałem przecież że jest tam tyle tego, co te góry i doliny ożywia, co ogrzewa te lodniki, tyle serca. Znalazłem serce i z załem się z tém sercem rozstałem. Znalazłem tam coś więcej jeszcze: znalazłem głęboką naukę.

Uważny czytelnik tych luźnych wspomnień moich, wyciągnął z nich niezawodnie ten wniosek, iż Norwegia jest krajem bardzo biednym. Istotnie. Od północy na południe pokryta górami, jest ona prawdziwym Gebirgsland, jak ją Niemcy słusznie nazywają. Na tych górach i pomiędzy górami temi rozsiedli się gęsto ludzie i znaleźli się wkrótce w położeniu opuszczonych, znikąd nie widzących pomocy. Zdobyćcie najmniejszej rzeczy przychodziło im z wielką trudnością, walka o byt widniała przed nimi w całej grozie. Mieli oni do wyboru dwie drogi: albo jak nasi górale w Karpatach opuścić ręce z rozpaczą i żyć z dnia na dzień w nędzy i ciemności, albo też nie dawać za wygraną, jąć się z zapalem pracy i wywalczyć sobie znośną egzystencją. Wybrali na szczęście to drugie i dziś dają światu zdumiewający obraz tego, do czego to może dojść kraj biedny i niepłodny, jeżeli zaludniony jest ludźmi przedsiębiorczymi, pracowitymi i nieupadającymi nigdy pod brzemieniem próżności i nieszczęść.

Wszyscy podróżnicy po Norwegii zgadzają się na to, iż przy równie niekorzystnych warunkach, więcej doprawdy dokonać niepodobna. Istotnie. Zważmy że kraj ten przez kilka miesięcy w roku, jest lodami odgradzany od reszty świata, że przez ośm blisko miesięcy panują w nim jesienne zawieje i mrozy, że niema on ani rzek spławnych, ani pól zdolnych do uprawy. A jednak mimo to wszystko, posiada on wysoką oświatę, wyborne społeczne urządzenia i względną zamożność, która chociaż nie może iść w porównaniu z zamożnością Anglii i Francji np., przecież przy oszczędności ludu, pozwala wieść byt wygodny i wcale znośny. A wszystko to dzięki dziwnemu jakiemuś hartowi ducha mieszkańców i pracy, ale to takięj pracy, o jakiej my doprawdy wyobrażenia niemamy.

O potrzebie téj téj pracy przekonany jest w Norwegii każdy, zarówno bogaty jak biedny; to téż nie zdarzyło mi się tam widzieć żebraka. O nędzarzach i kalekach swoich gmina obowiązana jest pamiętać, kto tylko ma ręce zdrowe musi pracować, bo próżniactwo jest tam przedmiotem ogólnej pogardy.

— Próżniak nie wart jest żyć na świecie—powtarzał mi kilkakrotnie jeden z norweskich profesorów uniwersytetu, kiedym mu zadziwienie moje nad takim błogim stanem jego ojczyzny wyrażał.

Powiedziałem był wyżęj, iż znalazłem w Norwegii wiele serca i nie cofam mego zdania. Istotnie, w ciągu paru miesięcy przebytych w tym kraju, obserwacją tę łatwo mi było uczynić. Wędrując tu i owdzie, ocierałem się o różnych ludzi, miałem styczność z dziećmi ludu i wyższą inteligencją kraju. I tu i tam dostrzegłem niekłamana życzy-



liwość, która dochodziła do najwyższej potęgi, kiedy powiedziałem że jestem Polakiem.

Jadąc razu jednego koleją wschodnią dla zapoznania się z krajobrazami południowo-wschodniej Norwegii, wypadło mi kilka godzin przepędzić w jakimś małym miasteczku, położonem na granicy Szwecyi. Niemając co lepszego do roboty, po zwiedzeniu nieciekawej zresztą miejsciny, usiadłem na ławeczce przed stacją i rozłożyłem na kolanach wielką mapę Norwegii.

Kilka panów przechadzało się po peronie. Nagle jeden z nich zbliża się do mnie i najczystszy dyalektem niemieckim odzywa się w ten sposób:

— Pan widzę podróżny w tym kraju, może mu czém służyć możemy?

Inną razą jechałem wagonem kolei wtulony w kącik powozu, przysłuchiwałem się nieznanym dźwiękom, nie mieszając się naturalnie do rozmowy.

Współtowarzysze podróży widocznie domyśliли się, że mi to milczenie przykrość sprawia; sądząc jednak, że niemam wprawy w zawiązywanie znajomości, pragnęli mi ją ułatwić: rozpoczęli więc pierwsi ze mną rozmowę, naturalnie po norweżku.

Odpowiedziałem że nie rozumiem i że jestem Polakiem.

Nigdy nie zapomnę jakie to słowo Polak na tych pocziwcach sprawiło.

„*Pollack, Pollack*” — zaczęto powtarzać na wszystkie strony i wpatrywać się we mnie, tak że mnie to w ambaras sprawiło.

Niestety, nie rozumieli oni po niemiecku, ja po norweżku rozmówić się nie mogłem. Zaczęła się więc rozmowa na migi i na migi przykładając ręce do serca powiedzieli mi oni, jak bardzo Polakom sprzyjają. Po téj rozmowie zaczął się poczęstunek. Mężczyźni otworzyli swe flaszki z wódką, kobiety koszyki z chlebem i sérem i wszystko to zwróciło się w moję stronę, który zdumiony jeść musiałem, bolejąc nad tém najbardziej, że im nawet za te oznaki sympaty i gościnności w ich ojczystym języku podziękować nie mogłem.

Ludzie jadący wtedy ze mną, należeli do klasy niższej, tamci którzy mi na pogranicznej stacy swą pomoc ofiarowali byli ludźmi inteligencyi; czyż weźmiecie mi więc za złe, że z zestawienia tych dwu zdarzeń, które się zresztą w innej nieco formie nieraz powtarzały, wyprowadzę ten wniosek, że ludzie tam, daleko na Północy mają wiele serca?...

Wzmiankowałem nieraz o tém, że Norwegia jest wyłącznie górskim krajem. Charakter jój ogólny przecież (przynajmniej w tych stronach które ja poznałem, a poznałem nieco więcej, niż tu w tych luźnych notatkach spisuję), różni ją wielce od Szwajcaryi. Anglicy słusznie utrzymują, iż gdy Szwajcarya odznacza się swojemi *mountain scenery*, Norwegią przeważnie charakteryzują *valley scenery*. Zdaje mi się, że anglicy dając podobne określenie tym dwom krajom, nie bardzo się z pra-

wdą mijają. Wprawdzie cała prawie Thelemarken to *mountain scenery*, ale za to okolice przyległe Chrystyanii, całe pojezierze Miösenu, cała droga górską do Listad, cała wschodnia połać kraju aż do granicy szwedzkiej, to *valley scenery*. Góry tu wprawdzie wszędzie są, ale nie o góry w tém określeniu idzie, idzie o to, że góry te są pospolite i jednostajne, strzelają jednakowo ku niebu spokojnie i dziwnie monotennie, i że widoki, prawdziwie piękne widoki masz dopiero w dolinach. Takich istotnie dolin jak za Lillahamer, takich jak na drodze do Sundwalden, takich wreszcie jak koło Henefoss, nie zdarzyło mi się widzieć nigdy, mimo że widziałem tak cudowną dolinę, jak nasza Kościeliska w Tatrach, której równie pięknych nie wiele jest na świecie.

Naturalnie, nie znając całej Norwegii, nie mogę utrzymywać, że nigdzie w niej nie masz widoków górskich, podobnych szwajcarskim lub tatrzańskim. Przypuszczam nawet że rzeczy się mają przeciwnie, bo kraj górzysty, mający więcej niż trzystaście stopni szerokości geograficznej, musi posiadać nieobliczoną różnorodność krajobrazowych typów. Każda definicya, jako definicya, prawdy dokładnie nie określa, i angielska więc mylić się może; ale bezstronność nakazuje mi przyznać, że w południowo-zachodniej, a nawet i wschodniej Norwegii, widoki jakie doliny dają, przewyższają pod względem piękna te, jakie ukazują góry, bo gdy te ostatnie pewną jednostajnością nużą, tamte tymczasem roztaczają ci przed oczami taką różnorodność powabów, jaką cię darzy grono pięknych naszych warszawianek, ujęte w bukiet balowego zebrań.

Pod pewnym względem, wschodnia część kraju jest więcej różnaitą niż zachodnia. Pokrywają ją bowiem w znaczniejszej części lasy, na których zachodniej prawie zupełnie zbywa. Ta to okoliczność sprawia, iż mieszkańcy sąsiadujących powiatów ze Szwecyą, żyją wyłącznie z drzewa, podczas gdy ich zachodni bracia rybom egzystencyą swą zawdzięczają. Ta różnorodność wyradza także różną w obu tych stronach zamożność mieszkańców. Pierwsi mając produkt stały i kosztowny pędzą byt stosunkowo daleko lepszy od drugich, którzy z niepewnego rybołówstwa żyć muszą.

W ogóle jednak chodząc po południowo-zachodniej Norwegii i wstępując do niejednej włościańskiej chaty, dostrzegałem wszędzie ślady względnej zamożności. Gotów byłbym nawet, nie wyciągać z tego ogólniejszych wniosków, i kłaść tę zamożność na karb przypadkowego wzbogacania się włościan na podróży Anglikach, którzy tu rok rocznie bardzo licznie przejeżdżają, gdyby mnie pewien wykształcony norwegczyk, nie oświecił w tym względzie.

Zdaniem jego, zamożność ta przypadkową nie jest, napotyka się ona prawie wszędzie; lud norweski bowiem odznacza się niepraktykowaną oszczędnością, pracowitością i trzeźwością.

Podróżując po Norwegii z zadziwieniem zauważyłem, że nie napotykałem nigdzie tam po drogach karczem, owych brudnych karczem pełnych dymu i gorzałczanego zaduchu, które są zakałą naszego kraju.

Wniknąwszy bliżej w tę rzecz, doszedłem wkrótce, że karczem naszych istotnie tam niema i że wódka wyrugowaną jest z codziennego użytku włościan.

Przedewszystkiem powiedzieć tu muszę, że wsie norweskie podobne do naszych nie są. Nie wyglądają one nawet na wsie takie, do jakich oko nasze przywykło. Tu i owdzie widzisz kilkanaście dworców, w prostą linię nad drogą pobudowanych i to jest właściwą wsią. Otóż w tych wsiach karczmy są najzupełniej zbyteczne, każdy bowiem włościanin zaopatruje się w to wszystko co mu jest potrzebne, wódki on używa mało, ale za to stałym jego napojem jest wyborne narodowe piwo, w które zaopatruje się na kilka miesięcy. Nie potrzebuje więc uczęszczać do karczmy, ale za to gdy niedziela nadejdzie, zgromadza w gościnnej izbie całą swoją rodzinę, wlewa w szklanki norweską wódkę, zasiada sobie w wygodnym fotelu i czyta na głos zebrany poważnego *Aftenposten*, lub też śmieje się ochoczo z conceptów takiego *Wikingenu*.

Zeszedłem ich raz na takiem zebraniu i westchnąwszy pomyślałem sobie:

Kiedyż to w mojej ojczyźnie, coś podobnego Opatrzność widzieć mi pozwoli?

Lud norweski odznacza się wcale przywoitą powierzchownością i z pierwszego rzutu oka północnego Niemca przypomina. Wokolicach Chrystyanii ubiór jego nawet nie przedstawia nic oryginalnego; za to im dalej w głąb kraju się posuwamy, tém oryginalniejsze spotykamy kostiumy. Nadewszystko zwróć one na siebie uwagę w Thelemarken.

Pamiętam, jadąc do Riukanu, przystanęliśmy przed jakimś zajazdem na drodze. Chciało nam się pić, więc wstąpiliśmy do wnętrza chaty, gdzie zebrani włościanie spędzali czas na gawędce. Mogliśmy się wtedy napatrzeć ich kostiumom. Jedna dziewczyna, ubrana, jak mnie moi towarzysze podróżni zapewniali, podług najświeższej mody, zwróciła moją szczególniejszą uwagę; wyglądała bowiem jak papuga: taka pstrokatość jednak jej ubioru, widocznie podobała się wszystkim, bo otoczyli ją kotem i oczów od niej oderwać nie mogli, choć wcale piękną nie była.

Mimo zamikowania w zbytowym stroju, lud ten zresztą odznacza się skromnością. Spokojny i milczący, jeżeli usta do śpiewu otworzy, to po to, by Boga chwalić; nawet dziewczki, choć i miłośnicze czasami zanucą, przecież chętniej psalmy do Chrystusa pieją. Wzmiankowałem już o tém wyżej, tu więc tylko powtórzę, iż nastrój wysoko religijny spotykałem wszędzie w Norwegii: w czynie, na ustach, a więc chyba i w sercu.

Jakaś dziwna tęsknota i zaduma odznaczają ten lud Północy. Poważny i skupiony w sobie, choć się bawi i weseli, to jakoś od naszego ludu inaczej. Wynik to temperamentu? nie wiem; ale ile razy

przyglądałem się wieśniakom norweskim, zawsze jak mara prześladowała mnie ta myśl, że musieli oni być kiedyś bardzo nieszczęśliwi!

Bądź jak bądź, dziś szczęśliwi są. Wszystko, czego człowiek w tym doczesnym życiu żądać tylko może, jest ich udziałem; a więc najpierw rząd republikański i konstytucyjny, szkoły wyborne i tanie, wreszcie dobrobyt oparty na bezustannej pracy. O warunkach swojego otoczenia, wiedzą też oni dobrze; to też odbijają się one na każdym, podnoszą go i uszlachetniają. Chłop norweski wie, że jest obywatelem kraju, że jego udział w rozstrzygnięciu o jego losach jest znaczny i potężny; szczeni się więc tą swoją godnością jak żaden inny i na każdym kroku usiłuje przekonać przybysza, że on jest ważną częścią składową tego organizmu państwowego, który za podstawę swego rozwoju położył wolność, który na swoich gmachach publicznych wypisał te znaczące słowa:

*Med lov skal man land bygge* (państwo winno być rządzone przez prawo).

Szczęśliwy kraj, który szczeni się takim ludem: szczęśliwy lud, który żyje i rozwija się w takim kraju...

Na tym poprzestaję. Słówek więc tylko jeszcze na zakończenie.

Kiedym przed laty, podczas moich uniwersyteckich studyów, zastanawiał się nad tak nazwanymi w nauce „utopistami państwowymi;” kiedym myślał nad dziełem Morusa i nad jego obrazem państwa idealnego, w którym „wszyscy” byłiby zupełnie równi i zobowiązani do pracy, przychodziło mi do głowy zapytanie, czy też nigdy żadne państwo europejskie nie osiągnie tego ideału, jaki myśliciel angielski tak sympatycznie nakreślił, a który młodzieńcza moja wyobraźnia za ostatnie słowo rozwoju państwowego uważała.

Kiedym po latach kilku znalazł się w Norwegii i rozejrzał się nieco dookoła, rzecz dziwna, przypomniał mi się znowu Morus i moje pytania na uniwersyteckiej ławie. Widząc, jacy tu wszyscy szczęśliwi, przynajmniej jak szczęśliwie wyglądają; jaki tu panuje porządek, równość (tytuły w Norwegii dobrowolnie w tym wieku zostały zniesione) i praca; zdało mi się, że zostałem przeniesiony na tę wyspę *Utopią* (*insula utopia*), która w fantazyi Morusa miała być tym najlepszym państwem. Przewidywałem naturalnie, że ten organizm musi także chramać, wiedziałem, że i w nim dostrzegają się poważne braki: mimo to jednak wydał mi się on i wydaje najbardziej zbliżonym do tego ideału państwa, które na równości będąc oparte, wszystkim bez wyjątku wolność daje.

To też opuszczałem Norwęgję z prawdziwym żalem, a gdy okręt uniósł mnie od niej tak daleko, iż skaliste jej brzegi znikły mi z przed oczu zupełnie, myśl moja bujała jeszcze po tych śmiejących się dolinach Miösensu i Thelemarken, gdzie jak nasz nieśmiertelny poeta przy kochance— „częstkę duszy mój zostawił.”

# ROMANTYZM ANGIELSKI XIX WIEKU \*).

PRZEZ

*Feliksa Jeżierskiego.*

## II.

Ogniwa pośrednie pomiędzy Shelley'em a Bajronem.—Ryszard Henry Dana (jego *korsarz Lee*).—Samuel Taylor Coleridge.—Wzmianka o Edgarze Allan Poe.—Tennyson Alfred (*Idylle królewskie*).—John Keats.—George Gordon Noel Bajron.

Dwa żywioły składały się na rzucenie podstaw romantyzmu angielskiego: przeszłość średniowieczna i poetyczne studia nad naturą. Pierwszy żywioł czysto historyczny, i z powodu właśnie historyczności swojej nieco chwiejny, wystarcza jednak na pewne ugrupowanie postaci pierwszorzędowych. Za rycerstwem, albo za heroizmem: oto dylemat, na mocy którego możnaby, przynajmniej w dziedzinie poematu i oceny, jak powiada Mickiewicz „na strasznym sądzie” téj lub owéj znakomitości miejsce przeznaczyć. Nierównie podstawniejszą, niezawodniejszą jest zasada oparta na podstawie ducha autora w obec natury. Tu bowiem, z końcem zeszłego lub początkiem obecnego stulecia wchodzi nowy porządek wyobrażeń, otwiera się nowy zmysł na zjawiska świata: będzie to w prawdzie znamię nie tylko angielskiego ale przedewszystkiém: angielskiego romantyzmu.

Nad usprawiedliwieniem takiego poglądu rozszerzać się nie będziemy; jak zaś rozumiemy to nowożytne stanowisko, czytelnik zauważyć już mógł w pierwszém sprawozdaniu naszém. Wszelkie inne znamiona, niezapreczenie istniejące w utworach téj grupy, jakoto np. sposób prowadzenia uczuć, pojmowania psychicznej istoty ludzkiej, sąd nad krokami dziejów i ludzi, jakkolwiek ważne, uważać się jednak dadzą, jako tylko gatunkowe znamiona poprzednich.

Ani Malthew Arnold ze swoim *Micerynem*, ani W. Morris z *Życiem i śmiercią Jazona*, lub *Rajem Ziemi*, ani nawet—śmiało powiemy: Sydney ze swoim *Balderem*, wejść tu nie może. Na te utwory czeka nie Walhalla, lecz królestwo Olimpu, jeżeli potomność wyrzec nad niemi raczy słówko nieśmiertelności.

Zapoznawszy czytelnika z faktami literacko-dziejowemi, które podług nas zdały się być przygotowaniem gruntu do poezji romanti-

\*) Dalszy ciąg—patrz zeszyty za m. listopad i grudzień 1878 r.

cznej w Anglii, podaliśmy w obszerném sprawozdaniu obraz utworów Shelley'a, zastrzegając sobie prawo postawienia, na drugim froncie epoki, drugiej, równoważnej, ale odmiennej postaci Bajrona, szczególnie w mniej u nas znanych jego utworach.

Jako dwie współ-potęgi, każda na własnym promieniu, ze wspólném wprawdzie ogniskiem, lecz domyślném gdzieś poza niemi, w nieujętych jakimś punkcie przyszłych przeznaczeń poezji, dwaj mistrze ci, mogli stać obok siebie, bez zawiści; owszem, jak było rzeczywiście, z braterskiem oko w oko, bezwiednie może dopełniając siebie nawzajem. Bajron był mocarzem myśli, poetą rozumu i namiętności; Shelley znowu był wieszczem uczucia—„sercem serc.”

Pośrednie ogniwa, a było ich wiele, mniej lub więcej, stały pod promienieniem jednego lub drugiego. Dodamy jeszcze ten fakt, że tak Bajron jak i Shelley przesięgli ponad pierwotną charakterystykę romantyzmu ze względu na faktyczną jego treść (rycerstwo), wyeliminowali, powiedziec możemy, historyczny żywioł jego istoty, a natomiast ujęli w ręce, jego ducha: nowożytność.

W szeregu téż owych pośrednich pomiędzy nimi ogniw spotkamy się z poetami takiéjże, pośredniej natury. Jedni treścią, drugą metodą, należeć będą do chorągwi ogólnej.

Jeżeli w sprawozdaniu o nich, wypadnie nam niekiedy odezwać się z imieniem, już kiedykolwiek przez nas wspomnianém, tedy postaramy się przynajmniej o to, aby powtarzając osoby, niepowtarzać wspomnianych już ich utworów.

Poczet poetów, zachodzących w sferę romantyzmu, szczególnie w ze względu na metodę artystyczną rozpoczniemy pobieżną wzmianką o nader pociągającym, energicznym talencie, niestety już zamilkłym od pół roku. Był to Ryszard Henry Dana, o piętnaście tylko lat późniejszy od Coleridge'a, ale wcześniejszy od Bajrona, Shelley'a Keats'a. Umysł to niestęchanie czynny, założyciel albo współ-uczesnik pism peryodycznych, poeta i nowelista, który wprowadził do powieści silny, może nazbyt silny czynnik okropności i zgrozy, podjęty następnie przez Edgara Poe, autor mnóstwa studyów i broszur: zgoła umysł wszechczynny, na stopę amerykańską. Urodził się w Massachusetts w r. 1787, zmarł w lutym bieżącego roku, mając lat 91, a więc podobno najstarszy z angielskich poetów współczesnych. On to pierwszy wprowadził do nowego świata protoromantyków Matki ojczyzny. Jego poemat *Korsarz* (The Buccanier) jest utworem na nowoczesną stopę romantycznym, ze sprężyną cudowności.

W spokojnych odmierzonych rysach maluje tu poeta wysepkę, ciągnącą się wzdłuż pobrzeża. „Fale morskie z szumem rozbijają się o widły nadbrzeżnej skały; w chwilach ciszy morskiej, kiedy ukołysana nią fala cofa się na głębię, jakby drzemką rozmarzona, wtedy czarny ptak, z czerwonymi pręgi zasiada nad skrajem wodnej otchłani. Jakież to urok rozstania się w przestworzu.

Jakiżto spokój! ugłaskaną zgrają,  
 Przed chwilą wzdęte fale odbiegają.  
 Tam gdzie po smugu zielonym ostrowiu,  
 Rzeźwy strumyczek szumi wskrós sitowiu.  
 Pod baldachimem drzewin, marzytelne,  
 Zacisze dzwony wzruszają kościelne.  
 Na granitowe pogranicza wody  
 Pnąc się ochocze odzywają trzody.

„Niegdyś, a dawno już dni owe minęły, inne odzywały się dźwięki na ryfie pomorza. Niebyło tam ani jęku dzwonów, ani nawoływań stada; lecz przeraźliwy szum zbójckiego okrętu i gwar dzikiego tryumfu, na brzegu gęstym pokotem walały się trupy tych, których haniebnie zamordowano.”

Następuje jaskrawy obraz życia i przygód korsarza Lee. Zbójca ten podczas morderczej wojny domowej, pustoszącej Hiszpanią, w ciągu swoich krwawych wycieczek, nawiedził jej wybrzeże. Piękna, bogata hiszpanka, której oblubieniec legł na polu bitwy bratobójczej, zrospaczona po tej stracie, zamyślała opuścić ojczyznę i popłynąć do Nowego Łądu ze wszystkimi skarbami: nawet ulubiony jej rumak nie zostaje zapomnianym. Poznawszy się wypadkiem z Leem, który pochlebnym układem i mową umiał wzbudzić jej zaufanie, dziewica przyjmuje jego opiekę nad sobą i puszcza się w drogę z orszakem służby. Skoro okręt wpłynął na pełne morze, wiarołomny opiekun uknuwa zamiar zamordowania dziewicy wraz z jej służbą. Złowrogie dla dziewicy losy zsyłają Leemu sprzymierzeńca; zrywa się burza morska, straszliwe, ulubione przez poetów tło zbrodniczych sytuacji, okręt z szalonym pędem rzuca się po piętrach bałwanów. Już orszak dziewicy uległ pod sztyletem, nieszczęśliwa oblubienica umarłego bohatera z pogromu wybiega na pokład okrętowy i nie widząc innej drogi ocalenia, rzuca się w morze. Tylko czeluść otchłani rozwarła się na mgnienie oka i zawarła się znowu i po dawnemu głucho szumią bałwany. Lee więc zwyciężył. Ale w serce jego nagle wpija się polip—sumienie. Obłąkanego okiem ogląda się on ku miejscu świeżej, podwodnej mogiły. Niewidomy a widomy obraz topielicy ściga jego wyobraźnią nieodstępnie. „Zaledwie słyszałem, mówił zbójca, zaledwie słyszałem plusk fal zamykających się nad nią, a oto teraz słyszę jej głos zpod przepaści: ona mnie woła.” I w rozpaczy wśród katuszy sumienia Lee wszystkie skarby, wszystkie sprzęty, przypominające mu zbrodnią, nawet ulubionego rumaka swojej ofiary wyrzuca w morze. Nierychło jednak zatonał rumak, długo trzyma się on na grzbiecie bałwanów: piekielnym błyskiem świecą jego oczy i wreszcie z przeraźliwem rzeniem zapada się do odmetu.” Taki jest koniec dramatu w rzeczywistości; teraz następuje działanie sprężyn nadrzeczywistych, maszyny romantyczuje:

„Lee z orszakiem korsarskim przypląwa do wyspy, którą poeta opisał był na wstępie. Tam rozpoczyna się na nowo życie jego dawne,

życie rozkoszy, zgiełku, rozpusty. Ale zgiełk orgii nie zdoła zagłuszyć jęku, wykradającego się z dalekiej kędyś przepaści morskiej, ani zamącić obrazu widma z jej głębi wystawającego. O każdej północy jakiś gwałt czaru, niby ślépie bazyliszka, pociąga go na wybrzeża. Tam o północy oblany falami ognia, wynurza się z przepaści rumak widmo. Kiedy Lee poraz trzeci wybiegł na wybrzeże, to oprzeć już się nie może téj szalonej żądzy, aby dosiąść rumaka. Dosiada—i rumak unosi go po falowym gościńcu na bezmiarze oceanu. Mrok dookoła, szumią bałwany: któż ocali zbrodniarza? „Mężu przeklęty, niech Bóg, ojciec miłosierdzia nad tobą zażyje!”

Zakończenie poematu jest wspaniałe.

Ryszard Dana szczególnież zamiłowanym jest w opisach natury. Jak powieści tak i malowidła jego otchnione są jakowś tęsknotą; ale łagodną, przeczenie nie zdążyło jeszcze zapuścić iskry w tę stuletnią duszę. Dan urodził się jeszcze przed nastaniem podobnej atmosfery, a zresztą był Amerykaninem. Nie jeden z jego utworów tak lirycznych jak i opowiadających, a przedewszystkiem *Korsarz*, zasługują na to, aby je przełożyć.

Za Ryszardem Dana występuje, jako już krańcowy stronnik romantyzmu: Edgar Allan Poe, którego utwory po raz pierwszy ukazały się w r. 1853 a następnie 1856 p. t. *Dzieła poetyczne E. A. Poe*, Amerykanina. Poe wyszedł na świat piśmienniczy pod egidą R. Dana, a nawet w r. 1857 utwory poetyczne obydwu wydaniami zostały w jednym ogólnym tomie. Mistycyzmu i wyidealizowania dalej już posunąć nie można nad ten stopień natężenia, jaki widzimy u Poéa. Posępny, jak Bajron, jak samo pasmo życia na które po części sam nagromadzał chmury, ale posępność tę łagodzący uśmiechem miłości Shelley'a, Poe odczuł na sobie najgłębiej dotknięcie owego prądu, który w Anglii i na stałym lądzie odwrócił w swoim czasie poezyą na nowe kierunki. Życie jego przypadło na owe czasy, kiedy romantyzm angielski był już faktem sformowanym (ur. 1811, † 1849). Główne dźwignie przewrotu, tak w Niemczech jak i Anglii już zeszyły ze sceny, ale ciągłość kierunku trwała obiektywnie, ułożywszy się poniekąd do temperatury ogólnej. Poe jednak nie zrobił najmniejszego ustępstwa. Od utworów pierwszjej jego młodości (Al Aarafa, Tamerlan), aż do ostatniego wiersza lirycznego, wszystkie trzymają jeden i ten sam ton elegijny. Najpiękniejszym bez wątpienia jest tajemniczy jego *Kruk*, widocznie napisany pod wpływem pieśni pod taką nazwą, utworzonej przez Dana. Drugie miejsce przeznaczylibyśmy jego *Lenorze*, gdyby nie nadzwyczajne jej podobieństwo do znanéj ballady niemieckiej; czem podbija Poe słuchacza, to nie podobną prawie do oddania harmonią rymu i rytmu. W wierszu p. t. *Śpiąca (the Sleeper)* poeta złożył wszystkie rysy, figury i ornamenta porządku romantycznego. Jestto łaża nad oblubienicą śpiącą, snem wiecznym. Poe przedziwnie poustawił tu fizyczne obrazy śmiertelności, obok najidealniejszych sprężyn, podtrzymujących dogmat o wiekuistém trwaniu ducha poza śmiercią.



Nic piękniejszego i rzewniejszego jak zespolenie „tego okienka w komnacie dziewicy, otwartego wśród nocy; z mistycznym księżycem letnim, który ze swojej złotej czary wydycha kroplą po kropli senne, niemo-melodyjne światła na padół wszechświata. O! jasna dziewico, mówi nasz żałośnik, nie lękasz się więc już duchów ponocnych i cieni widmowych?... Śpi moja ukochana, o! bodajby jej sen, jak jest wieczny, tak był głębokim.”

Mniej powiodła się poecie, próbka dramatyczna: *Scena z poliszynana*. Prawda, że jestto utwór pierwszej młodości.

Wzmiankę naszą o E. Poe zamykamy podaniem dwu jego obrazów lirycznych, zupełnie różnych od siebie nastrojem.

### Robak - Zwycięzca.

„Patrz, oto noc godowa w pośrodku lat samotnych! Uskrzydłone aniołów zastępy, udrapowane w osłony, tonąc we łzach, zasiadły widownią i przyglądają się wśród teatru dramatowi walk nadziei i trwogi, a tu w chwilach paroksyzmu orkiestra jękami zagrywa muzykę sfer. W postaci bogów, tam na wysokości, szemrzą i gwarzą mimicy, przetwarzając tu i owdzie—jasełka te marnie! bezkształtowe, co chwila przetwarzają scenę, z pod gryfich piór swoich wytrząsając niewidzialne cierpienia. Dramat chaosu! o wierzaj, że on zapomnianym nie będzie; nie będzie zapomnianym wraz z widmem swoim odpędzonym na zawsze przez tłuszcze, która go ująć nie może...”

Ale spójrz na ten mimiczny gościniec: pełznący jakiś kształcik się wcisnął, krwawo-czerwony, i pełza z pod samotności. Pełza, pełza, a scena mimiczna z mąk śmiertelników pokarm dla siebie wysysa, szpony robacze krwią się ubroczyły, nad którą płaczą aniołowie.

Precz światła! usunięto światła i wszystko usunięto; na każdy z drgających kształtów z hukiem grzmotów opada zasłona, całun porzebowy.

Pobladli aniołowie, powstają z miejsc swoich; osunęli z siebie opony i rzekli: „widowisko to jest tragedją: Człowiek, a jej bohaterem: *Robak Zwycięzca*.”

### Eldorado.

Świetnie przystrojony, powabny rycerz już był długo podróżował, przyspiewując sobie piosenkę, w wędrowce na odszukanie Eldorado.

O! i zestarzał się dumny rycerz, a cień padł na jego serce ze smutku, że znaleźć nie może na ziemi miejsca podobnego na kraj Eldorado.

I kiedy go wreszcie już siły opuszczają, spotyka cień pielgrzymi.

— Cieniu, zawołał, kędy być może kraj Eldorado?

— Idź na góry księżycy, cień mu odrzeknie; idź na dolinę mroku, jeśli szukasz Eldorado.”

Prawdziwym mężem przejścia, jest Samuel Taylor Coleridge (1772—1834), na nimto bowiem rozpoczął się ów ferment, do które-

go, jak mówiliśmy już niegdyś, (w części I) Biskup Percy podał był pierwiastek historyczny, a Thomson nowe tory poglądu na naturę.

Literacki charakter Coleridge'a, mówi Thomas Shaw, podobnym jest do jakiegoś obszernego, ale niedobudowanego pałacu; wszystkim tam jest gigantyczne, piękne i bogate, ale nic nie jest tam spójnym, nie jednolitem. Prawda—przestawiamy jednak porządek epitetów: nie ma tam spójni, jednolitości, dokończenia,—ale jest piękność, bogactwo i ramy gigantyczne. Coleridge przytém nie tylko był poetą—ale i etykiem, psychologiem, estetykiem, dysputatorem. Mniej szczególnie na polu dramatycznym, Coleridge był myślicielem wielkiego rozgłosu i wpływu w dziedzinie teorii scenicznej.

Jeżeli Anglia niezasypiała nigdy w hołdzie swym ku Szekspierowi, tedy Coleridge pierwszy uprawdlił ten kult i osadził go na podstawach filozoficznych. Co się tyczy jego poezyi powieściowych *Christabel*, *Stary żeglarz*, *Kubla Kan* i lirycznych: *Liście sybilńskie* *Przeznaczenia narodów*, *Trwoga w samotności*, *Oda do Francji*, *Sonet*, *Hymny*, stoją one bezwarunkowo na wysokości pierwszorzędných. Pomimo żywo jeszcze bijącego w nich tętna „starych dobrych czasów” po lekkim otrząśnięciu rdzy wyglądają zupełnie na obrazy dzisiejszego ducha, choć krojem odmienne, tak samo jak pieśni i poemata Woronicza, z którym ma równe zasługi w poetycznym wyrobieniu języka. Wprawdzie w tym ostatnim względzie polegać nam przychodzi na zdaniu krytyków angielskich; ale to, co nazywamy pierwszym wcieleniem myśli, pierwsza poetyczna tkanka ostanijająca ideał, to jest przystępnem i dla nas. W przekonaniach swoich, jako myśliciel i poeta, Coleridge ulegał pewnym fluktuacyom, rozpoczynawszy ten podwójny zawód od gorączkowego nastroju, zmienił się następnie, ale nigdy do tego stopnia niezasłużył na docinki Bajrona, jak Southey lub Wordsworth, którego wiersze przytaczając, Bajron wołał w niebogłosy „to jego! na Boga, czytelniku, nie posądźaj mię, aby to moje były wiersze.”

Dla nas, utwory Coleridge'a, a szczególnie jego pieśni, mają ten narodowo-osobisty urok, że tchną gorącą życzliwością ku naszemu społeczeństwu. Załujemy, że czas niepozwała nam usprawiedliwić tego zdania faktami obszerniejszemi.

Coleridge, Keats i Bajron są to trzy najdroższe pod tym względem imiona.

Z obszerniejszych utworów powieściowych Coleridge'a wspomnieć wypada o poemacie p. n.: *Wiersz o starym żeglarzu* (the Rime of the ancient Mariner). Jakkolwiek nie ten utwór powinien był zjednać rozgłos dojrzewającemu talentowi wieszczca (a przecież tak się stało), jednakże jako w szczególny sposób charakteryzująca mistycznego ducha szkołę, powieść o żeglarzu pominiętą być nie może. Coleridge Southey, a jak poprzednio widzieliśmy, i Shelley prześcigają się na uidealizowanie widnokregu, i roznoszą po świecie piśmiennictwa,

ów zwrot, który kiedyś doprowadzić miał do odwetu, w szkole naturalizmu.

„Stary żeglarz po tysiącznych przygodach podróży swojej, spotyka trzech młodzieńców zaproszonych na ucztę weselną i jednego z nich zatrzymuje. Urok jaki oczy starca wywierają na godownika, tak był czarodziejski, że zmusił go do zapomnienia o zaprosinach. Starzec opowiada swoją żeglugę, której szczegóły widocznie graniczą z cudownością. Opowiadanie zachwyca młodzieńca, więzi jego wyobraźnią, przykuwa niemal do głazu na którym usiadł dla słuchania powieści, chociaż drzwi narzeczonej już stoją otworem i muzyka weselna słyszeć się daje. Drużba bije się w pierwi z niecierpliwości, a przecież od słuchania oderwać się nie może. Starzec opisuje burzę, która zapędziła jego okręt ku biegunowi południowemu, w krainę śniegu i dźwięków straszliwych.

„Wśród bezładnego przestworza panowała tam martwość. Wreszcie przez mgłę nadlatuje albatros, ptak szczęśliwej wróżby, siada na sterze, a potem wciąż nadlatując, prowadzi okręt w kierunku powrotnym, ku północy.

— „Stary żeglarzu—zapytuje drużba zdziwiony nagłym sposobem powieściarza—dlaczego tak dziko spojierasz?” „Ach!—odpowiéd starzec—ja swoją kuszą zastrzeliłem albatrosa!” W odwecie za zbrodnię następują tysiączne klęski, w których obraz poeta wplótł cały przyrząd romantyczny o duchach, o widmach morskich, ukazanie się kobiety, widma i jej towarzysza, zgonu, grających z sobą w kości. Tymczasem brak wśród żeglugi wody słodkiej dręczy a następnie zabija całą osadę wyjąwszy opowiadacza, który zostaje zaczarowanym: ale, duchy polarne, demony i niewidzialni mieszkańcy żywiołów ulitowały się nad nimi za cenę ciężkiej pokuty i t. d.

Powieść ta, jak widzimy na wskroś fantastyczna, świeci mnóstwem piękności tak obrazowych jak i uczuciowych, które wprawdzie nie dosięgają tonu Shelley'a lub Bajrona, jednak mile, spokojnie wpadają w duszę czytelnika. Tak np. opisując pustkowie lasu nadmorskiego z którego wyszedł ku niemu pustelnik i tajemniczą siłą przyciągnął okręt, poeta mówi do słuchacza:

— „O! ślubny gościu, była to dusza samotna na rozległym przestworze oceanu; ale tak samotna, że zdawało się iż tam zaledwie sam Bóg tam być może 1).”

Jeżeli uwzględnimy tę okoliczność, że Coleridge o 27 lat życia wyprzedził Bajrona, a o 20 Shelleja, że w czasie opowiadań starego żeglarza (r. 1791) obaj przyszli koryfeusze romantyzmu byli dziećmi jeszcze, niepodobna nie przyznać Coleridge'owi, że był dla nich prawdziwym „szczeblem do grodu sławy.”

Ale pełnym morzem, na którym Coleridge jaśnieje bezwarunkowo, tak pod względem myśli jak i formy, jest poezya liryczna. Tu

1) Pięknie, acz w zmienionym kroju przełożył *Żeglarza* L. Syrokomla.

przedewszystkiem widzimy w nim owego przywódcę chóru, który inaugurował idealizm pieśni angielskiej i wypowiedział służbę ciężko-klasyycznym ruchom Popego i szkoły. Jeszcze tu wprawdzie niema kokonkowych subtelności utworey *Rokoszu Islamu*, nie ma demonicznych sprężyn *Don Juana*, albo anielskich, tęczowych rysów *Keats'a*, ale czujemy tu poważne kroczenie wielkiego poprzedziciela. Godnymi są uwagi wyrazy Burneta, które Coleridge wziął za godło do „powieści marynarza:

„Widzę, i głęboko, że więcej jest natur niewidzialnych aniżeli widzialnych we wszechświecie rzeczy, ale któż nam ich wszystkich rodzinę wypowiedział? kto wypowie szczegółowe ich stopnie, pokrewieństwa, różnice i łaski i dary? Co one działają? w jakich miejscach zamieszkują?

O osiągnięcie tych tajemnic zawsze się kusił umysł ludzki, ale nigdy ich nie dosięgnął. Tymczasem, miło jest (nie wypieram się tego nigdy), w duszy swojej, jakoby w malowidle, rozważać obraz większego i lepszego świata; a to dlatego, aby umysł zwyczajony w drobiazgi żywota codziennego, nie kurczył się zbyt, i nie osiadł cały w nędznych pomysłach. Jednakże czuwać należy nad prawdą i zachować miarę, abyśmy pewne od niepewnego, dzień od nocy odróżnić mogli.”

Oto mamy najcisłejsze określenie się samego poety: uznaje on tylko główne działy skali dyalektyki poetyckiej; poważnie przebiega on gammę *dyatoniczną*, pół-tonów i dyssonansów jeszcze nie uznaje; po nad przepaścią zwątpienia negacyi przechodzi on z wiarą, w świętym kwietyzmie słowa Bożego, z którym nie rozstaje się ani na chwilę. Najobszerniejszy z jego utworów lirycznych: *Przeznaczenie narodów, Widzenie* (The destiny of nations a Vision)” zaczyna się od gorącej odczwy: „Hold wróżebny! milczenie wszelkim pieśniom, pierwój niż głębokim przedśpiewem ozwie się struna, do Wielkiego Ojca, jedynie prawowitego Króla, Wiekuistego Rodzica, woli bezwzględnej, Boga, owęj wszechjedni, owego „*Jam jest*” i t. d.

W pieśniach swoich Coleridge jest prawdziwie mężem przejścia od Biblii do owęj doby jutrzennęj, którą tak cudownie wypowiedział w mowie filozoficznęj nasz Libelt.

Pod względem pojęć społecznych w Coleridge'u, również jak i w Wordsworthie (założycielu szkoły Jezior), odróżnić należy dwa okresy. Zagorzały wielbiciel ówczesnych wyobrażeń francuzkich, marzący o założeniu Rzeczypospolitej w północno-amerykańskiej Susquehanna, wyznawca tak zwanęj pantizokracji, nasz poeta w późniejszym wieku, pojednał się z myślą, o kościele anglikańskim i monarchią konstytucyjną.

Stosunki Francyi do reszty stałego ładu i Anglii, a przedewszystkiem „mąż ciężący nad wiekiem,” wywołały z jego duszy cały szereg natchnień lirycznych tój samęj barwy, choć nie tak jaskrawych, jak ody i tysiączne apostrofy Bajrona. I w tym względzie powiedzić można, iż duch jego przełamywał się współcześnie z przełamaniem społeczeń-

stwa francuzkiego. I tak: w dziele jego utworów lirycznych pod ogólną nazwą: *Liście sybillińskie* (*Sibylline Leaves*), mamy obszernie pienie p. t.: *Trwoga w samotności* (*Fears in solitude*), pisane w kwietniu 1798 r., podczas *alarmu* najścia nieprzyjaciół, nad które nic rzewniejszego, patryotycznego pomysłu nie można:

„Ach! mówi poeta, oszczędź nas jeszcze na chwilę, Ojczy i Boże! oszczędź nas jeszcze na chwilę; niech niewiasta angielska nie ucieka, mdlejąc pod brzemieniem niemowląt swoich—tych słodkich dzieciątek, coto wczoraj jeszcze uśmiechały się u jej piersi. O! Brytowie, o! bracia moi, gorzką wyrzekłem prawdę, ale bez goryczy <sup>1)</sup>.”

Szczególniej przemawiającemi są jego sonety: w jednym z nich do autora *Zbójców* upojenie liryczne dochodzi do szczytu natężenia. „O! Szyllerze, mówi wieszcz, umrzęćbym chciał w owej chwili, kiedy o strasznej północy, z mroku wieży odwiecznej, wybiegł głos przerażający... głos zgłodniałego ojca. Umrzęćbym chciał, aby kiedykolwiek w chwilach przyszłości nie spadła na mnie jaka myśl drobniejsza, poziona i nie napiętnowała mnie śmiertelnością. O! bardzo strasznego majestatu! o! gdybym cię widział w tym górnym nastroju, z okiem napół obłądnym, krocącego po głębi lasu wśród wycia nawałnicy!”

Niegodzi się nam, mówiąc o lirycznych utworach Coleridge'a, ominąć serdecznej piosenki *Do kwiatka w 1 dniu lutego* (1796 r.), przypominającej pierwiosnek Mickiewicza: „słodziuchny kwiateczku! co się wylągłeś na brunatnym korzonku, drżący z trwogi!—bo dziwnym zrządzeniem ten ponury śnieżno-szaty miesiąc mroku i szczękania zębów, pożyczył sobie głosu zefirów, a rozkosznym okiem błękitu spojrzął na ciebie. Biédny kwiateczku! niestety! są to tylko pochlebce umizgi wiarołomnego roku. Może oto, wyrwawszy się z tajników jaskini polarniej, w tej chwili jest w drodze zawieja północno-wschodnia. Kwiateczku na śmierć przeznaczony! z kimże mam cię porównać? czy z powabną dziewicą nazbyt szybko dorosłą, której wdzięki przedwczesne toczy robak zniszczenia? czy z bardem Bristolu <sup>2)</sup> dziecięciami cudu! z amarantem, do którego zaledwie ziemia przyznawać się zdała, aż przyszło odczarowanie i jednym zamachem wbiło go w ziemię? czy wśród gniewnej załości mam cię porównać z nadziejami narodu... tego jasnego kwiatka nadziei, zabitego w chwilach samej rozstony pączka? Żegnaj mi luby kwiateczku!”

Podobny duch wieje z niejednej pieśni Coleridge'a, jak czytelnik przeświadczy się np., z następującego wiersza (oznaczonego liczbą VII, bez napisu) <sup>3)</sup> o zgonie jednego z naszych bohaterów:

Słyszysz krzyki do nieba o krew wołające?  
Słyszysz, jak jękiem śmierci jęły dusz tysiące?

<sup>1)</sup> Coleridge napisał pierwszy akt dramatu p. t.: *Upadek Robespiera*, Southey zaś dodał 2 i 3.

<sup>2)</sup> Chatterton poeta zinarły w ośmiastym roku życia.

<sup>3)</sup> Pierwotny tytuł sonetów w r. 1797 był *Effusion* (*wynurzenia*).

Niestety! z rąk najemczych błysnął nóż dwusieczny,  
 Błysnął... i trupem pada hetman wszechwaleczny.  
 A teraz... to okrzyki zwycięzców; wybuchły,  
 Wrą do przesilku—cisza, tylko dźwięk przygłuchły  
 Pod śniadym zmierzchu płaszczem płynie, po zawiei  
 Bije dzwon pogrzebowy zabitej nadziei.  
 A swoboda? wybladła, z rozpaczą w źrenicy,  
 Pochyla się na mary umarłej siostrzycy!  
 Jak ów duch opiekuńczy, co zbierał przed wieki,  
 Do mistycznej łzawnicy każdą łzę z powieki;  
 Bo łza miała gotowe łóżysko dla siebie  
 W każdym licu, co tęskni po ojczystej glebie.  
 Patrz... siostra chwyta czarę, wychyliła całą,  
 Ale w duszy, ach! w duszy jej co się tam działo!

W zakończeniu poglądów naszych na Coleridge'a, podajemy jeden z jego utworów wysokiej charakterystyczności; czytelnik znajdzie tu sposobność do porównania naszego poety z Bajronem, który podobną a raczej pokrewną treść wybrał w swojej tragedji *Kaim*.

#### Tułactwo Kaima.

„Jeszcze dalej, o! mój ojcze, maluczko dalej jeszcze, a wyjdziemy na pełnię światłości miesiąca.” Droga ich szła przez las jodłowy; na pobrzeżach lasu drzewa od drzewa stały opodal, przestroną była ścieżka, na ścieżce spoczywał blask księżyca i cień księżyca i zaciszną się zdała owa puszcza do mieszkania; ale wkrótce ścieżka skręciła się w ciasnotę. Niekiedy z wyżyn południa przeglądało tam słońce, zasnuwane centkami, ale nigdy nie doświadcilo do jasności. Teraz pomrok tam ciemny, jak w jaskini.

— Ciemno, mój ojcze!—mówi Enoch—ale drożyna pod stopami naszymi jest miękka i łagodna i wnet wyjdziemy na pełnię światłości miesiąca.

— Prowadź dalej, dziecię moje—mówi Kaim—prowadź mój maluczki!

I maluczkie, niepokalane dziecię ujęło palec tej ręki, która zabiła prawego Abla i prowadzi ojca.

— Gałęzie jodły targają cię, mój synu.

— Tak, ale łagodnie, bo rąco biegnę i chciwie, abym ci przyniósł dzban i ciasto, a jeszcze ciało moje nie ochłodziło. Jakie szczęśliwe te wiewiórki, co się karmią na jodłach, skaczą z gałązki na gałązkę, a matka-wiewiórka igra w gnieździe naokoło młodych. Wczoraj, wspiąłem się na drzewo w południe, chciałem poigrać z niemi, ale uskoczyły z gałęzi na gałązki i wkrótce ujrzałem je na inném drzewie. Ojcze mój, czemużby ze mną zabawić się nie chciały? Czyliż nie byłbym dla nich tak dobrym, jak ty jesteś dla mnie? I jękułem do nich

tak właśnie, jak ty jęczysz do mnie, gdy podawałeś mi jadło i nakrywałeś mię wieczorem i przysiadłem na twoich kolanach, a oczy twoje spoglądały na mnie!

Przystanął Kaim, a tłumiąc jęki, upadł na ziemię: dziecię Enoch stało przy boku jego w pomroku.

Kaim wzniosł oczy i wykrzyknął z goryczą:

„Oto On, Mocarz, który mię ściga, jest tu po tój stronie i po tamtój stronie; jest wokół mnie całego, właśnie jako fala powietrza! O! bogdajbym już być przestał naostatek. Łaknę umrzeć; tak jest: patrz, oto twory, które nigdy życia nie miały, ani kroczyły po ziemi, drogiemi zdają się oku mojemu. Czemużto człowiek żyć nie może bez oddychania nozdrzyna? Wtedy mieszkałbym w ciemnościach i czarocie i w próżniach przestrzeni. Tak! dziecię, ułożyłbym się i nie powstał, anibym drgnął członkami memi, ażbym się stał jako skała w legowisku lwa, na której lwie pacholątko, śpiąc opiera głowę. Bowiem potok, szumiący woddali, wydaje głosy, a obłoki niebieskie patrzają mi w oczy straszliwie; On, Mocarz, który jest przeciwko mnie, odzywa się w wietrze gaju cedrowego, bo wpośród milczenia usycham.”

Wtedy Enoch rzeknął do ojca:

— Powstań, mój ojcze, powstań; bo nieopodal jesteśmy od miejsca, gdzie znalazł dzban i ciasto.

A Kaim odpowiada:

— Zkąd to wiiesz?

— Spójrz, ojcze, ku owój nagięj skale, na kilka kroków odległej od lasu; w chwili, kiedy podniosłeś głos, słyszałem echo.

Wtedy syn dotknął się ręki ojca, jak gdyby chciał go podnieść; lecz Kaim zwątpiał i mdły ukląkł na kolana i oparł się o pień jodły i wyprostowawszy się szedł za synem.

Ciemną była ścieżka i o trzy kroki przed końcem skręciła się nagle; gęste, czarne drzewa sklepiły się pod łukiem; światło miesiąca zdało się na chwilę, jakoby bramą blaskiem olśniewającą.

Enoch wybiegł wprzód i stanął na otwartym powietrzu, a kiedy ojciec wybrnął z gęstwiny, dziecię struchlało. Bowiem silne członki Kaima były, jakoby ogniem strawione, włosy jego zlepły jako kudły na czole żubra, pod niemi lśniło się dzikie, ponure oko; po obu stronach sute czarne kędziory spadały, niby zlepki ciasta, wygorzałe, zbroczone, iż się zdało, jakoby przygarść gorącej, żelaznej ręki wgniotła je przebiegiem i stargała; z obliczów męża przemawiała dziwna, przeraźliwa mowa męczarni, byłych, obecnych i przyszć mających—bez końca.

A wokół przestworza było pustkowie; jak oko zasięgnąć zdoła, było pustkowie; nagie skały czołami patrzyły ku sobie wzajem, zostawiając w pośrodku długie i szerokie smugi białego piasku. Ze skalnych rozpadlin nie wyglądały pory roku. Ani wiosny tam niéma, ani lata, ani jesieni; śnieg zimowy, co pocieszyłby oko, nie pruszył na te rozpalone skały i pozlepiane piaski; ranny skowronek nie ważył się nad pustkowiec, tylko wąż ogromny syknął nieraz pod szponami sępa,

a sęp wrzasnął, skrzydłami wszczępiony w kręgi gadziny. Ostre lub poszarpane szczyty skał przedrzeźniały migami dzieje ludzkie, niemo prorokując o rzeczach, które wówczas jeszcze nie były: o stepach, wieżach i okrętach z nagiemi masztami. Nieopodal od lasu była samotna skała w małym odstepie od głównego szczytu. Strąciło ją może ongi jęknięcie, jakie wydała ziemia, w chwili upadku praojca naszego. Tu Enoch znalazł był dzban i ciasto, tu prowadził ojca. Lecz zanim doszli do skały, ujrzeli tam postać człowieka; odwrócony był do nich grzbietem; zbliżyli się więc dostrzeżeni; a oto słyszą, jak bije się w piersi i krzyczy: „Biada mi, biada mi! już nigdy nie przyjdzie mi umrzeć powtórnie, a wszakże ginę z głodu i pragnienia.”

Pobladyt oblicza Kaima, jak odbicie błyskawicy, rozścielonej na ciężko żeglującej chmurze północy; lecz dziecię Enoch dotknęło się kudłatą skórą sukni ojca i patrząc mu w oczy, szeptuje:

— Ojczy, pierw nim przemówić umiały usta moje, pewny jestem, że ów głos ja słyszałem! Czym nie mówił nieraz, że głos ten słodkiuchny ja przypominam sobie. O! mój ojczy, jestto głos ten sam!

I zadrzał Kaim rozpaczliwie.

Wistocie głos to był wdzięczny, słodki, ale nikły, skarżący, jako głos niewolnika nędzą i chorobą złożonego, coto rozpacza, a odezwać się nie może od płaczu.... Czy widzicie... Enoch wymyka się naprzód i obiegłszy ukradkiem trzon skały, staje przed nieznajomym i w oczy mu zaziera.

Zachwiał się cień, uląkł się, odwrócił; Kaim zoczył go i zrozumiał, że to są członki i oblicze brata Abła, którego on zabił.

I stanął nieruchomo, jak mąż ów, co się szarpie i pasuje we śnie, dla niestychanej straszliwości sennego widzenia.

Gdy więc stał w milczeniu i pomroce duszy, cień rzuca mu się do nóg, obejmuje kolana jego i woła gorzkim wykrzykiem:

— O! pierworodku Adama, którego porodziła Ewa, matka moja, zaniechaj już udręczenia. Jam pasł trzody moje na zielonych pastwiskach spokojnego porzeczca, a ty mię zabiłeś i oto jestem w nędzy.

Kaim zamknął oczy i rękoma je zakrył; i znów otworzył oczy, rozejrzał się dokoła i mówi synowi:

— Co widzisz, Enochu? czy słyszysz głos jaki, mój synu?

— Tak, ojczy, widzę męża w niechludnej szacie, który wydaje głos pełny wyrzekania.

Tedy Kaim, pochylając się, podniósł cień ów, podobny Ablowi i wyrzekł:

— Stworzyciel ojca naszego, który uczuł był ciebie i twoje ofiary, dlaczegoż przepomniał o tobie!

A cień wykrzyknął ponownie, szarpnął odzież swoje, a obnażona jego skóra była, jako biały piasek pod ich stopami i wykrzyknął poraz trzeci, upadł twarzą na piasek, poczerniały od cieniów skały; Kaim i Enoch usiedli przy nim: dziecię po prawej stronie, Kaim po lewicy. I wszyscy trzej byli u trzonu skały, wpośród cieniów.



Tedy cień podobny Ablowi powstał i przemówił do dziecka:

— Ja wiem, gdzie są wody ochłodne, ale napić się nie mogę; dlaczego zabrałeś mój dzbanek?

Kaim znowu go zapytał:

— Czyż ty nie znalazłeś łaski przed obliczem Boga, Pana twojego?

A cień odpowiada:

— Pan jest Bogiem tylko żyjących: umarli mają innego Boga.

Wówczas dziecko-Enoch podniosło oczy i modliło się, a Kaim potajemnie uradował się w sercu.

— Nędznymi—zawołał cień— po wszystkie dni życia będą ci, którzy ofiarują godne i miłe ofiary Bogu umarłych, ale po śmierci ukonjonym będzie ich mózół. Biada mi, ponieważ umiłowany byłem od Boga żyjących, a ty, bracie, okrutnikiem byłeś, że wydarłeś mnie z Jego dziedziny i władztwa.

Wyrzekłszy to, powstał nagle i umknął na piaski, a Kaim mówi do serca swojego:

— Przekleństwo Pana zawisło nademną; ale kóżto jest Bóg umarłych?

Biegł więc za cieniem, ale cień krzyczał, uciekał po piaskach, a piaski, jak białe mgły, zrywały się za stopami Kaima, lecz stopy tego co był podobnym Ablowi nie poruszały piasków za sobą. I daleko ubiegłszy Kaim, zatrzymał się, skrzył i przybył pod skałę, kędy pierwej siedzieli.

Enoch stał tam jeszcze; dziecko uchwyciło za szatę przebiegającego Abla i upadł na ziemię.

Kaim przystanął, a nie widząc go mówi:

— Poszedł w gęszcz lasu.

Nawrócił więc z wolna ku skałom, a gdy doszedł tam, opowiedział mu Enoch o przejściu cienia, o pochyceniu go za szatę i upadku na ziemię.

Stanął więc Kaim powtórnie przy nim i mówił:

— Ablu, bracie mój, o! jakżebym pragnął płakać po tobie, ale w głębi mojej duch uwiął i spalił się w mękach. Dziś błagam ciebie, na łzody twoje, na pastwiska twoje, na spokojne porzeczka, które umiłowaleś, powiedz mi wszystko to, cokolwiek wiedzieć możesz: gdzie jest Bóg umarłych? gdzie ma przybytek swój? jakie ofiary są Mu przyjemne? bo ja ofiarowałem, ale ofiary mojej nie przyjęto; modliłem się, ale modlitwy mojej nie wysłuchano; więc mogę być jeszcze nieszczęśliwszy niż jestem?

Powstał cień i odrzekł:

— Obyś miał był tyle litości nademną, ile ja mieć będę nad tobą. Pójdź za mną, synu Adama i prowadź za sobą dziecko.

I poszli trzej po białych piaskach pomiędzy skałami, milczący jak cienie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Z DZIEDZINY PRZYRODOZNAWSTWA.

Nowe doświadczenia J. Lubbocka nad zwyczajami mrówek.—Czy budowanie gniazd jest instynktem u ptaków?—Obecność tlenu w słońcu.—Czy pierwiastki chemiczne są rzeczywiście pierwiastkami.—Źródła i użyci pirytów.—Metalurgia u starożytnych Rzymian.

Na posiedzeniu Towarzystwa imienia Linneusza, sir John Lubbock odczytał dwie rozprawy o mrówkach. Pierwszą z nich, w której zdawał sprawę z anatomii tych interesujących istot, pomijamy na tém miejscu, gdyż przedmiotu tego traktować bez rysunków nie można. Druga rozprawa obejmowała dalszy ciąg obserwacji znakomitego naturalisty angielskiego o zwyczajach mrówek, i o téj właśnie chcemy słów kilka powiedzieć, korzystając z artykułu, zamieszczonego w jedném z pism angielskich.

J. Lubbock odosobniał mrowiska za pomocą wody. Było to dosyć skuteczne, zwłaszcza w lecie, ale woda musiała być ciągle odnawiana.

Wogóle panuje przekonanie, że u mrówek tylko matki noszą jaja; naturalista angielski znalazł, że w większej liczbie obserwowanych przez niego mrowisk, zdolność tę posiadały mrówki robocze. Zdaje się jednak, że z tych jaj powstają samce. Co się tyczy pszczół, jak wiadomo, matka żywiona jest specjalnym rodzajem pokarmu. Nad mrówkami niemożna robić obserwacji, podobnych do tych, jakie, będąc dokonane na pszczolach, ustaliły fakt w mowie będący. Sprawdzonemu jednak zostało, że całe setki samców i roboczych mrówek wylęły się w obserwowanych przez niego mrowiskach, ale nie było ani jednej matki.

Że mrówki utrzymują inne gatunki tychże owadów w swoich mrowiskach, których używają za niewolników, albo też doją je tak, jak my doimy krowy, i t. d., fakta to zadobrze znane.

Lespes robił doświadczenia nad stosunkami, jakie zachodzą pomiędzy mrówkami oraz ich domownikami, z których możnaby wnosić, że nawet w granicach jednego gatunku pewne pokolenia są więcej rozwinięte, niż inne. Znalazł on, że niektóre okazy gatunku *Claviger Dupalii*, napotykanne zawsze u mrówek, przeniesione od gatunku *Lasius niger* do innego, który nie utrzymuje wcale tych domowników, były zawsze atakowane i pożerane. Z tego wnosi, że zdolność utrzymywania ich nie rozciąga się na cały gatunek, ale na pewne pokolenia i odmiany, które, że tak powiemy, są więcej cywilizowane, niż reszta reprezentantów tego gatunku. Wszakże sir John Lubbock przeniósł okazy *Platylarthus* z jednego mrowiska do drugiego, i były one

wszędzie przyjmowane przyjaźnie. Nawet udało mu się przenieść pewne okazy z mrowiska *Lasius flavus* do mrowiska *Formica fusca* z t $\acute{e}$ m samym powodzeniem.

Co si $\acute{e}$  tyczy długości żywota mrówek, sir John Lubbock ma obecnie dwie matki, należące do *Formica fusca*, które cieszą si $\acute{e}$  dobr $\acute{e}$ m zdrowiem i pozostają u niego od r. 1874; mają zat $\acute{e}$ m przynajmniej po 5 lat. Posiada równie $\acute{z}$  robocze mrówki: *Lasius niger*, *Formica sanguinea*, *Formica fusca* i *Formica cinerea*, które obserwuje od roku 1875.

W poprzedzających pracach swoich, naturalista ten podał r $\acute{o$ zne przykłady, które zdają si $\acute{e}$  wykazywać, że mrówki nie okazują t $\acute{e}$ j delikatności wzgl $\acute{e}$ dem swoich przyjaci $\acute{o$ t, jak zazwyczaj dotąd przyjmowano. Nie chcia $\acute{l}$  jednak, aby przypuszczano, że on kwestyonuje og $\acute{o$ lne zalety swoich faworytek. W sam $\acute{e}$ j rzeczy, mrówki tego samego mrowiska nigdy nie wszczynają z sob $\acute{a}$  kł $\acute{o$ t $\acute{n}$ i. Nie dostrzegł tego w ż $\acute{a}$ dn $\acute{e}$ m z obserwowanych mrowisk. W poprzednich pracach na t $\acute{e}$ m polu, sir J. Lubbock podał r $\acute{o$ zne przykłady nadzwyczajn $\acute{e}$ j ich czułości. W jedn $\acute{e}$ m z mrowisk *Formica fusca* znajdowała si $\acute{e}$  bi $\acute{e}$ dna mróweczka, która przysła $\acute{l}$ a na świat bez ro $\acute{z}$ k $\acute{o$ w (*antennae*). Nie spostrzegłszy poprzednio podobnego osobnika, obserwowa $\acute{l}$  z wielką ciekawości $\acute{a}$  t $\acute{e}$  mrówkę, która nigdy nie opuszczała mrowiska. Pewnego dnia ujrzał ją spacerując $\acute{a}$  w dziwn $\acute{e}$ m usposobieniu, widocznie niewiedząc $\acute{a}$ , gdzie si $\acute{e}$  znajdowała i nieznając $\acute{a}$  drogi. Po chwili mrówka ta spotkała kilka okaz $\acute{o$ w, należących do *Lasius flavus*, które natychmiast na ni $\acute{a}$  napadły. Sir J. Lubbock bezzw $\acute{o$ lecznie rozdzielił je, ale była widocznie mocno pokaleczoną i leżała na ziemi osłabiona i prawie bez życia. Po pewnym przeciągu czasu nadeszła inna *Formica fusca* z tego samego mrowiska, obejrzała starannie bi $\acute{e}$ d $\acute{n}$ ą pacjentkę, podjęła ją delikatnie z ziemi i zani $\acute{o$ sta do mrowiska. Trudno bytoby, powiada Lubbock, temu, kto był świadkiem podobn $\acute{e}$ j sceny, odm $\acute{o$ wić t $\acute{e}$ j mrówce posiadania uczu $\acute{c}$  prawdziwie ludzkich.

Z doświadcze $\acute{n}$  Lubbocka wynika, że mrówki poznają wszystkie swoje towarzyski z tego samego mrowiska, ale trudno pojąć, w jaki spos $\acute{o$ b to ma miejsce. Mrowiska r $\acute{o$ zne bywają pod wzgl $\acute{e}$ dem wielkości: w niekt $\acute{o$ rych liczba mrówek dochodzi do 100,000 osobników, a czasami bywa ich i wi $\acute{e$ c $\acute{e}$ j. Ot $\acute{o$ ż zdaje si $\acute{e}$  rzeczą prawie niepodobną do uwierzenia, aby w podobnych przypadkach każda mrówka miała poznawać swoj $\acute{a}$  towarzyszkę z wejrzenia; równie $\acute{z}$  nie zdaje si $\acute{e}$  być rzeczą możliwą, aby wszystkie mrówki w każd $\acute{e}$ m mrowisku miały si $\acute{e}$  wyr $\acute{o$ żniać od mrówek tego samego gatunku z innych mrowisk jak $\acute{a}$ s szczególn $\acute{a}$  w $\acute{l}$ asciwośc $\acute{a}$ . Co si $\acute{e}$  tyczy pszcz $\acute{o$ ł, utrzymywano, że każdy r $\acute{o$ j ma sw $\acute{o}$ j znak, pewien sygnał, dla odr $\acute{o$ żniania si $\acute{e}$  od innego roju. Rzecz to jednak niewyjaśniona. Podług zdania naturalisty angielskiego, doświadczenia dokonywane nad pocz $\acute{z}$ warkami mogłyby rzucić pewne światło na ten przedmiot. Jakkolwiek mrówki każdego oddzielnego mrowiska, np. *Formica fusca*, s $\acute{a}$  wzgl $\acute{e}$ dem siebie śmiertelnymi

nieprzyjaciółkami, jeżeli jednak przeniesiemy liszki albo poczwarki do innego mrowiska, przyjmują je życzliwie i pielęgnują z taką starannością, jak gdyby rzeczywiście należały do tego samego mrowiska. Jakkolwiek płeć nie stanowi żadnej obrony w wojnach pomiędzy mrówkami, młode jednak mrówki bywają oszczędzane, zwłaszcza jeżeli należą do tego samego gatunku. Co większa, chociaż zwyczaje i usposobienia mrówek zmieniają się bardzo, jeżeli będą wyjęte ze swego mrowiska i trzymane oddzielnie, albo tylko po kilka razem, wszakże wśród takich okoliczności bardzo pielęgnują one każdą młodą mrówkę, powierzoną ich staraniu. Gdyby odróżnianie czyli rozpoznawanie było przez nie dokonywane za pomocą pewnego sygnału czyli znaku, to w takim razie, ponieważ trudno przypuszczać, aby liszki lub poczwarki były dosyć inteligentne i miały odróżniać te sygnały, a témbardziej pamiętać, poczwarki, któreby były oddane mrówkom z innego mrowiska, musiałyby mieć sygnał tego ostatniego mrowiska, a nie tego, z którego zostały wzięte. Otóż, gdyby poznawanie dokonywane było przez sygnał albo znak dawany rozkami, wtedy byłyby one życzliwie przyjmowane w mrowisku, z którego wzięte zostały ich żywicielki, ale nie w ich własnym.

Dlatego J. Lubbock wziął pewną liczbę poczwarek z obserwowanych przez niego mrowisk *Formica fusca* i *Lasius niger*, włożył je w szklaneczki, jedne z mrówkami z ich własnego mrowiska, inne z mrówkami tego samego gatunku wprawdzie, ale pochodzącymi z innego mrowiska. Rezultatem tego było, że trzydzieści dwie mrówki, należące do *Formica fusca* i *Lasius niger*, usunięte ze swego mrowiska w stanie poczwarek, będąc następnie w towarzystwie przyjaciół, przywrócone do swego własnego mrowiska, zostały tam życzliwie przyjęte. Jeszcze bardziej godnym uwagi jest to, że z dwudziestu dwu mrówek, należących do *Formica fusca* i usuniętych w stanie poczwarek, a które w towarzystwie mrówek powrócono do własnego mrowiska, dwadzieścia zostało przyjętych przyjaźnie. Pod względem jednej, J. Lubbock ma pewną wątpliwość; co się zaś tyczy drugiej, uległa ona skaleczeniu, wychodząc ze stanu poczwarki, i temto prawdopodobnie przypisać należy jój nieprzyjazne przyjęcie przez te mrówki. Z dwudziestu dwu mrówek, należących do *Lasius niger* i traktowanych w ten sam sposób, siedemnaście tylko było życzliwie przyjętych, 2 przypadki były wątpliwe, 3 zaś mrówki zostały zaatakowane. Z drugiej strony 15 mrówek, należących do tego samego gatunku, usuniętych w stanie poczwarek i pielęgnowanych przez mrówki różnego mrowiska, ale należące do tego samego gatunku, będąc następnie włożone do obcego mrowiska, zostały wszystkie zaatakowane przez mieszkańców tego mrowiska.

Rezultaty te można streścić w następujący sposób:

	Poczwarek wychowa- nych przez przyja- ciół i powróconych do swego mrowiska było:	Poczwarek wychow. przez mrówki obce	Włożonych do własnego mro- wiska.	Włożonych do obcego mrowi- ska.
Napadniętych . . .	0 . . . . .	7 . . . . .	15	
Przyjętych przyjaźnie .	33 . . . . .	37 . . . . .	0	

Sir John Lubbock zamierza prowadzić dalej doświadczenia w tym kierunku, ale i rezultaty przywiedzione wyżej są bardzo ciekawe: zdają się one wykazywać, że mrówki tego samego mrowiska nie rozpoznają się między sobą za pomocą pewnego sygnału. Z drugiej strony, jeżeli mrówki będą usunięte z mrowiska w stanie poczwarek, wychowywane przez mrówki obce, a następnie powrócone do mrowiska, niektóre przynajmniej z ich krewnych są zaniepokojone i w wielu razach wątpią o ich prawie do pokrewieństwa. Obce mrówki, wśród tych samych okoliczności, zostały natychmiast zaatakowane; mrówki te, przeciwnie, były w każdym przypadku, niekiedy jednak po zbadaniu, przyjaźnie przyjmowane przez większość całej kolonii.

Alfred Wallace, w przyczynku do historyi wyboru naturalnego, zamieścił rozprawę o filozofii gniazd ptasich, w której, rozbierając powszechnie przyjmowaną opinią, że ptaki budują sobie gniazda przez instykt, utrzymuje, iż stworzenia te, podobnie jak i ludzie w stanie pierwotnym, zajmują się budownictwem w skutek naśladowania. Zarzuci kto może, powiada Wallace, że ptaki nie uczą się budować gniazd podobnie jak człowiek, gdyż wszystkie ptaki tego samego gatunku budują zawsze ściśle takie samo gniazdo, nawet gdyby go nigdy nie widziały; i właśnie tylko instykt skłania je do tego. Nie ulega wątpliwości, że byłby to instykt, gdyby to było prawdą; żądam dowodów tego faktu. Punkt ten, tak ważny dla tej kwestyi, jest zawsze przyjmowany bez dowodu, a nawet pomimo dowodu, gdyż prawie wszystkie fakta temu przeczą. Ptaki, wylęgłe z jaja w klatkach, nie ścielą charakterystycznego gniazda, cechującego ich gatunek, nawet chociażby im były dostarczone właściwe materyały, a często wcale nie ścielą gniazda, gromadząc tylko bezładnie pewną ilość materyałów.

Beniamin Lowne wykonał niedawno z powodzeniem doświadczenie, które, podług Wallace'a, dotąd nigdy się nie udawało, i był niemało zdziwiony otrzymanemi rezultatami, pozostającemi w pewnej mierze w sprzeczności z wygószoną opinią.

Na wiosnę 1878 r., Lowne otrzymał parę gołębi (*Columba risoria*) zaledwie w pióra porośłych, które wylęgły się w zwykłym gołębniku, na gnieździe ze słomy, zbudowaném na podłodze. W czasie, kiedy je otrzymał, były tak młode, iż z niezgody, w jakiej z sobą pozostawały, przyszedł do wniosku, że były jednej płci. W skutek tej opinii, która w następstwie okazała się mylną, prosił osoby, od której otrzy-

mał tę parę gołębi, o darowanie mu jeszcze jednego młodego gołąbka, wylęgłego w ten sam sposób; i trzymał te trzy ptaki w drucianej klatce do wiosny 1879 r. Klatka była 3 stopy długą, 2 szeroką i miała wysokości 2 stopy. Okazało się w następstwie, że między gołębiami było 2 samice i jeden samiec. W końcu miesiąca lutego 1879 r. każda samica zniosła 2 jaja na wiązce siana, pomieszczonej w rogu klatki; nie było jednak w nich żadnego pociągu do budowania gniazda, jakkolwiek igrały z sianem, nosząc je w dziobach całymi godzinami. Samice naprzemian z samcem siedziały na jajach i we właściwym czasie wylęgło się troje piskląt. Jakkolwiek wiele ciekawych faktów zostało ujawnionych przy hodowaniu tych młodych ptaków, wszakże zaznaczyć należy, że jeden tylko z nich porósł w pióra, dwa inne zaś zdechły, w skutek zaniedbania ze strony rodziców, jak również i dlatego, że były słabsze i młodsze o kilka dni.

W połowie kwietnia, Lowne wypuścił te ptaki na otwarte powietrze do gołębnika, gdzie była wielka, licznymi odnogami opatrzona gałąź, mogąca służyć za grzędę. Lowne zaopatrzył je w klatkę, podobną do téj, w której się wylęgły; w jednym jój końcu pomieścił garść siana i wylęgłego gołąbka, w drugim zaś końcu pozostawił puste miejsce, w nadziei, że ptaki te będą budować gniazdo z siana lub słomy i dostarczył im potrzebnych do tego materyałów. Młody gołąbek w kilka dni nauczył się latać, powracając na noc do klatki, rodzice i przybrana matka, czyli raczej mamka (*fostermother*), jak powiada Lowne, żywili go nie budując wcale drugiego gniazda w klatce.

Po upływie tygodnia eksperymentator pomieścił ptaki w zagrodzie, opatrzonej kilkoma wielkimi gałęziami, na których gołębie usiadły, trzymając każdy po kawałku patyka w dziobie. Sądząc, że chcą budować gniazdo, Lowne zaopatrzył je w dostateczny zapas patyczków prostych, rozmaitej długości i grubości, bez bocznych gałązek. Po między temi patyczkami było kilka posiadających boczne gałązki, które natychmiast gołębie pochwyciły i zaniosły do miejsca wybranego przez nie na gniazdo, ale widocznie, jak powiada Lowne, niemiały żadnego pojęcia o użyciu patyczków. Napróżno starały się przyczepić je do ściany klatki, albo do jój dachu, a zwłaszcza do tego ostatniego; po pewnym czasie daremnych usiłowań, w ciągu którego trzymały patyczki, odrzucały je napowrót. Sądząc, że chcą zrobić fundamenta gniazda z gałązek, Lowne przyczepił kilka prętów, kładąc je w szpary gałęzi, którą, według jego zdania, gołębie wybrały do budowania przy niej gniazda, i wplótł kilka gałązek w taki sposób, aby dostarczyły im podstawę na oparcie patyczków. Ponieważ ptaki były bardzo łaskawe, przeto interwencya eksperymentatora ucie przestraszyła ich, i jak tylko skończył zamierzoną robotę, samiec nadleciał z wielką radością, a za nim obie samice, niosąc w dziobie po kawałku patyczka. Napróżno usiłując przyczepić patyczki w ciągu przeszło dwu godzin ponad swemi główkami, raz w jedném to znowu w drugiem miejscu, gołębie w końcu zarzuciły całą robotę.

Lowne spostrzegł, że wszystkie patyczki zakrzywione i gałęziste były zebrane z dna klatki i zaniesione na miejsce budowy i że gołębie brały niekiedy pozostałe proste patyczki, trzymały je jakiś czas w dziobach i następnie znowu rzucały. Wtedy przyszła mu myśl, że może proste patyczki są nieprzydatne i zebrał pewną liczbę zakrzywionych, z bocznymi gałązkami. Jak tylko to uczynił, ptaki niezwłocznie rozpoczęły znowu robotę i przerwały ją kiedy zabrakło *krzywych* patyczków, które gdy im zostały dostarczone, znowu brały się do pracy i tym sposobem po upływie trzech dni, powstało gniazdo ozdobione bukiętami suchych kwiatów i trzciny cukrowej (*saccharum officinale*), które Lowne rzucił im umyślnie, sądząc, że wyścielą nimi wnętrze gniazda. Nie uczyniły tego jednak, ale użyły ich, jak również pewnej ilości słomy, do otoczenia boków gniazda, aby je lepiej ukryć. Każda samica, niedługo potem, zniosła po dwa jaja w nowym gnieździe i zaczęła je wysiadywać naprzemian z samcem.

Z powyższych obserwacji Lowne wyprowadza następujące wnioski.

1) Gołębie te nie widziały nigdy drzewa, a przynajmniej nie siedziały na nim, a jednak wybrały do zbudowania gniazda miejsce, dziewięć stóp wzniesione nad powierzchnią ziemi. Nie widziały nigdy gałęzi i nie mogły mieć doświadczenia pod względem używania takich, które były zakrzywione, albo posiadały boczne odnogi, a jednak starannie wybierały takie, a nie inne. 2) Nie miały widocznie pojęcia o tém, jak układać patyczki, kiedy je wybrały, gdyż w stanie natury mają zwyczaj budować gniazdo na gałęziach ponad głowami; ale kiedy położono parę gałązek pod nimi, ukończyły gniazdo, które przypadek rozpoczął. 3) Poszły za zwyczajami gatunku, do którego należały, chociaż te zwyczaje nie były stosowane w praktyce w ciągu wielu pokoleń, a przynajmniej w ciągu więcej niż jednego pokolenia. 4) Warunki otaczające były takie, które dałyby im możność wychowania potomstwa w takiego samego rodzaju gnieździe, jak to, w którym same się wylęgły i w którym już wychowały jedno młode pisklą. W końcu ptaki te były bardzo łaskawe, tak, że gdyby nowe warunki mogły zmienić ich naturalne zwyczaje, to byłyby dla przypadków, w którym moglibyśmy się spodziewać modyfikacji, gdyż wszystkie okoliczności były na korzyść zmiany zwyczajów naturalnych.

„Nie wiem, powiada Lowne, jak objaśnić fakt, że te ptaki zbudowały gniazdo naturalne. Może się zbyt pośpieszyłem z wnioskiem, ale co do mnie, jestem przekonany, że mamy tu przykład tego co popolicie nazywa się instynktem. A przekonanie to jest tém ważniejsze, iż przed niespełna rokiem miałem odczyt dla robotników (w Working Men's College), w którym podtrzymywałem pogląd, że zwierzęta działają w podobnych przypadkach w zupełności na podstawie rozumu i doświadczenia...

Zjawisko to ma uderzające podobieństwo do powolnego powrotu pamięci. Nie ulega kwestyi, że dopóki ptaki pozostawały w przestrzeni stosunkowo ograniczonej, gdzie nie mogły używać swoich skrzydeł, ani

naturalnych gałęzi drzewnych do budowania gniazda, nie zbudowałyby nigdy charakterystycznego gniazda. Zdaniem mojem drzewo działało jako bodziec na ich instynkt, a otoczenie naturalne poruszyło je niejako i rozbudziło drzemiące w nich wrodzone władze... Brak gotowości w pewnych rzeczach, jaki te ptaki okazały z początku, nie może nas wcale dziwić, jeżeli zwrócimy uwagę na liczbę pokoleń, w ciągu której prawdopodobnie nie budowały naturalnego gniazda. W samej rzeczy prawdopodobnym jest, że w ciągu 50 lat lub więcej, jaja były znoszone przez ich praojców na podłodze klatki.

Ważność tych faktów, powiada pod koniec Lowne, nie może być nigdy zbyt wiele cenioną, gdyż mają one związek z teorią o pojęciach i zdolnościach narodowych. Z poprzedzającego doświadczenia wynika, że ptaki obdarzone są specjalnymi władzami, podobnie jak ludzie, rodzą się ze specjalną zdolnością do pewnych czynów umysłowych i fizycznych i że umysł jest obdarzony własnościami specjalnej natury i przynajmniej są one wielkiego znaczenia, gdyż są faktami, które nie powinny się zdarzać, według teorii, z każdym dniem coraz powszechniejszą cieszącą się wziętością."

Najważniejszym faktem astronomicznym w ciągu ostatnich kilku miesięcy, było ogłoszenie przez profesora Henryka Drapera szeregu spostrzeżeń, któremi stwierdził otrzymane w r. 1877 rezultaty co do obecności tlenu w słońcu. W tej materii uczony profesor czytał interesującą rozprawę na posiedzeniu Towarzystwa astronomicznego w Londynie (w połowie czerwca r. b.), ale szczegółów tej kwestyi dotyczących nie możemy tu przytaczać, gdyż te wychodzą poza zakres popularnego artykułu, ile że musimy obszerniej zastanowić się nad inną kwestyą, która, jakkolwiek z natury swojej nie nadaje się do popularnego wykładu, z tém wszystkiem jednak, ze względu na swoje nadzwyczajną doniosłość w zasadzie, nie może być zbywaną ogólnikami, a tém bardziej zupełnie pominiętą.

Obiecaliśmy czytelnikom podać treść badań N. Lockyera, który, wykonawszy cały szereg doświadczeń nad naturą pierwiastków chemicznych, roztrząsał w następstwie dowody, upoważniające w pewnym stopniu do wniosku, że tak zwane pierwiastki chemiczne są rzeczywiście ciałami złożonemi. Jeszcześmy nie dopełnili tego, a oto niektórzy badacze przyrody, a między innymi profesor W. Meyer, <sup>1)</sup> miał się podo-

<sup>1)</sup> W doświadczeniach tych, które prof. Wiktor Meyer w Zürichu prowadził ze swoim asystentem Karolem Meyerem, poddawane były działaniu wysokiej temperatury, następujące pierwiastki: tlen, azot, siarka, rtęć; ale ciała te nie doznały żadnej zmiany. Chlor, przeciwnie, przy tej temperaturze miał uleść zmianie, i z dwóch cząsteczek (molekuł) chloru powstało trzy. Nadmienić należy, że Scheele i Bertollet uważali chlor za ciało złożone; gdy jednak wszystkie środki rozłożenia go na części składowe, okazały się bezskuteczne, zgodnie z opinią chemików Gay Lussac'a i Davy'ego zaczęto go uważać za pierwiastek.



бно przekonać doświadczalnie, że chlor i jod nie są rzeczywiście pierwiastkami i pod działaniem wysokiej temperatury, przechodzącej +1500°C, rozkładają się na inne elementa.

Fakt rozkładu przez prof. Meyera chloru i jodu może zostać odwołany; taki sam los może spotkać suponowany rozkład innych, dotąd za pierwiastki uważanych ciał. Z tém wszystkiém jednak podniesiona kwestya, z natury samój zbyt zawita, zasługuje ze wszech miar na to, abyśmy jój poświęcili pewną część szczupłych ram, na nasze sprawozdania w *Bibliotece* przeznaczonych, i rozebrali teoretycznie, o ile rozwiązanie postawionój kwestyi jest możliwe i w jakim mianowicie kierunku.

Traktat, jaki w początku roku bieżącego odczytał Lockyer na posiedzeniu Towarzystwa Królewskiego w Londynie, stawia wiele interesujących zagadnień dla chemika, ale jednocześnie budzi w nim uczucie, graniczące z rozpaczą.—Mamyż—pyta Pattison Muir, w rozprawie swojój o tój ważnój kwestyi <sup>1)</sup>, a z którój podajemy niektóre szczegóły,—utrzymać naszą wiarę, że ciała proste, czyli tak zwane pierwiastki chemiczne, są w rzeczywistości tém, czém być powinny zgodnie ze swoją nazwą? Jeżeli w tym razie pozwolimy fizykowi odebrać nam te pierwiastki, to czy będziemy w stanie zabezpieczyć się od jego ataków i w innych razach?

Jakikolwiek będzie tego rezultat, rozważmy dobrze fakta, i postarajmy się, idąc za autorem, dojść do prawdziwego wniosku pod względem natury tak zwanych ciał prostych.

Wiadomo, że pierwiastki mogą być uszykowane w pewne familie, czyli grupy, pomiędzy członkami których można zauważyć liczne pokrewieństwa. Częstoż zdarza się, że liczby, wyrażające względne ilości różnych pierwiastków, będących członkami tój samój grupy, a które łączą się z sobą w związki chemiczne, wykazują niekiedy pewne pokrewieństwo pomiędzy sobą. Tak np. w familii halogenów czyli tak zwanych halogenów, waga związkowa bromu wyraża się liczbą, która jest prawie ściśle średnią między wagami związkowymi chloru i jodu. Rozumując o tego rodzaju faktach, Prout postawił przed wielą laty hipotezę, że wszystkie pierwiastki są związkami jednego rodzaju materyi, czyli innemi słowy, że bardzo małe cząstki każdego pierwiastku składają się ze zmiennych ilości jednój i tój samój pierwotnój formy materyi, którą, według przypuszczenia Prout'a, ma być wodór. Hipoteza ta, rzecz jasna, wymagała, aby wagi bardzo małych indywidualnych cząstek każdego pierwiastku, czyli elementu były wielokrotnością wagi bardzo małych indywidualnych cząstek wodoru, t. j. aby były proporcjonalne do wagi wodoru przyjętój za jedność. Ale ścisłe badania między innymi, i to głównie te,

<sup>1)</sup> *The Evolution of the Elements.* By M. M. Pattison Muir, M. A. London, 1879.

które prowadził Stas, wykazały, iż rzecz ta ma się inaczej. Ten ostatni otrzymał liczby ułamkowe, wyrażające wagi tych pierwiastków, które badał. Godnym jest jednak zaznaczenia, ciągnie dalej Muir, że najświeższe poszukiwania Dumas'a wykazały, iż Stas nie zwrócił uwagi na źródło błędu w swoich pod innym względem nadzwyczaj pracowitych i starannych doświadczeniach, i że liczba, która jest całkowitą i wielokrotną względem wagi wchodzącego w związek wodoru, otrzymaną została przez Dumasa jako waga jednego z tych wchodzących do związku pierwiastków, dla których Stas wyznaczył liczby ułamkowe. Można skreślić analogie pomiędzy własnościami grup pierwiastków, a własnościami substancji, które są z pewnością związkami dwóch oddzielnych pierwiastków w zmiennych proporcjach. Dalej wiadomo, że jeden i ten sam pierwiastek może istnieć pod formą zmian, które odróżniamy techniczną nazwą allotropowych, t. j. że pewna substancja, której nie jesteśmy w stanie rozłożyć na prostsze formy materji, może pomimo to wykazywać, przy pewnych zmiennych warunkach, rozmaite własności fizyczne, a do pewnego stopnia i chemiczne, jak np. fosfor i siarka, i stan taki nazywamy allotropizmem.

Tego rodzaju analogie, zdaniem autora rozprawy, którą posiłkujemy się w niniejszém sprawozdaniu, popierają do pewnego stopnia teorią, że tak zwane ciała proste czyli elementa są w rzeczywistości ciałami złożonemi <sup>1)</sup>. Ale tego rodzaju analogie, powiada autor, są niepewne i nieokreślone, jak utrzymują niektórzy. Cokolwiek bądź, *faktem* jest, że *możemy* rozłożyć te ciała, które nazywamy związkami, i że *nie możemy* rozłożyć tych ciał, które nazywamy pierwiastkami—Nikommu, powiadają z tryumfem prawowierni chemicy; nikomu dotąd nie udało się rozłożyć pierwiastek.—Czy jesteście tego pewni?—pyta autor rozprawy. Gdybyśmy kiedy mieli rozłożyć metal sod, nie jest wcale rzeczą pewną, czy moglibyśmy sprawdzić produktu tego rozkładu. Zwykłe warunki temperatury i ciśnienia byłyby zupełnie zmienione, gdyby nam się udało rozłożyć sod, a przy tych zmienionych warunkach napotkalibyśmy nie małą trudność, usiłując zaznaczyć fakt rozkładu. Moglibyśmy rozłożyć pierwiastki, a mimo to nie odkryć własnego naszego powodzenia, gdyż, jak słusznie powiada Muir, nowe zagadnienia wymagają nowych metod do swego rozwiązania, i każdy, przystępujący do tego zadania przy pomocy sposobów, jakimi posiłkujemy się zazwyczaj w laboratoryach, doznałby z pewnością zawodu na tém polu.

<sup>1)</sup> „Such analogies — powiada — give a certain degree of plausibility to the theory that the so-called elements are really non-elementary bodies. But such analogies, it may be urged, are shadowy and vague at the best. Twist it how you may, the *fact* remains that we *can* decompose those bodies which we call compounds and that we cannot decompose those bodies which we call elements.”

Znakomity badacz, N. Lockyer, przystąpił do rozwiązania tego zagadnienia, łącząc nowe szeregi doświadczeń z nową metodą obserwacji: obserwował zjawiska, jakie mają miejsce, kiedy pewne pierwiastki wystawione są na działanie natężonego ciepła przy pomocy jedyne go, może znanego obecnie narzędzia, które jest w stanie dostarczyć nam zadawalających rezultatów z tego rodzaju zjawisk, t. j. spektroskopu. Rozprawa, w której astronom angielski wypowiada swoje poglądy o naturze pierwiastków chemicznych, nosi tytuł: *Discussion of the working Hypothesis that the so-called Elements are Compound Bodies.* Autor zatem powstrzymuje się od wypowiedzenia opinii, że udało mu się rozłożyć pierwiastki.

Każde ciało złożone przedstawia charakterystyczne widmo. Widma ciał złożonych cechują się paskami i przestrzeniami prążkowanemi; z drugiej strony widma tak zwanych pierwiastków są stosunkowo od nich wolne i cechują się liniami.

Przy przepuszczaniu pary chlorku wapnia (calcium) przez płomień, którego temperatura jest niedostateczną do wywołania rozkładu chlorku, nie dostrzegamy wcale w widmie linii, cechujących metal wapień. W miarę wzrostu temperatury, ujawniają się linie wapnia, podczas gdy odpowiadające chlorkowi paski bledną (słabną) i w końcu znikają zupełnie. Zachowanie się chlorku wapnia przedstawia nam w ogóle typ zachowania się ciała złożonego, wystawionego na stopniowy wzrost temperatury.

Jeżeli pierwiastek A, o którym wiemy, że jest zmieszany ze stosunkowo małemi ilościami innego pierwiastku B, będzie ulatniany, widmo płomienia przedstawia charakterystyczne linie tego pierwiastku (A), który się znajduje w większej ilości, a nadto, linie domieszki czyli zanieczyszczenia (B); im większa będzie ilość pierwiastku B, tém więcej będą występować jego linie w widmie. Takim sposobem, przy pomocy spektroskopu, mogą być w części wyróżnione dwa przypadki, a mianowicie: ciało złożone, podlegające rozkładowi przy wzroście temperatury, oraz mieszanina dwóch pierwiastków.

Przypuśćmy, że substancja złożona ulatnia się w temperaturze, w której właśnie poczyna się rozkład, i że cztery linie ( $\alpha, \beta, \gamma, \delta$ ) pojawiają się w widmie; niech teraz temperatura wzrasta, to rozdział czyli dysocjacja postępuje, linia  $\delta$  znika,  $\gamma$  staje się cieńszą, podczas gdy  $\beta$  występuje wyraźniej. Przypuśćmy, że wzrost temperatury ma znowu miejsce, to proces podobny opisanemu wyżej odbywa się dalej, aż nakoniec tylko linia  $\alpha$  pozostaje sama. Przy odwrotnym procesie, t. j. kiedy temperatura przechodzi od wyższej do niższej, widmo stopniowo staje się więcéj złożone, dopóki nie dojdziemy do pierwotnego stanu. Wszakże zauważyć należy, że linia  $\alpha$ , która jest jedyną wydatną linią w wysokiej temperaturze, nie znika, ale staje się cieńszą i mniej wyraźną przy niskich temperaturach. Otóż jeżeli przypuśćmy, że substancja wyobrażająca pierwotne widmo ( $\alpha, \beta, \gamma, \delta$ ) jest tak zwanym pierwiastkiem, a dalej, jeżeli przypuśćmy, że ten pierwiastek

podlega rozkładowi w miarę wzrostu temperatury, będziemy mieli właśnie szereg widm, jaki tylko co opisaliśmy.

W przytoczonej wyżej rozprawie, Lockyer podaje dyagram pewnych linii w widmie wapnia, przy temperaturach zmieniających się od temperatury lampy Bunsena, do temperatury Syryusza, i to widmo uważa właśnie za takie, jakie spodziewalibyśmy się znaleźć, w przypuszczeniu, że pierwiastek uległ rozkładowi w wysokich temperaturach Słońca i Syryusza. Przez porównanie linii wapnia, jakie widzimy w widmach Syryusza,  $\alpha$  Orła, oraz Słońca, Lockyer znajduje, że ta linia, która jest najważniejszą ze wszystkich w widmie pierwszej z wymienionych gwiazd, stała się daleko mniej wyraźną w widmie drugiej, w której jednak nowa, szeroka, bardzo wyraźna linia, jakby nagle została powołaną do bytu. Charakterystyczną linię Syryusza, oraz linię  $\alpha$  Orła uważa Lockyer jako prawdopodobnie wykazującą obecność w pierwszej jednej, a w ostatniej innej z tych prostszych form materji, na którą, według jego teoryi, rozkłada się wapień (*calcium*) przy tych wysokich temperaturach. Podług tego metal wapień, taki jak go znamy, jest produktem stosunkowo niskiej temperatury. Jeżeli widmo wapnia, otrzymane w temperaturach łuku elektrycznego, wywoływane bywa rzeczywiście przez drgania prawdziwych atomów (a nie cząsteczek) tego metalu, to bardzo prawdopodobnie metal wapień dzieli się w atmosferze Syryusza i powstaje forma materji, zupełnie różna od wszystkiego, cokolwiek znanem nam jest na ziemi.

Ale powie kto może, że nawet w tych nadzwyczaj wysokich dla nas temperaturach cząsteczki wapnia nie ulegają rozkładowi, i że linia wapnia, tak wybitna w Syryuszu i innych gwiazdach, pochodzi prawdopodobnie z drgania atomów tego metalu, na które cząsteczki jego działa się przy wysokich temperaturach tych gwiazd. W samą rzecz Lockyer zaznaczył fakta <sup>1)</sup>, które nie są sprzeczne z tym poglądem. Otóż, jeżeli przyjmujemy tę teoryą, to rzecz jasna, powiada Muir, że odpowiedź na pytanie „czy tak zwane pierwiastki są ciałami pojedynczemi?” zależy będzie od znaczenia, jakie przyznaje się wyrazowi *pierwiastek*. Jeżeli słowo to, ciągnie dalej <sup>2)</sup>, ma oznaczać substancją, z której nie można otrzymać żadnej formy materji, przedstawiającej własności różne od własności form pierwotnych, to pierwiastki, według naszej teoryi, nie są ciałami pojedynczemi. Ale jeżeli pierwiastkowi dajemy ściślejsze znaczenie, określając go jako substancją, której cząsteczki składają się z dwu lub więcej podobnych atomów, wtedy pierwiastki, podług téj teoryi, są rzeczywiście ciałami pojedynczemi.

<sup>1)</sup> *Nature*, t. X, pag. 90.

<sup>2)</sup> „If this word be used to designate a substance from which no forms of matter exhibiting properties different from those of the original forms can be obtained, then the elements are, by our theory, not elementary. But if to *element* we give a more exact meaning, and define it as substance, the molecules of which are composed of two or more similar atoms, then the elements are, by this theory, true elementary.”

Takim sposobem spór dotyczący natury pierwiastków chemicznych obraca się głównie około znaczenia, jakie dajemy wyrazowi *pierwiastek*.

Jeżeli mamy uważać skutek bardzo wysokich temperatur na cząsteczki (molekuły) pierwiastków, jako polegający na rozkładzie tych cząsteczek na ich atomy, musimy podług Muira, być przygotowani do dostarczenia dowodu na poparcie następujących twierdzeń:

1. że własności, jakie mają atomy ciał prostych, są wybitnie różne od własności, jakie posiadają cząsteczki (molekuły) tychże ciał;
2. że cząsteczki pierwiastków mogą pozostawać nierozdzielone na swe składowe atomy nawet przy bardzo wysokich temperaturach, czyli innymi słowy, że cząsteczki są to bardzo stałe systemy; ale
3. że te cząsteczki dają się rozłożyć, czyli są rozkładalne (*decomposable*); i
4. że zmiany w wagach cząsteczkowych mogą mieć miejsce pomiędzy pierwiastkami albo ciałami złożonymi, które to zmiany są w związku ze znacznymi zmianami własności tych pierwiastków lub ciał złożonych.

Zdaniem Muira, chemicy przez wiele lat posiadali dowód na poparcie twierdzenia, że, *w pewnym znaczeniu*, pierwiastki są rzeczywiste ciałami złożonymi. Według definicyi, cząsteczka jestto najmniejsza część substancyi, przedstawiająca własności, cechujące tę substancję; jeżeli cząsteczka zostanie rozdzieloną, powstaje substancja (albo substancje) posiadająca nowe własności. Mamy wyraźny dowód na poparcie twierdzenia, że kiedy dwa pierwiastki gazowe, np. chlor i wodor, łączą się między sobą, połączenie następuje między atomami tych pierwiastków, które to atomy najprzód przed innymi uwolnione zostają ze stanu wzajemnego połączenia, w jakim istniały w cząsteczkach pierwiastków. Akt łączenia się poprzedzany bywa przez akt rozkładu. Produkt połączenia nazywamy związkiem, gdyż jego cząsteczka składa się z różnych atomów: nazywamy ciała, które uległy rozkładowi, pierwiastkami, gdyż ich cząsteczki składają się z atomów podobnych. Ale nie jesteśmy w stanie odosobnić i zbadać te atomy, z których składają się cząsteczki ciał prostych czyli pierwiastków (*elementary molecules*). Utrzymujemy, że w chwili uwolnienia ze związku pewnego pierwiastku, pierwiastek ten istnieje w stanie atomowym; wiemy, że w chwili swego wywiązania, wiele pierwiastków gazowych jest w stanie wykonywać działania, których nie mogą wykonać przy warunkach zwyczajnych.

W utworzeniu wodoru z wody działaniem prądu elektrycznego, możnaby powiedzieć, trzy oddzielne zmiany chemiczne mają miejsce: rozkład cząsteczek wody z utworzeniem atomów wodoru i tlenu; łączenie się atomów wodoru z utworzeniem tego, co jest znane nam jako wodór; i łączenie się atomów tlenu. W drugiej i trzeciej zmianie produktu każdej zmiany usunięte zostają ze sfery działania; zmiana następuje z wielką szybkością. Nie możemy powstrzymać tego szeregu zmian ale wiemy, że wprowadzenie pewnych substancyj niekiedy wystarcza do przeszkodzenia drugiej albo trzeciej zmianie; i w miejsce

tego następuje nowa zmiana chemiczna, pochodząca z działania rozdzielonych atomów wodoru albo tlenu na nowo wprowadzoną substancję. Otóż nazywamy atomy dwu pierwiastków, które łącząc się z sobą, tworzą wodę, atomami wodoru i tlenu; i w pewnym znaczeniu jestto logicznem. Atomy te, łącząc się z sobą razem, tworzą odpowiednio wodór i tlen; są zatem atomami wodoru i tlenu. Ale powiada Muir, bardzo niewiele wiemy o dokładnej naturze tych atomów *samych przez się (per se)*; wszystko co wiemy, prowadzi nieomylnie do wniosku, że własności tych atomów są bardzo różne od własności, cechujących ciała znane nam jako wodór i tlen. I sądzę, ciągnie dalej, iż nie powiemy zawiele, utrzymując, że cała budowa nowoczesnej teorii chemicznej spoczywa na hipotezie, nie możemyż powiedzieć na fakcie? że własności atomów pierwiastków (*elementary atoms*) są wybitnie różne od własności cząsteczek pierwiastków (*elementary molecules*). Ale jednocześnie fakta nie pozwalają nam uważać cząsteczek pierwiastków za złożone z atomów dwu lub więcej rodzajów materii; innemi słowy, wszystkie atomy wodoru posiadają niezawodnie te same własności. Cząsteczka wodoru może być uważana jako  $A + A$ , a nie jako  $A + B$ ; znamy własności ciała  $A + A$ , znamy również własności wielu innych ciał, w skład których wchodzi  $A$  (np.  $A + B$ ,  $A + D$ ,  $A + E$  i t. d.); ale bardzo niewiele wiemy o własnościach  $A$ , albo  $B$ , albo  $C$  i t. d., jako odrębnych od własności związków tych ciał. Wprawdzie możemy nakreślić zmiany we własnościach związku, w skutek wejścia  $A$ , albo  $B$ , albo  $C$  do tego związku; ale nie jesteśmy w stanie odosobnić  $A$ , albo  $B$ , albo  $C$ , i badać ich własności w stanie wolnym.

Rozkład cząsteczki pierwiastków na jej składowe atomy byłby zatem zjawiskiem niezupełnie podobnym do rozkładu cząsteczki złożonej na jej składniki.

Aż do ostatnich lat poprzestawaliśmy na rozstrzyganiu kwestyi rozkładu danej substancyi w pewnej reakcyi przez badanie przypuszczalnych produktów rozkładu z pomocą zwykłych prób fizycznych lub chemicznych. Chemiczy nie znajdują trudności w odróżnieniu sodu od sody, żelaza od rdzy żelaznej, rtęci od jej związku z tlenem i t. d. Obecnie dowiadujemy się, że skrupulatniejsze badanie musi być przeprowadzone, nim odpowie się na pytanie: „Czy pierwiastki same zdolne są rozkładać się?”

Jeżeli nasze pierwiastki nie są pierwiastkami, w każdym razie są więcej stałymi, i w pewnym znaczeniu ściślej określonymi jednostkami chemicznymi, niż nasze związki.

Nauki przyrodnicze dostarczają dowodu na poparcie wypowiedzianego wyżej twierdzenia, że cząsteczki są to bardzo stałe systemy, ale że pomimo to są rozkładalne. Fizyka i chemia popierają ten pogląd. Nie chcemy zatrzymywać się nad tą kwestyą i nie przytaczamy przykładów.

Co się tyczy wypowiedzianego z kolei twierdzenia, że zmiany w wagach cząsteczkowych mogą zachodzić pomiędzy pierwiastkami albo

ciałami złożonymi, które to zmiany pozostają w związku ze zmianami własności tych pierwiastków lub ciał złożonych, kwestya ta wymaga bliższego objaśnienia. Znane są fakta, które trudno byłoby nam objaśnić, gdyby powyższe twierdzenie nie było prawdziwem. Najnowsze dzieło dr. Schuster o widmach tlenu skłania do uważania istnienia zmiennych grupowań się cząsteczek tego pierwiastku za bardzo prawdopodobne, i dąży do zdyskredytowania téj myśli, że wzajemne spotykanie się drgań tych samych cząsteczek może być prawdziwą przyczyną zupełnie odmiennych widm tlenu, jakie obserwował Schuster. Niektóre z tych zmian, zauważonych w widmie tlenu przez d-ra Schuster, zdają się jedynie znajdować wyjaśnienie w hipotezie, że oddzielne grupowanie się cząsteczek tego pierwiastku ma miejsce nawet w wysokich temperaturach.

Przejdźmy w dziedzinę chemii dla poparcia powyższego twierdzenia. Jak wiadomo, tlen i ozon są to formy jednego i tego samego pierwiastku. Wybitne różnice w zachowaniu się tych ciał przypisać należy temu, że cząsteczka tego ostatniego zawiera o połowę więcej atomów, niż cząsteczka pierwszego. Wagi cząsteczek tlenu i ozonu mają się do siebie w stosunku jak 2 do 3; cząsteczki ich składają się z podobnych atomów, a pomimo to własności tych cząsteczek nie są wcale jednakowe. Również waga cząsteczek pary siarki w temperaturach, cokolwiek wyższych nad punkt wrzenia téj substancyi, jest trzy razy tak wielką, jak waga cząsteczek tego samego pierwiastku w znacznie wyższych temperaturach. Nie wiele wiemy o własnościach cząsteczek siarki, w obu tych temperaturach; ale z bardzo wybitnych różnic we własnościach téj substancyi w stanie stałym, zdaje się być prawdopodobnym, że siarka w stanie stałym, podobnie jak i siarka w stanie gazowym, zdolna jest przechodzić od jednego ugrupowania się cząsteczek do drugiego. Zauważyć należy, że siarka daje widmo liniowe tylko przy bardzo wysokich temperaturach. Fosfor i arsenik przedstawiają nam przykłady prawdopodobnych zmian w wagach cząsteczek, mających związek ze stanowczymi zmianami w ogólnych własnościach fizycznych i chemicznych. Cały szereg faktów, znanych pod nazwą *allotropii*, znajduje jedynie racjonalne wyjaśnienie w przyjęciu, że cząsteczki pierwiastków mogą istnieć w różnych więcej lub mniej złożonych ugrupowaniach.

Liczne przykłady tego rodzaju znajdujemy w ciałach złożonych. Tak zwane związki polimerne chemii organicznej nie są przykładami wielkiej zmiany we własnościach związku przez podwojenie albo potrojenie wagi jego cząsteczki? Związek tlenu z azotem, przedstawiony przez wzór chemiczny  $N_2 O_4$ , będąc ogrzewanym, zmienia swoje własności fizyczne: z gazu ciemno czerwonego przechodzi w gaz bezbarwny. A przecież skład obu tych gazów jest ten sam, i tylko waga cząsteczek związku ostatniego, t. j. gazu bezkolorowego, wyraża się formułą  $NO_2$ . Pod pewnym względem dwa te ciała, co do składu swego, są jednakowe; pod innym względem są one zupełnie od siebie od-

mienne. Spektroskopowo uważając, widzimy wybitną różnicę pomiędzy temi związkami.

Fakta, jakie zebrał Lockyer co do zmian w widmach pierwiastków, uważane ze stanowiska chemii, podług Muira, pozostają w związku z innymi zjawiskami więcej chemicznej natury, i oba szeregi zjawisk wskazują złożoną naturę pierwiastków, w tém znaczeniu, że cząsteczki tych ciał składają się z atomów, wykazujących własności odmienne od własności samych pierwiastków; ale jednocześnie, że atomy każdego elementu wszystkie przedstawiają te same własności.

Czy te atomy pierwiastków są, czy też nie są same zdolne ulegać rozkładowi, kwestya to zupełnie odrębna.

Muir nie rozbiera kwestyi znaczenia tych krótkich linii, które, podług Lockyera, mają się napotykać w widmach różnych pierwiastków po usunięciu wszelkich domieszek. Słusznie też powiada, że dopóki używane do usunięcia tych domieszek metody nie będą szczegółowo ogłoszone, i dopóki nie będziemy posiadać dokładnej informacji co do wpływu bardzo małych ilości tych domieszek na zmianę widm pierwiastków, lepiej jest powstrzymać się od stawiania hipotez, które ewentualnie mogą nie opierać się na podstawie faktów pewnych.

Jakkolwiek praca Lockyera dostarcza nam nowych dowodów istnienia zmieniających się grup cząsteczek jednego i tego samego pierwiastku, oraz że te grupy stają się prostsze w miarę wzrostu temperatury, nie wynika ztąd jeszcze, zdaniem Muira, abyśmy mogli utrzymywać, że istotnie nowe rodzaje materyi, t. j. materyi, której cząsteczki składają się z atomów, różnych od wchodzących w skład cząsteczek materyi pierwotnej, mają powstawać nawet przy tych wysokich temperaturach. Możemy uważać, że cząsteczki naszych pierwiastków w stanie gazowym w temperaturach umiarkowanych składają się z odrębnych atomów; w miarę wzrostu temperatury, niektóre z tych cząsteczek ulegają częściowemu rozkładowi, bez powstania nowych atomów, aż dopiero, w nadzwyczaj wysokich temperaturach, większa część masy materyi obecnej istnieje w prawdziwym stanie atomowym. Bardzo być może, że w jeszcze wyższych temperaturach i pod zupełnie różnymi warunkami, atomy te rozłożyłyby się same, i że ten proces postępowałby dalej, aż nakoniec otrzymalibyśmy atom pierwotny, którego wszystkie *nasze* atomy pierwiastków są tylko związkami.

Według tego poglądu, powstawanie tak zwanych atomów i cząsteczek pierwiastkowych znaczyłoby tylko etapy w procesie ewolucyi, punkta stałej równowagi w cyklu rozwoju.

\*  
Członek Towarzystwa geologicznego, Artur Phillips, ogłosił niedawno drukiem ciekawą rozprawę o źródłach i użytkach pirytów żelaznych. Nie tyle nam chodzi o sposoby ich przerabiania oraz opis jednej z największych i najbogatszych dzisiejszych kopalni Rio Tinto, dających wyobrazenie o jój eksploatacyi, chociaż i to mogłoby również



być pouczającym i godnym zanotowania w sprawozdaniu niniejszém, ile raczej o ciekawe szczegóły, podawane przez autora eo do stanu metalurgii za czasów starożytnych Rzymian, a które uczony angielski opiera na zabytkach, niedawno odkrytych w pomienionj kopalni i rzucających pewne światło na stan ówczesnej nauki.

I w tymto celu wyjmujemy niektóre szczegóły z rozprawy w mo-  
wie będącej, mające ogólniejsze znaczenie.

Proces dotąd jeszcze używany do fabrykacyi węglanu sodu ze zwyczajnej soli, odkryty został przez chemika francuzkiego Leblanc i stosowany był we Francyi na wielką skalę najprzód przez niego, a potem przez jego następców. Przed pierwszą rewolucyą francuzką soda handlowa otrzymywaną była z różnych roślin morskich, i większą część surowego materyału przywożono w tym celu z Hiszpanii i Portugalii. Wojny, jakie podówczas pustoszyły nieszczęśliwą Europę, powstrzymały naturalnie rozwój tój gałęzi przemysłu, a chociaż w razie potrzeby potaż i soda mogą się wzajemnie zastępować przy fabrykacyi szkła i mydła, czas jednak wymagał, aby cała rozporządzalna ilość potażu była zamienioną na saletrę do wyrobu prochu strzelniczego. Dla zaradzenia złemu, komitet bezpieczeństwa publicznego (Comité de salut public) wydał proklamacyą do narodu, nakazującą wszystkim obywatelom kraju złożenie na ręce wyznaczonej *ad hoc* komisyi projektów i sposobów wyrabiania sody, jakieby im były znane. W skutek tego liczne projekta złożone zostały pomienionj komisyi, która przedstawiła przez Leblanc'a uznała za najlepszy do wyrabiania sody na wielką skalę. Proces ten, jak wiadomo, polega na zamianie chlorku sodu (soli kuchennej) na siarczan sodu, działaniem kwasu siarczanego i następnym rozkładzie siarczanu sodu (soli Glaubera), w wysokić temperaturze, przez zmieszanie go z kamieniem wapiennym i proszkiem węgla.

Przy rozwoju tego rodzaju przemysłu, zwiększyły się żądania na kwas siarczany i materyały potrzebne do jego fabrykacyi. W przygotowywaniu tego kwasu na wielką skalę, kwas siarkowy (*acidum sulphurosum*), otrzymany przez palenie siarki albo piryków, zamienia się na kwas siarczany za pomocą silnie utleniającego czynnika. Powszechnie używaną substancyą na ten cel jest kwas saletrzany. Przed rokiem 1838 siarka była powszechnie używanym materyałem do fabrykacyi kwasu siarczanego, ale w tym roku król neapolitański oddał monopol eksploataowania siarki sycylijskiej jednej francuzkiej firmie z Marsylii, w skutek czego piryty żelazne zaczęły stopniowo być używane do wyrobu pomienionego produktu. Od tego czasu, aż do chwili obecnej, konsumpcya tego minerału ciągle wzrastała; kopalnie w Cornwall i w Wiczklow, w Irlandyi, były głównemi jego źródłami, pewną część dostarczała Norwegia. W r. 1859, James Mason otworzył eksploatacyą znakomitych kopalni w San Domingos, w Portugalii, a połączywszy je drogą żelazną z rzeką Guadiana, w pobliżu miasta Pomaron, rozpoczął konkurencyę z pirykami, pochodzącymi z trzech poprzednich miejscowości. W tym okresie towarzystwo angielskie, eksploatujące siarkę i miedź w Tharsis (The Tharsis Sulphur and Copper Company), nietylko rozpo-

częło wywóz pirytów z Hiszpanii, ale założyło liczne wielkie fabryki w tym kraju dla dobywania miedzi. Towarzystwo Buitron, którego kopalnie położone są w tej samej prowincyi Huelva, zajmowało się również eksploatacją pirytów; ale największym przedsiębiorstwem na tém polu jest niezaprzeczenie towarzystwo „Rio Tinto Company,” założone w r. 1873, a o którym właśnie podamy niektóre szczegóły, gdyż w jego kopalniach odkryte zostały niedawno główne zabytki metalurgii starożytnych Rzymian.

Kopalnie należące do tego towarzystwa, położone są w pobliżu miasta tego samego nazwiska, w odległości 84 kilometrów na północ od portu Huelva, przy ujściu rzeki Odiel, z którą połączone są drogą żelazną. W tej części Hiszpanii pokłady pirytów miedzianych składają się z szeregu więcej lub mniej ciągłych mas rudy, posiadających ogólny kierunek od północy na wschód i od południa na zachód, ciągnących się od Aznalcolar w bliskości Sewilli, na odległość około 100 kilometrów w kierunku zachodnim, do dobrze znanych kopalni San Domingos przy granicy portugalskiej. Pokłady te składają się z pirytów żelaznych z wielką domieszką pirytów miedzianych; żyłki siarku miedzi przenikają często masę. Galena (siarek ołowiu) napotyka się również, a niemniej piryty arsenikowe w małej ilości, a w dawnych kopalniach wielkie ilości koperwasu niebieskiego i zielonego, produktów utlenienia rudy działaniem powietrza i wody.

Jak powiedziano wyżej, pokłady te składają się z niezmiernych mas pirytów, w których tu i owdzie napotykają się rudy miedzi, zawierające od 5 do 40% tego metalu, a zwłaszcza w bliskości żył kwarcowych. Fakt ten był widocznie znany Rzymianom, którzy w zupełności ograniczali swoje prace do tych bogatych rud, z zaniedbaniem ogólnej masy pokładów, nie zawierających więcej nad 2% miedzi.

Panującymi skałami w całym tym okręgu są łupki gliniane, które, o ile wnosić można z niedokładnych szczegółów kopalnych, niedawno odkrytych, zdają się należeć do formacji sylurskiej. Pokłady te prawie bez wyjątku były eksploatowane w odległej starożytności, kopalnie bowiem, w niektórych wyjątkowych przypadkach, sięgają na głębokość 50 sążni od powierzchni ziemi. Większa część tych starożytnych wykopalisk jest widocznie pochodzenia rzymskiego, jakkolwiek przypadkowe odkrycie naczyń kamiennych zdaje się wskazywać mieszkańców tego kraju w jeszcze odleglejszym okresie.

Prace Rzymian reprezentują liczne szachty kołowe, czasami, gdzie tego potrzeba, wyłożone kamieniem i rzadko kiedy mające więcej nad trzydzieści cali w średnicy; pozostają one w związku z rozmaitemi krętymi galeryami, które niezmiernie idą w kierunku bogatych gałęzi rudy. Będąc nasycone wodą, zawierającą w rozpuszczeniu sole miedzi, wszystkie przyrządy drewniane tych kopalni zostały znakomicie zachowane, a tkanka drzewa przeniknięta jest tu i owdzie miedzią metaliczną, powstałą w skutek redukcji jej siarazanów przez włókna drzewne. Tym sposobem pnie drzewne, używane do podtrzymywania

gruntu, znajdują się niekiedy tak dobrze zachowane, iż utrzymują znaki wykonane na sobie przed szesnastoma wiekami, i litery, wyrżnięte przez górników rzymskich, są prawie tak świeże i nienaruszone, jak wykonywane przez dzieci za dni naszych.

Rzymska metoda drenowania polegała na urządzeniu przejść podziemnych, których kilka znacznej długości dotąd się zachowały. Wszakże Rzymianie używali również mechanicznych sposobów do usuwania wody z tych podziemnych kanałów. Ciekawe odkrycie tego rodzaju maszyneryi dokonane zostało przed kilku laty w kopalni San Domingos, gdzie pewną liczbę kół, zbudowanych całkowicie z drzewa i mających każde 16 stóp średnicy, znaleziono pomieszczone nad sobą w wielkich cysternach. Te zabytki inżynieryi starożytnych Rzymian, udzielone mu przez pp. Mason i Barry, objaśnia A. Phillips licznymi rysunkami. Pomienione koło, całkowicie zbudowane z drzewa, bardzo podobne jest do zwykłego koła wodnego; ale ponieważ pierścienie wewnętrzne i zewnętrzne są pełne, to woda, raz nabrana, może jedynie wylewać się przez otwory boczne. Za pomocą pewnej liczby takich kół, pomieszczonych jedno nad drugim i obracanych jednocześnie, woda mogła być podnoszoną ze znacznych głębokości. Dziesięć takich kół odkryto w San Domingos; ośm z nich miały średnicy 16 stóp, dwa pozostałe 12 stóp 6 cali.

Zabytki innych przyrządów rzymskich do drenowania, odkryte zostały niedawno w jednej kopalni hiszpańskiej w bliskości Sewilli. Urządzenie to polegało na użyciu pewnej liczby śrub Archimedes'a, które, ustawione jedna nad drugą, podnosiły wodę z szeregu drewnianych cystern, wyłożonych blachą ołowianą. Cały ten przyrząd, z wyjątkiem ołowianego pokrycia cystern, był drewniany, wzmocniony dębowymi obręczami, a niekiedy linami; konstruktorowie wykazali tu widocznie, iż wiedzieli o tém, że żelazo byłoby niewłaściwe do tego celu w obec wód nasyconych solami miedzianymi, których działaniu ulega ten metal.

Gliniane lampy wyrobu Rzymian napotykać się ciągle w tych dawnych kopalniach, naczynia zaś i narzędzia miedziane i brązowe tylko niekiedy. Jeszcze rzadziej znaleźć można kości ludzkie, które, działaniem soli miedzi na ich główny składnik, fosforan wapnia, zmieniły swój wygląd, zbliżając się do turkusku. Nadmienić należy również, że przed kilku laty znaleziona została brązowa płyta u wejścia do jednej galeryi rzymskiej w Rio Tinto, sięgającej końca I-go wieku po Chrystusie. Płyta ta znajduje się obecnie w zbiorze Szkoły górniczej w Madrycie.

Przemysłowcy rzymscy przerabiali rudy w bliskości kopalni, z których pochodzily. Zнали również, jak się zdaje, konstrukcyą różnych pieców do przerabiania tych rud, co stwierdza wielka ilość żużli, nagromadzonych w pobliżu wszystkich głównych kopalni pirytów w Hiszpanii.

Rozmiar robót górniczych i prac metalurgicznych, wykonywanych w czasach dawnych w południowej Hiszpanii, można ocenić bliżej z nagromadzonego w bliskości Rio Tinto żużla, który waży przeszło półto-

ra miliona tonn <sup>1)</sup>, a nierównie większe pokłady tego materiału nagromadzone są również pod Tharsis, Buitron i w innych miejscowościach. Ze przynajmniej pewna część pracy około tych urządzeń była wykonywana przez niewolników rzymskich, dowodzą tego liczne odkrycia szkieletów, na których dotąd znajdują się kajdany <sup>2)</sup>. W odległości 150 jardów od wspomnionego pokładu żużli pod Rio Tinto, widać ślady fundamentów obszernych gmachów, a cokolwiek dalej znajduje się cmentarz rzymski. Na części tego gruntu, na którym porozrzucane są kolumny zawałonej świątyni, widać również liczne odtamki nagrobków; ale napisy na metalowych tablicach, których ślady znać jeszcze obecnie, zostały usunięte. W tej części cmentarza wszystkie groby dawno już bardzo zostały otworzone, a to, co się w nich zawierało, usunięto; ale wszędzie, gdziekolwiek grunt jest poruszony w otaczającym lesie dębowym, pokrywającym znaczną przestrzeń, znajdowane bywają naczynia kamienne, zawierające kości palone, wyroby gliniane, szklane, wyroby ołowiane, ogniwa łańcuchów żelaznych, oraz kawałki niedokwasu ołowiu. Obecność tego ostatniego w tych grobach, które niezaprzeczenie sięgają czasów rzymskich, oraz przypadkowe odkrywanie ołowiu rzymskiego, czyni więc więcej niż prawdopodobnym, że wysoka podówczas cena złota i srebra zmuszała metalurga rzymskiego do korzystnego dobywania z nadzwyczaj małej ilości tych metali znajdujących się w pirytach z Rio Tinto. Zdaniem Phillips'a dokonywało się to przez topienie i następną kupelacyą.

Zapominając o różnicy w wartości metali w czasach dawnych i obecnych, nie zwracając uwagi na taniość robocizny czasów rzymskich, z powodu panującej niewoli, oraz uważając za pewne, że praca, przedsięwzięta przed laty, musiała być z konieczności źle wykonaną, niektórzy amatorowie metalurgii sądzili, że te odpadki mogłyby być z korzyścią przetopione powtórnie. Wszakże dokonana analiza tych pozostałości z czasów rzymskich przez Clement'a, chemika Towarzystwa eksploatującego te kopalnie (Rio Tinto Company), nie tylko wykazała dostatecznie *wielką zręczność i praktyczność tych starożytnych chemików*, ale nadto na tém polu dowiodła, że próżną byłoby rzeczą starać się o powtórne przerabianie tych pozostałości, celem wydobywania z niej metali pożytecznych. Szczegóły pomijamy na tém miejscu.

Obecnie główne pokłady pirytów obrabiane są na wielką skalę a otrzymane produkta transportowane są drogami żelaznymi, łączącemi kopalnie z głównemi portami. Następujące cyfry dadzą chociaż przybliżone wyobrażenie o ruchu przemysłowym tych okolic.

W kopalniach Rio Tinto w r. 1877 dobyto 771751 tonn pirytów: z tego wywieziono 251360 tonn, reszta pozostała na miejscu. W ciągu tego czasu wydobyto i wywieziono 2735 tonn (czyli 164100 pudów) miedzi metalicznej, a w końcu zeszłego roku roczna produkcya

<sup>1)</sup> Jedna tona angielska zawiera 62 pudy.

<sup>2)</sup> *It is abundantly evident, from the repeated discovery of skeletons still retaining their chains.* Phillips, op. cit.

miedzi metalicznej dochodziła prawdopodobnie (cyfra przybliżona, bo w czasie kiedy Phillips pisał swoją rozprawę, rachunki nie były jeszcze zamknięte) do 6500 tonn.

O wiele mniejsze, ale zawsze poważne cyfry dobytego produktu przedstawiają kopalnie Tharsis, San Domingos, Calañas i inne; szczególny, dla braku miejsca, pomijamy.

Największe i najbogatsze pokłady znajdują się w Rio Tinto, i te to głównie były eksploatowane przez Rzymian, czego obecnie, jak wyżej wspomnieliśmy, znajdują się liczne ślady. Kopalnie San Domingos i Tharsis znalezione były przez obecnych ich właścicieli w takim stanie, w jakim pozostawione zostały przez Rzymian, podczas gdy kopalnie Rio Tinto były w części eksploatowane przez rząd hiszpański, nim oddane zostały towarzystwu angielskiemu. Jedna ich część, a mianowicie dolina Rio Agrio, jest tak bogatą, iż według przybliżonej oceny zawierać ma około 11000000 tonn rudy.

Nie mieliśmy zamiaru przedstawiać dorywczego nawet szkicu metalurgicznego, chcieliśmy tylko zlekka dotknąć przedmiotu w mowie będącego, a to ze względu, że o kwestye tego rodzaju w sprawozdaniach naszych prawie nie potrącamy, dla bardzo wielu przyczyn. Dlatego czytelnicy *Biblioteki* raczą nam wybaczyć niepełność obecnej notatki, którą uzupełniamy następującymi cyframi.

Dobywane ilości produktów przedstawiają wartość ogólną 6500000 funtów szterlingów. Oprócz siarki, kopalnie te wysyłają do Wielkiej Brytanii 28000 tonn miedzi, wartości 1680000 funt. szterl. Cyfra ta jest dziewięć razy większa, niż wartość, jaką dają kopalnie w Cornwall w r. 1877.

T. Skomorowski.

## Kronika lwowska.

Zamیلowanie sztuk pięknych i porównanie pod tym względem Lwowa dawniejszego z dzisiejszym.—Młodzi artyści.—Doroczna wystawa sztuk pięknych.—Maurycy Gotlieb.—Zjazd pedagogiczny w Brodach.—Tablica pamiątkowa na cześć Józefa Korzeniowskiego.—Wydawnictwa księgarni polskiej.—*Żyłzi*, studjum społeczne przez Teofila Merunowicza.—Środki zapobieżenia lichwie.—*Dzieje Polski*, Ryszarda Reppla, przekład K. Przyborowskiego.—*Śpiewnik polski*.—*Piosnki i satyry*, Rodocia.—Trzeci tom *Pomników dziejowych Polski*.—† Aleksander Dzieduszycki.

Malarz Rodakowski w swój prelekcyi o sztukach pięknych, mianej w ciągu ubiegłej zimy w ratuszu lwowskim, zestawwszy pod wzglę-

dem sztuki obraz Lwowa z przed laty czterdziestu z dzisiejszym, wykazał, jak wielki lwowianie uczynili postęp w zamiłowaniu sztuki, w uszlachetnieniu smaku od lat kilkudziesięciu: Rodakowski odnosił to głównie do architektury. I w samą rzecz, skoro porównamy najwspanialsze onego czasu budowy lwowskie, z ogromnym wystawione kosztem, na które wysilił się ówczesny smak najpierwszych tutejszych budowniczych, mianowicie: ratusz i teatr hr. Skarbka, owe dwie czworogranne, bezkształtne masy kamienne, bez myśli i wdzięku, imponujące tylko wielkością i niezgrabnością swoją, z budowlami dzisiejszemi, z nowym gmachem politechniki, lub nowym gmachem sejmowym, którego piękne, wspaniałe kształty coraz wydatniej rysują się oku, a którego artystyczne ornamenta otworzą pole zaszczytnego popisu naszym artystom; jeżeli pominąwszy już nawet owe dwa przepyszne gmachy publiczne, porównamy w ogóle dawniejszą architekturę Lwowa z dzisiejszą, styl i smak budujących się dzisiaj domów prywatnych z dawniejszych kamienic ponurą i jednostajną powierzchownością: przyznać musimy prawdę prelegentowi, przyznać musimy, że nietylko postęp, ale przeskok wielki uczyniliśmy w tym względzie ostatniemi laty i to nietylko w budownictwie, ale w każdej dziedzinie sztuk pięknych. Można zarzucać ośpałość naszej lwowskiej literaturze, zbyt szorstkość dziennikarstwu, obojętność dla nauk ścisłych, uprawianych w zbyt szczerpłym gronie ludzi poświęcających się umiejętnościom: słowem wiele takich i tym podobnych rzeczy można zarzucić Galicyi; możnaby zarzucić młodzieży akademickiej, że za mało pracuje, a za wiele radzi i demonstruje, publiczności, że za mało czyta i nie popiera należycie literatury: we wszystkiem tém będzie zapewne wiele słuszności, może trochę przesady, ale braku zamiłowania i popierania sztuki niepodobna nam zarzucić, widząc ciągle nowe pojawiające się na tém polu talenta i ciągle nowe żywotności objawy. Aby się o tém przekonać, dosyć obaczyć, jak licznie publiczność lwowska zwiedza wystawę sztuk pięknych, umieszczoną w tym roku w gmachu politechniki na Nowym Świecie; a więc prawie już za miastem, bardzo z tego względu niedogodnie; równocześnie zaś, jak śpiesznie dąży zobaczyć Matejki: *Bitwę pod Grunwaldem*, obecnie znajdującą się we Lwowie. Wszakże nie na samém malarstwie ogranicza się to zamiłowanie. Pominąwszy muzykę, którą Lwów z dawien dawna pielęgnuje z zamiłowaniem, pojawiło się ostatniemi czasy kilka znakomitych talentów na polu rzeźbiarstwa, świadczących, że i ta gałąź sztuki zaczyna być u nas coraz staranniej pielęgnowaną.

Młody Barącz, którego niedawno pamiętamy pierwsze stawiającego kroki w dziedzinie sztuki, jest dziś skończonym artystą. Znajdujące się na wystawie obecnej jego typy włosciańskie krajowe, piękny model statuy św. Kazimierza, jego popiersie starca modelowane z natury, przedstawiające włoskiego żebraka, są to wszystko niepospolite już dzieła, znamionujące wiele talentu i wiele pracy i studyów. Na téjże samej drodze znajduje się młody Błotnicki, niemogący się jeszcze

porównać z Barączem, ale posiadający wielki zasób talentu, który stosownie pielęgnowany, może się świetnie rozwinąć i stanąć wysoko. Błotnicki otrzymał obecnie dla dalszego kształcenia się stypendyum krajowe i wykonał statwę *Switezianki*, która stanie na nowej studni na Placu halickim. Lwów zatem, pozbawiony od niedawna wszystkiego co się zwać mogło artystyczną ozdobą, zaczyna już sam sobie wychowywać młode talenta, co kiedyś czasami artystycznego dodadzą mu blasku. Wychowany w szkołach zagranicznych kosztem gminy tutejszej, malarz Sidorowicz, stanął już dziś w rzędzie artystów, którymi się będzie chlubić sztuka polska. Jego krajobrazy i portrety, jego studia wzorów klasycznych, bywają od lat kilku ozdobą naszych wystaw i uczyniły imię jego znanem już i za granicą. Obecnie występuje inny znów, młody talent, którym także kiedyś Lwów będzie się mógł poszczycić. Kształcący się w Mnichowie Żmurko, syn tutejszego profesora uniwersytetu, wymalował obraz oryginalny: *Kleopatę konającą*, przyjęty na tegoroczną wystawę powszechną mnichowską. Już ta sama okoliczność, że dzieło to bardzo młodego artysty wytrzymało ocenę surowego sądu znawców i zostało przypuszczone na wystawę, jest rękojmią jego wartości. Jakkolwiek nie zgadzalibyśmy się może z układem całej kompozycyi, niepodobna odmówić obrazowi wielkich zalet artystycznych. Głowa konającej Kleopatry jest prześliczna swym wyrazem, zresztą chędzito głównie malarzowi o efekt kolorytu i to mu się bardzo powiodło. Obraz ten po zamknięciu wystawy mnichowskiej ma być wysłany do Warszawy, więc go sami ocenicie.

Na tegorocznój tutejszej wystawie sztuk pięknych jest bardzo mało dzieł nowych. Zazwyczaj ostatnimi laty przybywało na naszą wystawę najwięcej prac młodego zastępu naszych artystów z Mnichowa; obecnie otwarta także powszechna wystawa, tudzież wystawa paryzka zabrały wszystkie co najznakomitsze i najnowsze prace społecznych polskich artystów. Nie można się dziwić, że dla Lwowa nic prawie nie zostało. Któżby się oglądał na skromną lwowską wystawę, mając otwarte przed sobą pole popisu na szerokiej arenie wystawy powszechnej? Z czasem, na rok przyszły przybędą i do nas tu do Lwowa, dziś tam umieszczone obrazy. Wszelako nateraz musimy poprzestać na tej nadziei. Dyrekcya tutejszego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, chcąc się koniecznie wywiązać ze statutem nałożonego jej obowiązku urządzania dorocznej wystawy, zmuszona była udać się do jedyne go w obecnej chwili sposobu i złożyć wystawę z dzieł dawniejszych, znajdujących się po tutejszych zbiorach prywatnych, pomiędzy którymi odznacza się zbiór p. Ludwika Skrzyńskiego i zbiory Sapieżyńskie posiadające wysokie ceny stare oryginały Rembrandta, Salvatora Rozy i znakomite rzeczy nowsze, jak szkice wojenne Orłowskiego i inne. Tymto sposobem złożyła się tegoroczna nasza wystawa, nieodpowiadająca wprawdzie swemu przeznaczeniu, przedstawienia postępu malarstwa polskiego chwili obecnej, ale świadcząca, jak znakomite skarby sztuki, prywatne zbiory lwowskie posiadają. Jest się czém

naprawdę rozkoszować w tej naprędce złożonej miniaturowej galerii, w której niespodziewanie spotkasz się z prawdziwymi arcydziełami, klejnotami sztuki, a jeżeli niema wielu obrazów nowszych, to powetował to sowiec Matejki portret byłego marszałka kraju, dzisiejszego namiestnika hr. Alfreda Potockiego, przeznaczony do sali portretów marszałkowskich w nowym gmachu sejmowym. Przepyszne to dzieło, w całym tego słowa znaczeniu, jest może najlepszym z portretów Matejki, a to dosyć powiedzieć, aby dać wyobrażenie jego wartości. Obraz przedstawia hr. Potockiego w stroju narodowym, z laską marszałkowską w ręku, orderem Złotego runa na szyi. W postawie i wejrzeniu maluje się powaga i godność senatorska, będąca główną cechą portretu. Podobieństwo oblicza przytém zadziwiająco wiernie trafione. Z małej liczby godnych wspomnienia obrazów współczesnych na tegorocznej wystawie, nie można jeszcze pominąć małego olejnego obrazu ś. p. Grottgera, przedstawiającego popiersie młodzieńca, w czapce krakowskiej. Portret to niezmiernie sympatyczny, doskonale wyrysowany; jest w nim ogień, życie, energia młodzieńcza, a w wejrzeniu pełnym wyrazu myśl głębsza, przyćmiona napwół melancholijnym, obłokiem marzenia. Słowem jest w tym portrecie pewien urok, właściwy Grottgerowi, jaki on tylko postaciom swoim nadawać umiał. Z wyrazem tym harmonizuje doskonale koloryt i tło bardzo dobrze dobrane.

Znakomitym portrecistą jest Andrzej Grabowski. Obok pięciu czy sześciu nowych jego portretów, znajdują się jeszcze na wystawie trzy jego olejne, naturalnej wielkości typy z natury wzięte: włościanin i włościanka z wschodnich okolic Galicyi i głowa starca, przepysznie malowana. Z portretów najdoskonalszym jest portret kanonika S. Znawcy przyznają temu obrazowi wysoką wartość typową. Wykończenie jest znakomite. Najnowszych wszakże a może i najlepszych portretów Grabowskiego niema na lwowskiej wystawie, albowiem znajdują się w tej chwili także na wystawie powszechniej w Mnichowie, mianowicie, portret pośła Smolki i księcia Adama S. Zwłaszcza ten ostatni, zdaniem znawców do arcydzieł liczyć się może. Tak tedy Grabowski, pracujący nieprzerwanie bardzo gorliwie, świetnie reprezentuje malarstwo lwowskie, podczas gdy dawniejsi malarze nasi więcej używają wczasu, jak widać z tego, że żaden z nich nie wystąpił z niczem nowym w tym roku.

Mówiąc o malarzach lwowskich, niepodobna pominąć wspomnienia świeżo poniesionej bolesnej straty przez śmierć Maurycego Gottlieba, który pomimo młodzieńczego wieku, tak już wysoko był stanął w dziedzinie sztuki. Gottlieb umarł w Krakowie, ale urodzony w pobliżu Lwowa, tu posiadający rodzinę, tu przepędziwszy wiek dziecięcy, i znaczną część życia, liczył on się zawsze do grona malarzy tutejszych i słusznie Lwów chlubić się nim może i w pierwszym rzędzie nad stratą jego boleje. Prace Gottlieba najpierw na wystawie lwowskiej zwróciły uwagę na siebie. Uczeń Matejki i Makarta, zapalony wielbiciel obu, umiemy poznać i odczuć w obu zalety, szedł za ich wzorem, przyswa-



jął sobie główne cechy ich pędzla, wyrabiając własne, torując sobie z wolna drogę samodzielną, im bardziej samowładnym stawał się panem techniki. Miał on, jak każdy wybitny talent, swe odrębne cele artystyczne, które jasno widział, do których dążył całą potęgą wrodzoną, coraz świetniej rozwijającej się siły twórczej. Treść do swych kompozycji brał ze społeczeństwa żydowskiego, którego typowe właściwości wiernie oddawał. Celują pod tym względem jego *Żydzi w bóżnicy w Dzień sądny*—kompozycja większych rozmiarów, pomyślana i ugrupowana bardzo dobrze. Śmierć zaskoczyła go nad pracą, która, sądząc z tego jak go zajęła całego, będąc od niejakiego czasu jedynym myśli jego celem, byłaby była najznakomitszym z dzieł jego wszystkich dotąd dokonanych. Obraz ten miał przedstawiać *Chrystusa w bóżnicy*. Jeżeli tak jest, jak doniosły niektóre dzienniki, że Matejko oświadczył gotowość wykończenia tego obrazu, będzie to najwyższa cześć pamięci młodego artysty oddana. W zeszłym roku na wystawie lwowskiej powszechną zwracał uwagę malowany przez Gottlieba, acz niezupełnie wykończony portret ś. p. Władysława Tarnowskiego, muzyka, poety, podróżnika, zmarłego w powrocie z Indyi na Wielkim Oceanie. Z dawna bliska znajomość łączyła obu, rozumiały się ich dusze artystyczne, a portret, o którym mowa, przed ostatnią podróżą Tarnowskiego wykonany, zachował rysy idealnego młodzieńca, marzyciela ze zdumiewającym oddane podobieństwem. Gottlieb zamierzał wykończyć rzeczony portret, zaledwie podmalowany. Któż mógł przewidzieć, że po upływie dni nie wielu i po nim już tylko wspomnienie, uwiecznione kilku pięknymi dziełami sztuki pozostanie!

\*

\*

\*

Doroczny walny zjazd Towarzystwa pedagogicznego odbył się w tym roku w Brodach w pierwszej połowie ferii szkolnych, jak zwykle. Z wszystkich okolic Galicji zjechali się nauczyciele szkół początkowych ludowych, realnych i gimnazjalnych, bo Towarzystwo pedagogiczne, bardzo rozgałęzione, i posiadające swe oddziały po wszystkich powiatach, objęło cały stan nauczycielski w Galicji, tak iż niema pomiędzy nauczycielstwem tutejszem nikogo prawie, coby nie należał do Towarzystwa, którego czynności na polu pedagogicznem w ciągu dziesięciolecia, od czasu zawiązania się Towarzystwa, skutecznie się przyczyniły do podniesienia szkół, oświaty stanu nauczycielskiego i wyjaśnienia wielu najważniejszych kwestyi pedagogicznych. Z powodu, że zjazd odbywał się w Brodach, miejscu urodzenia Józefa Korzeniowskiego, postanowiono uczcić przy tej sposobności pamięć jego położeniem tablicy pamiątkowej w miejscu, w którym stał niegdyś dom jego rodzinny. Towarzystwo pedagogiczne zamierzyło tym sposobem, obok zasług literackich uczcić zarazem zasługi Korzeniowskiego na polu pedagogicznem, jako nauczyciela i kierownika oświaty w tym zawodzie do kresu życia pracującego. Tablica z napisem, umieszczona na skromnym kamiennym piedestale, sprawiona została kosztem składkowym. Trudność zachodziła w wyszukaniu miejsca, gdzie się znajdował ów dom w którym Korzeniowski ujrzał światło

dzienne, gdzie następnie chłopięce przepędził lata. Zajął się tём prezes, Brodzkiego oddziału pedagogicznego p. Małaczyński, a musiał on niemało zadać sobie pracy, nim doszedł do celu owych poszukiwań.

Dom ów dawno nie istnieje. Zatarł się nawet wszelki ślad wspomnienia, gdzie niegdyś istniał. Umilkła, niewdzięczna w tym razie tradycja. Miasto, głośnie ze samego handlu szeroko rozgałęzionego, a spoczywającego głównie w rękę ludności żydowskiej, przeważnie tu zamieszkałej, nie troszczyło się o kolebkę znakomitego pisarza, co promień myśli, pochodnie światła, niósł spółziomkom i nieprzebrane skarby pióra pozostawił po sobie. Jedyłą wskazówką ku odszukaniu miejsca owęj rodzinnej zagrody Korzeniowskich była wzmianka o nięj zawarta w liście samego Korzeniowskiego, pisanym przed laty do księdza Sadoka Barącza, znanego monografa kilku znaczniejszych miast galicyjskich, który zbierając materyały do monografii Brodów, pierwszy przypomniał publiczności naszej, że to miasto pamiętném jest urodzeniem jednego z najznakomitszych naszych pisarzy a chcąc biografją tegoż włączyć w opis pamiętek miasta, udał się był po bliższe w tym względzie szczegóły do samegoż Korzeniowskiego. Z rzezonego tedy listu, będącego odpowiedzią na wezwanie ks. Barącza, powzięto niejaki wskazówki co do położenia domu rodzinnego Józefa Korzeniowskiego; wszelako dokładnie oznaczyć to miejsce dało się dopiero po wielu, na rzezonęj skazówce opartych poszukiwaniach, w archiwum magistratualném Brodzkiem w tamtejszych starych aktach miejskich i urzędowych mapach topograficznych. Poszukiwania te wykazały ostatecznie z wszelką dokładnością, że dom Korzeniowskich znajdował się opodal od dzisiejszego miasta, na *Starych Brodach*, przy ulicy dawnięj *Lwowską* zwanęj, w pobliżu wjazdu do dzisiejszego dworca kolei żelaznej. Tam tedy, w ogródku przed oknami dworku stojącego w miejscu dawnęj zagrody Korzeniowskich, stanął kosztem składowym a staraniem Towarzystwa pedagogicznego skromny słup kamienny z marmurową tablicą, na której umieszczono napis pamiątkowy. Odśłonięcie napisu odbyło się bardzo uroczyście, albowiem nietylko członkowie zjazdu pedagogicznego, ale nieprzejrzane tłumy publiczności, połowa niemal ludności miasteczka, udała się w dniu oznaczonym w to miejsce, aby być świadkiem obchodu. Tablicę z napisem zasłonięto portretem Korzeniowskiego, otoczywszy go wawrzynowym wieńcem, Obok pomnika wzniesiono mównicę, i całe otoczenie przystrojono dywanami i kwiatami, a podczas obchodu przygrywała sprowadzona ze Lwowa muzyka tutejszego Towarzystwa *Harmonii*. Na mównicę wstąpił profesor Lwowskiego seminarjum pedagogicznego p. Lucyan Tatomir, i w bardzo obszernęj, pięknie ułożonęj mowie, wiele trafnych poglądów literackich zawierającęj, skreślił biografją Korzeniowskiego, wyliczył główne jego prace z treściwém ich ocenieniem, wskazał stanowisko jego w literaturze, zasługi w zawodzie nauczycielskim. Mowa ta pięknym stylem i bogactwem myśli wywarła wielkie na przytomnych wrażenie, zwłaszcza ustępowy, w którym p. Tatomir

podniósł trwałe skutki pism Korzeniowskiego i wpływ ich wielostronny. „My, zwykli ludzie, rzekł on mniej więcej temi słowy, żyjemy po śmierci jeszcze chwil kilka, pamięcią przechowaną o nas w kółku naszych rodzin, naszych przyjaciół—ale po latach, grób niepielegnowany czułą ręką, gdy i tę rękę drugi zamknie grób, zarosnie trawą, zapadnie się w ziemię, i najświetniejszy nawet pomnik rozsypie się w gruzy, a imię nasze zginie w niepamięci piasku i umrzemy cali dla ziemi. Ale ci wybrańcy Boży z piętnem geniuszu na czole rozłączają się z nami tylko ciałem, a lepszą częstką swoją, dziełami swego twórczego ducha, żyją wiecznie między nami, prowadzą stare pokolenia do grobu, wychowują młode, sami wiecznie młodzi, nieśmiertelni.

Korzeniowski jest więc, jest między nami. Jest w wypisach na szkolnych ławkach, z których uczą się dzieci wasze myśleć i czuć; jest na scenie teatrów naszych, jest w świetnych salonach pańskich, w dworach szlacheckich i w domach mieszczańskich; a kiedyś, za staraniem tych, których tu tak licznie z różnych stron naszego kraju widzę zgromadzonych, za staraniem zacnego nauczycielstwa ludowego, da Bóg, będzie i pod strzechą chat wieśniaczych, *jest* więc wszędzie, jak daleko sięga język polski; owszem jest i dalej; żyje w tłumaczeniach swoich arcydzieł i na scenach i w literaturach niemieckiej, czeskiej i rosyjskiej.”

Po Tatomirze przemówił jeszcze kilku rzewnemi słowy spółtowarzysz młodości Korzeniowskiego, spółuczeń liceum Krzemienieckiego, najstarszy z członków Towarzystwa pedagogicznego, p. Franciszek Nowakowski, i przy odgłosie muzyki i grzmocie oklasków odstąpił tablicę, na której znajduje się napis następujący:

Miejsce urodzenia  
Józefa Korzeniowskiego  
polskiego pisarza powieści, i dramaturga  
urodzonego dnia 8 września 1797  
uroczyście zaznacza  
Galicyjskie Towarzystwo Pedagogiczne  
dnia 21 Lipca 1879.

Po zamknięciu trzydniowych obrad zjazd zakończył się wycieczką do Podhorzec i Oleska, gdzie na oglądaniu historycznych pamiątek spędziwszy razem dzień ostatni, pedagogowie nasi, żegnając się do widzenia na rok przyszyły, rozjechali się z pamiątką miłych wrażeń i niejedną zdrową myślą w ciągu narad pedagogicznych podniesioną.

\*

Z najnowszych objawów tutejszej literatury naszej, zasługuje przedewszystkiemi na uwagę dzieło, wydane nakładem księgarni polskiej: *Żydzi*, studyum społeczne przez Teofila Merunowicza. Autor zamierzył sobie wykazać stanowisko żydów w naszym społeczeństwie

we wszystkich kierunkach życia publicznego i prywatnego, stanowisko pod wielu względami odrębne i zapewniające im pewne przywileje i korzyści przed resztą ludności, mianowicie w Galicyi, wobec istniejących ustaw cywilnych, jak np. w sprawach funduszów religijnych, małżeństw i t. p., a rozpatrzywszy te wszystkie stosunki, podać ostatecznie środki najrychlejszego rozwiązania tak zwanęj *kwestyi żydowskiej*. Najpierw stawia tedy pytanie, czy istnieje rzeczywiście kwestya żydowska w Galicyi? bo dzieło całe, jakkolwiek posiłkuje się ubocznie także poglądem na stosunki pozagalicyjskie i zdaniem pisarzy zagranicznych, odnosi się wszakże głównie w swęj treści i dążności reformatorskiej do Galicyi. Pominąwszy więc kilka rysów historycznych, wyświecających genezę ukształtowania stosunków żydowskich pomiędzy chrześciańskimi społeczeństwami i starannie ku poparciu swęj tezy wybrane zdania znakomitszych cudzoziemskich pisarzy i mężów stanu, rozpatruje autor bardzo szczegółowo położenie i stosunki żydów w Galicyi i Austryi i ów wpływ potężny, jaki sobie swą łącznością, zapobiegliwością, konsekwentną wytrwałością, posuniętą do granic ostateczności, na resztę ludności kraju pozyskali. W tym celu, opierając się na ścisłych szczegółach statystycznych, dowodzących nieustannego wzrostu ludności i przewagi żydowskiej we wszystkich kierunkach, rozbiera najprzód sprawę obrotu pieniężnego, pozostającego przeważnie pod wpływem giełdistów żydowskich, sprawę pokątnego i publicznego lichwiarstwa, na mniejsze i większe uprawianego rozmiary, czyto na wielkich pieniężnych targach europejskich, czy w stolicy, czy na prowincyi, w Paryżu, Londynie, Wiedniu, czy we Lwowie, czy w drobnej mieścinie lub wiosce galicyjskiej. Dalej rozbiera autor wpływ żydów na dziennikarstwo niemieckie i dosadnemi, a dodać potrzeba: prawdziwemi barwy maluje jego niemoralne tendencye, brak zasad, wyzyskiwanie różnych interesów, z pominięciem wyższych zadań i szlachetniejszych celów ludzkości, które służą tam po większęj części jedynie za pozór i pokrywkę widoków samolubnych. Od tego wszystkiego wolne jest dzięki Bogu, uczciwe dziennikarstwo polskie, niebędące przedmiotem spekulacyi, lecz wyrazem zasad, i miejmy nadzieję, że takiem na zawsze pozostanie.

W dalszym ciągu dzieła rozbiera autor, odnoszące się do żydów ustępy konstytucyi austryackiej i prawa cywilnego, rozpatruje stosunki handlowe, ekonomiczne, propinacyjne, śledzi wszędzie za potrzebą reformy, bada przewagę tak zwanego *złotego internacjonalu*, czyli giełdy na obrót wszelkich spraw publicznych i stosunków społecznych i dochodzi skutkiem tego rozbioru krytycznego do tego wyniku, że *kwestya żydowska istnieje w Galicyi*, że istnieje anormalny stan rzeczy, wymagający dla dobra społeczeństwa, jaknajrychlejszęj gruntownęj reformy i zastanawia się zatem w czém ta reforma zależy; gdzie są owe słabe strony społeczeństwa i ustawodawstwa, które poprawić należy, aby przywrócić zachwianą równowagę stosunków społecznych, znieść przewagę jednego żywiołu nad drugim i utorować drogę prawdziwemu

równouprawieniu wszech żywiół społecznych. Pod tym względem przyjmuje autor bardzo zdrową zasadę, której trafności i słuszności nikt zapewne odmówić się nie pokusi, że jakiegokolwiek są złego przyczyny, wynika ono głównie i przedewszystkiem z błędów zakorzenionych w nas samych, w całym społeczeństwie, w zaniedbaniu korzystania z tych sił i zasobów, których zdobycie od nas samych zależy, a które zdobywa się pracą, zapobiegliwością, ścisłym przestrzeganiem ustaw, bacznym śledzeniem wszystkich dróg oświaty i postępu. Stusnie zatem powiada autor, że gdy w nas samych, w ogóle społeczeństwa, w tegoż apatii i braku wykształcenia leżą istotnego złego zarody, które tylko wyzyskują żydzi swą zapobiegliwością; przeto reformę od nas samych, od zniweczenia owych złego zarodów, w samémże społeczeństwie leżących, od poprawy społeczeństwa tam, gdzie tego potrzeba i wprowadzenia go na właściwą drogę prac organicznych, od reformy wreszcie w wielu punktach ustawodawstwa rozpocząć należy.

Niepodobna zaprzeczyć słuszności tej zasady, na której autor oparł swój program rozwiązania *kwestyi żydowskiej*. Istotnie w tém leży cała tajemnica skutecznego jej rozwiązania. Weźmy np. jedną z najdotkliwszych spraw, która jest najzjadliwszą raną naszego społeczeństwa, sprawę *lichwy*, o której mówiąc zawsze potracamy o żydów, przypisując zawsze i wszędzie głównie, a niemal wyłącznie żydom, szerzenie się tego raka, wysysającego najżywotniejsze soki żywotne. Wprawdzie lichwa niema nic spólnego z wyznaniem, niemożna jednak zaprzeczyć, że lichwą trudnią się przeważnie żydzi; niedziw zatem, że całą ohydę i okropne skutki tej gangreny społecznej im przypisywać przywykliśmy. Ilużto reformatorów i ustawodawców różnemi czasy rozbijało sobie głowę nad skutecznymi środkami powstrzymania tej plagi ekonomicznej, ile uchwalono rozmaitych ustaw, wydano rozmaitych przepisów, a wszystko bezskutecznie, bo lichwa na mniejszą czy większą skalę, zawsze znalazła sobie uboczne drogi obejścia prawa i pomimo wszelkich usiłowań reformatorów, tém bujniejszym pleniła się w społeczeństwie chwastem, z tém większą jeszcze szkodą tych, co się do niej uciekać byli zmuszeni, albowiem oprócz lichwy jak przedtém, musieli jeszcze opłacać koszta owego obchodzenia ustaw, ceną zachodu i niebezpieczeństwa owych kruczków, rzecz i nazwę maskujących. A dlaczego tak? Zkąd owa dotychczas bezskuteczność najstaranniejsz obmyślanych środków przeciw lichwie? Nie zkądinąd, zdaniem naszym, jak tylko ztąd, że wszystkie one, usiłując położyć tamę szerzeniu się lichwy, nie umiały ugodzić rdzennie, w jej właściwą przyczynę i tę usunąć, czém dopiero stłunni się lichwę w zarodzie i zniweczy, odebrawszy jej racją bytu. Przyczyną straszliwego szerzenia się lichwy nie są same zabiegi żydów; jestto już tylko następstwo istotnej przyczyny, zrzeczne wyzyskanie jej skutków. Istotną przyczyną jest upadek materyalny i moralny społeczeństwa, ubóstwo zmuszające uciekać się o lichwiarski ratunek do ludzi, korzystających niesumiennie i niemiłosiernie z tej potrzeby. Wszakże dopóki niedostatek i nędza będzie toczyła rakiem społeczeństwo,

dopóty żadne ustawy, żadne środki nie zdołają skutecznie zapobiedz lichwie. Będą one tylko *palatywami* mniejwięcej powstrzymującemi chorobę, zapobiegającemi jej skutkom, ale nie lekarstwem radykalném; albowiem zawsze znajdą się umiejący korzystać z położenia spekulanci jakiegokolwiek wyznania, znajdą się lichwiarze, chociażby żydów nie było. Tam, gdzie nędza przyciska, gdzie straszne jutro śmiercią głodową zagrozi, gdzie braknie chleba powszedniego i pierwszych środków dla zaopatrzenia rodziny, gdzie kąta i dachu na jej schronienie braknie, tam nie pomogą ustawy ograniczające stopę lichwiarską, zakazy podpisywania weksłów i różnych w najrozmaitszej formie wydanych obligów lichwiarskich; nie pomogą przy zielonym stoliku pisane filipiki przeciw lichwie na żydów, anatema rzucane i apel do rozumu z najpiękniejszymi wywodami o potrzebie równowagi w budżecie domowym.

Usuńcie niedostatek, zapewnijcie dobrobyt społeczeństwu, a zabijecie tém samém lichwę, usuniecie lichwiarzy, bo nikt nie będzie ich potrzebował, nikt się do nich o pożyczkę nie uda. Oto jest jedyna zdrowa zasada ekonomiczna, podająca skuteczny środek ograniczenia lichwy, pozbycia się lichwiarzy. Wszelkie inne sposoby i środki zaradcze, w tym względzie podawane pod nazwą *walki ekonomicznej*, są czczym frazesem, nieprzynoszącym praktycznego skutku. Otwórzcie niespożytkowane dotąd źródła krajowego bogactwa, podnieście rolnictwo, ożywcie przemysł, oświecajcie lud, aby się chętnie imał pracy, unikając próżniactwa i innych złych nałogów, których brzemieniem przytłoczony popada w przepaść materyalnej i moralnej nędzy; otwórzcie pracy i przemysłowi źródła taniego publicznego kredytu, aby nie potrzebowały uciekać się tam, gdzie pewna czeka zguba; uszlachetniajcie społeczeństwo, uczynicie je uczciwém, rozumném i bogatém, a wówczas lichwa zniknie sama przez się i będzie pomyślnie rozwiązany jeden z najgłośniejszych punktów tego, co zwykliśmy nazywać *kwestją żydowską*. Nie żydzi i nie ktokolwiek inny, jak tylko sam niedostatek, z wszystkiemi swémi ciężkimi następstwami, jak tylko powszechne ubóstwo kraju, jest właściwim źródłem i propagatorem lichwy. Usuńcie przyczynę—choroba zniknie.

Co do saméj książki p. Merunowicza, przyznać należy, iż autor, założywszy sobie zadanie żydów w społeczeństwie, we wszystkich kierunkach, spełnił to zadanie z całym przejęciem się i sumienném przestudyowaniem przedmiotu. Zebrał on jaknajstaranniej odnoszące się tutaj szczegóły, aby przedmiot ile możności wyczerpać, ugrupował je i wyświetlił umiejętnie. Przejęty przedmiotem, dał się może zbyt cznie unieść założeniu, jak to bywa, gdy do wykonania czegoś przystępujemy z całym zapalem przekonania; być może, iż uniesiony treścią, staje się nieco stroniczym w konkluzjach, zanadto wielkim pesymistą, że obraz swój nieco zanadto ciemnym, rembrandowskim nałożył kolorytem; ale już to samo, że porusza kwestye bardzo ważne, że je omawia sumiennie i z całą siłą przekonania, że dostarcza wielu umiejętnie zebranych szczegółów, wiele arcyważnego materiału, że wprowa-

dza rzecz na tory dyskusji publicznej, podając wiele zdrowych uwag ze swj strony, juź to samo nadaje wielkà wartośc tej pracy, podjętej na czasie i zawierającej wiele prawd, dotyczących najżywoźniejszych kwestyi społecznych.

\*

\*

W dalszym ciągu wydawanęj przez księgarnię polskà *Biblioteki historycznej*, wyszły *Dzieje Polski do XIV wieku*, Ryszarda Repla, w przekładzie K. Przyborowskiego. Reppel jestto jedyny z cudzoziemców, co zajął się napisaniem dziejów naszych z bezstronnością, rzadkà nawet u uczonych, a ze znajomościà rzeczy opartà na umiejętnem materyałowm źródłowym zbadaniu. Jakoź *Historja Polska* Repla pod obu temi względami, mianowicie bezstronności narodowościowej i krytyki historycznej, jest rzadkiem w literaturze objawem, i szkoda, że Reppel przerwałszy pracę na wieku XIV, nie znalazł sumienniejszego kontynuatora, jak takiego zaciekle tendencyjnego polakożercę jak Caro. Treścià swà dzieło Repla, chociaź przez cudzoziemca napisane, naleźy poniekąd do naszej literatury i przekład jego na język polski był oddawna rzeczą bardzo pożądanà. Wynaleźć dobrego tłómacza, któryby literaturze polskiej dzieło Repla przyswoił, było ulubionà myślà Szajnochy, któręj do ostatnich dni życia nie porzucił, chociaź czynione w tym celu starania wówczas się nie powiodły. Przekład historyi Repla jest ważnym nabytkiem w dziedzinie naszego piśmiennictwa naukowego, a wydaniem jego zastużyła się zarówno księgarnia polska, jak p. Przyborowski dobrym przekładem.

\*

Do bardzo też pożytecznych w swoim rodzaju liczymy wydawany przez tę księgarnię *Spiewnik polski*, będący małym dla publiczności czytającej upominkiem. Celem jego jest zgromadzenie w jednym zbiorze i zachowanie najulubieńszych i najpopularniejszych piosnek polskich, objętych tutaj czterema działami, zawierającemi mianowicie piosnki bojowe, religijne, obyczajowe i miłosne. Mamy przed sobą dwa najnowsze tomiki, każdy z trzech zeszytów złożony, w formacie kieszonkowym, najdogodniejszym i najodpowiedniejszym dla takich wydawnictw, zawierające piosnki obyczajowe i miłosne. Oprócz wielu piosnek juź drukowanych, wyjętych ze znanych naszych poetów, zawsze mile powtarzanych, znajdujemy w tym zbiorze wiele nie drukowanych dotąd nigdzie, niegdys powszechnie znanych i ulubionych, a z biegiem czasu zatracających się, nawpół juź dzisiaj zapomnianych pieśni. I właśnie w wyszukaniu, zebraniu i przechowaniu od zatraty tychto rzeczy będących cenà tradycjà natchnień minionych, zawierających niejednakwiat prawdziwego uczucia, prawdziwego zapału i podniosłej szlachetnej myśli, niejednę iskrę prawdziwej poezyi, tonącą w zapomnieniu fali, widzimy właściwy cel wydawnictwa, prawdziwą zastugę tej nowej antologii. Ileżto my sami pamiętamy z dzieciństwa naszego prześlizanych piosnek, krążących z ust do ust, śpiewanych w każdym szlacheckim dworku, pod każdà strzechà, w każdym kółku przyjacielskiem,

dzisiaj po większej części zapomnianych, z których zaledwie kilka strofek lub wierszy znajdzie się ktoś, co powtórzyć jest w stanie. Z najbardziej upowszechnionych niegdyś, najpiękniejszych pieśni pozostały zaledwie ułamki w naszej pamięci, a i te zacierają się coraz bardziej. Nie było podobno nic bardziej rozpowszechnionego w swoim czasie, jak Karpińskiego sielanki. Echo ich z dźwiękami gitary i klawikordu rozbrzmiewało po całej przestrzeni pól i siół naszych, a dzisiaj pomimo że były drukowane, czy wielu się znajdzie co pamięta z nich więcej jak może kilka wierszy o *czekającym Filonie?* Ale sielanki Karpińskiego chociaż ze zmianą smaku przeminęły i zapomniały się, pozostaną w literaturze, jako objaw pewnego jój okresu i kierunku; lecz ileżto innych pieśni samorodnych, utworzonych przez nieznaną poetów w chwili gorętszego zapału, przelotnym błyskającej natchnieniem, posiadających nieraz gromu potęgę, co jak błyskawica obiegły widnokrąg i zniknęły: ileżto pieśni takich, pamiątkowo-historycznych zapomina się i ginie bez wieści. Otóż bylibyśmy tego zdania, że wydawca *Spiewnika polskiego*, który obecnie dalszą jego zapowiada seryę, szczególnież starać się winien zgromadzić w swym zbiorze owe dotąd nigdzie nie drukowane, lub tylko po ulotnych porozrzucane pismach, a mało już dziś znane pieśni, przez co nada wydawnictwu swemu pewien wybitny charakter i uczyni go o wiele pożyteczniejszym, aniżeli drukując antologią, ułożoną chociażby z najpiękniejszych kwiatów poezji drukowanej.

Znany pod pseudonimem Rodocia satyryk poeta, Mikołaj Biernecki, którego *Piosnki i Satyry*, wyszły obecnie w Warszawie, nakładem Gebethnera i Wolffa, zamierza wydać dalszy ciąg tego zbioru. Rodoc w poezjach swych jest ciętym satyrykiem. Posiadają one wiele atyckiej soli, wiele humoru i pewien oryginalny zakrój, dodający im szczypiącej werwy. Jestto satyryk z tendencją szlachetną i nieraz głęboko w stosunki nasze społeczne sięgającą, obejmującą całą sferę naszego życia narodowego, towarzyskiego i publicznego. Wiele z tych utworów nie mogło dotąd ujrzeć światła dziennego. Teka poety jest pełna, jak wiemy. Bardzo zatem byłoby pożądanem uzupełnienie zbioru dalszym wydaniem.

Wzmiankę o najważniejszym naukowym dziele, którym się chlubi prasa lwowska, pozostawiłem na sam ostatek, jako przerastające znaczeniem i wartością wszystkie pomniejsze wydawnictwa. Chcę mówić o tomie trzecim: *Pomników dziejowych Polski*, rozpoczętych przez nieodżałowanej pamięci a wielkich zasług naukowych na polu historycznym ś. p. Augusta Bielowskiego, a obecnie pod kierunkiem akademii umiejętności, i jój nakładem, przez wyznaczoną z jój ramienia komisją dalej wydawanych. Tom niniejszy obejmuje pięćdziesiąt kilka arkuszy druku, a ozdobnością i poprawnością wydania, zwłaszcza zaś bogactwem zawartych tu materiałów i krytycznym tychże opracowaniem nie ustępuje tomom poprzedzającym. Wiadomo, że przed laty dwu-



dziesiętu, ś. p. Bielowski powziąwszy zamiar krytycznego wydania zbioru źródeł odnoszących się do początkowych i średniowiecznych dziejów Polski, podjął olbrzymią pracę, której tylko przy jego niezmierniej wytrwałości i rozległych w tym przedmiocie studiach dokonać można było, zwłaszcza że wydawnictwo ze wszech miar tak kosztowne rozpocząć musiał własnym nakładem z nader szczupłych swych funduszy, bez żadnej obcej pomocy, lubo znachodzili się mecenasi co głosili początkowo pompatycznie gotowość udzielenia zasiłków na wydawnictwo, lecz nie ziścili zapowiedzi. Dopiero akademia umiejętności, wnet po wejściu swém w życie zwróciła uwagę na wartość i doniosłość wydawnictwa i pośpieszyła poprzeć go, przyjmując na siebie nakład dalszych tomów. Im dalej postępowała praca, coraz bliższe obejmując czasy, w miarę tego rosły zasoby materiałów, których opracowanie krytyczne, jako to: porównanie kodeksów, zestawienie wariantów, zaopatrzenie potrzebnymi objaśnieniami, coraz bardziej przerastało siły jednego człowieka, wymagając ogromu pracy i czasu. Już w pierwszych tomach na wezwanie Bielowskiego opracowali kronikę Galla, Jan Szałchtowski, Nestora Wagilewicz. Do niniejszego trzeciego tomu wezwał też był podobnie do współpracownictwa Bielowski, profesorów tutejszego uniwersytetu: Węclewskiego i Liskiego, tudzież ówczesnego kustosa, a dzisiejszego dyrektora Zakładu im. Ossolińskich Kętrzyńskiego, poruczając prof. Węclewskiemu opracowanie ponowne, umieszczonej przez Stenzla w *Scriptores rerum Slesiacarum*, będącej bardzo ważnym źródłem historycznym *Kroniki książąt polskich*, zaś wydanie katalogu biskupów krakowskich Kętrzyńskiemu, a arcybiskupów gnieźnieńskich prof. Liskiemu: pozostawiwszy sobie samemu opracowanie całego szeregu licznych *Roczników i Spominek* sięgających aż X wieku, z których najważniejszy pod względem źródłowym obejmujący okres od XII do XIV wieku, jest *Rocznik wielkopolski*. Druk tych roczników obejmuje pierwszą połowę dzieła. Śmierć nagła przed dwoma laty oderwała Bielowskiego od dalszej pracy, podczas druku dziesiątego arkusza.

Dalsze prowadzenie wydawnictwa podjął tedy, na wezwanie akademii umiejętności z téjże ramienia komitet redakcyjny, pod przewodnictwem prof. Antoniego Małeckiego, złożony z członków tutejszej komisji historycznej: Węclewskiego, Kętrzyńskiego, Liskiego, Cwiklińskiego, Hirschberga i Semkowicza. Tym sposobem po dwu latach starannej, mozolnej a umiejętnej pracy, jakiej wymagały obfite zasoby pozostawionych przez ś. p. Bielowskiego materiałów, wyszedł niniejszy trzeci tom *Monumentów*, zawierający w pierwszej swjej połowie rocznik, i akta przeważnie wielko i małopolskie, opracowane jeszcze przez Bielowskiego; w drugiej zaś połowie źródła, odnoszące się do dziejów Szlązka. Przeznaczone pierwotnie do pomieszczenia w niniejszym tomie akta pruskie: *Kronika Jana z Komorowa*, biografie i wiele innych, nie mogły już być tutaj zamieszczone dla braku miejsca, musiały zatem za zgodą Akademii być odłożone do tomu czwartego.

Poprzestaję na powyższém doniesieniu o téj najważniejszej publikacji naukowej ostatnich czasów, albowiem szczegółowe krytyczne sprawozdanie o tém ważném dziele nie może wchodzić w ramy pobieżnej kroniki.

\*

\*

Poniesliśmy temi czasy bolesną stratę przez śmierć jednego z najbardziej w Galicyi wpływowych i zasłużonych obywateli, ś. p. Aleksandra hr. Dzieduszyckiego. Nie piórem i książką, nie pracami naukowemi, ale wielkimi zasługami w życiu obywatelskiem, na polu prac publicznych, zapisał zmarły pamięć we czci ziomeków i w dziejach kraju. Wiadomo, jak wielkim przeobrażeniem uległa Galicya w ostatnich pięćdziesięciu latach, jak rozmaite przebywała koleje, jakie ponad nią przechodziły burze, jak wielkiej doniosłości dokonały się reformy. Dostyc przypomnieć lata 1846 i 1848, zniesienie poddaństwa, usamowolnienie włościan, reformy ekonomiczne, erę konstytucyjną, rozwój spraw autonomicznych, przeobrażających rdzennie wszystkie stosunki dawniejsze. W całym przebiegu tych spraw ważnych, tych reform tak znaczących, odgrywał ś. p. Aleksander Dzieduszycki czynną rolę, on w znacznej części był ich regulatorem przez wpływ wielki, jaki posiadał w obywatelstwie, przez wielką powagę i wytrawność zdania. Przed rokiem 1846 na sejmach galicyjskich ówczesnych, torował drogę usamowolnieniu włościan, w r. 1848 jako poseł na sejm rakuzki w Wiedniu i Kromieryżu, stawał zawsze w obronie prawdziwie liberalnych, umiarkowanych zasad, podobnie jak później, po nadaniu krajowi konstytucyi w sejmach lwowskich. Od lat dziesiątka usunąwszy się z widowni parlamentarnej, nie poprzestał jednak pracy publicznej i w radzie powiatowej, w Towarzystwie gospodarskiem i na każdym zawsze polu, na którym dobro kraju wymagało, gdzie tylko okazała się potrzeba energicznej a wytrwałej pracy, zdrowej rady, poświęcenia i gotowości do czynu, tam zawsze był pierwszym do spełnienia obowiązku, a wokoło niego grupowały się siły, skupiało obywatelstwo, ufne w jego słowo, gotowe iść za jego przykładem i kierownictwem. Dom jego był wzorem staropolskich tradycyi, przechowującym nieskażenie wzory dawnych cnót i obyczaju. Była to postać siłą przekonań, hartem duszy, czystością charakteru przypominająca dawne niezwykłej miary posągowe postaci, a ubytek jego w sferach obywatelskich niełatwo da się zastąpić.

*Władysław Zawadzki.*

# PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

*Biblioteka Ordynacji Krasińskich.* Muzeum Konstantego Świ-  
dzińskiego t. IV. Perska księga na polski język przełożona  
od Imci Pana Samuela Otwinowskiego, Sekretarza J. Kr. Mci.  
nazwana Giulistan, to jest ogród różany, z dawnego rękopismu  
wydał Dr. I. Janicki. Warszawa 1879, str. XVIII i 285.

Nietylko w polskiej, ale podobno w każdej literaturze enro-  
pejskiej, to co właściwie nazywamy *oryginalnością* w stosunku do  
*naśladownictwa* stanowi arcy skromną ilość. W ten czy w inny spo-  
sób, w pomyśle czy w wykonaniu, w formie czy w treści, naślado-  
wnictwo wszelkiego rodzaju tak się rozplenia w każdym piśmien-  
nictwie, że potrzeba bardzo wprawnego oka, wysoce krytycznego umy-  
słu, żeby wyszukać i wyróżnić istotną oryginalność, któraby pod każ-  
dym względem była samoistną. Stosuje się ta myśl nietylko do ja-  
kichś elementarnych nauk, w których milionkroć się powtarzają też  
same myśli, w tych samych niekiedy słowach wypowiedziane, ale  
w ogóle do wszelkich pomysłów rozumowych, a nawet do literatury  
pięknej, do zakresu twórczości fantazyi ludzkiej, gdzie, jakby się  
zdawało, swobodny polot téj wyobraźni rozpryskaćby się powinien  
na tysiączne barwy, całkiem odmienne i nic z sobą wspólnego nie  
mające. Ale w istocie tak nie jest: i ten nawet, niby swobodny polot  
naszego ducha ma pewne, stałe granice, nietylko ze względów psy-  
chicznych, ale i z owych nałogowych, przez wieki nagromadzonych  
jednostajnych wyobrażeń, wiadomości, pomysłów i form obcych, któ-  
re częstokroć bezwiednie, dla samego autora stoją na zawołanie w ak-  
cie twórczości jego.

Rozpatrując się tedy uważniej w tych naszych pomysłach i szu-  
kając owę bezwzględnej oryginalności, dziwnie wielkie czujemy upo-  
korzenie ducha... tak mało, powiadam, tych wydatnych jednostek,  
i tych samoistnych myśli, że w oceanie naśladownictwa giną one jak  
drobne kropelki niepostrzeżone. Właściwie nawet możebymy powiedzieć  
należało, że bez tego zapożyczania się z zewnątrz, umysł nasz obejść  
się nie może, równie jak organizm fizyczny obejść nie może bez pokar-  
mów i powietrza, tak, że mimowolnie nasuwa się myśli naszej owo  
głębokie a prawdziwe wyrzeczenie naszego Zygmunta, który mówi, że

„Dziesięć wieków czeka  
Na myśl lub człowieka.”

Raz wszakże pogodziwszy się z tą niezmienną koniecznością za-  
pożyczania się zewnątrz, chodzi przynajmniej o to, żeby zakres tego  
naśladownictwa, albo raczej źródła naszych pomysłów rozbiegały w jak  
najszerzych promieniach, żeby one tworzyły jak największe koło.  
Ale właśnie, że i tu nawet spotykamy się z tak wąską ścieżynką,  
grecko-rzymskiej kultury, że i to koło naśladownicze nieskończenie  
maleje i umysłowi ludzkiemu bardzo ciasne zostawia drogi do odpo-  
wiedniej twórczości.

Po wojnach krzyżowych, do skarbnicy wiedzy europejskiej wno-  
si Wschód znaczną część zasobów twórczości swojej. Wszyscy wie-  
my o rozkwicie poezji średniowiecznej, która z wielu względów ory-  
entalizmowi swe piękno i świeżość zawdzięcza; toż samo powiedziecby  
trzeba i o nauce, o matematyce, astronomii, optyce i t. d.. Filozofia  
jednak, pomimo że Europa poznała Arystotelesa pierwotnie za  
pośrednictwem arabskiej literatury, najpóźniej dochodzi do świadomo-  
ści Europy, bo zaledwo w epoce odrodzenia nauk.

Polacy, sąsiadując i krwawe walki staczając z potężnym pań-  
stwem wschodniem, osiedlonóm na ruinach cesarstwa bizantyńskiego,  
byli zawsze w najbliższym przez Turcyą zetknięciu się z Wschodem,  
musieli zatem mieć klucz, wejście do téj znajomości otwierający.  
Oprócz dostępnych źródeł praktycznego obznajamiania się z językami  
oryentalnemi, o których w przedmowie wspomina dr. Janicki (str. V  
i XV), nasi ludzie u steru rządów krajowych zostający, dawno mu-  
sieli zwrócić uwagę na potrzebę głębszej, teoretycznej nauki języków  
wschodnich; wiemy bowiem z dziejów, żeśmy mieli *Szkołę orientalną*  
w Carogrodzie, która, sądząc z wysokiego stosunkowo wynagrodze-  
nia osób do składu jej należących, na rozległą prowadzona być mu-  
siała skalę <sup>1)</sup>.

Dziwnym wszakże zbiegiem okoliczności, w literaturze nie pozos-  
tało żadnych prawie wydatniejszych śladów téj naszej świadomości  
oryentalizmu. Taż sama jakaś niechęć do rzeczy orientalnych trwa  
i do dni naszych; tak np., na kilkuset „ludzi pióra” (*sio!*), tu u nas  
w Warszawie, począwszy od reporterów wszystkich kuryerów, a prze-  
chodząc z kolei do innych specjalistów, mamy: polityków, archeologów,

<sup>1)</sup> Wzmianki o niej spotykamy w *Voluminach legum*, ale bliższą o téj  
instytucyi powzięliśmy wiadomość od p. T. Korzona, mianowicie z przygoto-  
wanego do druku, niezmiernie ważnego dzieła p. t. *Stan ekonomiczny Polski*  
i t. d. P. T. K. wskazał nam na swoje notaty robione z *Rachunków jeneral-  
nych sejmowych skarbu koronnego*, z których widzimy, że utrzymanie *Szkoły*  
*orientalnej* przetrwało do ostatnich czasów Rzpltej i systematycznie oznaczone  
było w *Rachunkach*; tak n. p. w ciągu dwulecia 1778 i 1780 wydano na  
nią 36,460 złp., w ciągu dwulecia 1780—1782=40,000 złp.; w latach  
1784—1786 wydano 40,000 złp.; w latach 1786—1788=38,333 złp.  
i gr. 10; w latach 1788—1790=40,000 złp., w półroczu 1791 roku wy-  
dano 10,000 złp.

etnografów, geografów, statystów, historyków, filozofów, filologów, prawników, pedagogów, lekarzy, inżynierów, nawet średniowiecznych podobno mamy heraldyków... jednych tylko *orientalistów* czujemy brak dotkliwy. Literatura nasza, wzięta w całym swym obszarze, zapewne, że nie świeci tu zupełnemi pustkami; dość wspomnieć imiona Kowalewskiego, Muchlińskiego, Kazimirskiego, Pietraszewskiego i t. d.; ale cóż ztąd, kiedy wskutek okoliczności mocniejszych od naszej woli, niekiedy nawet głośne imiona naukowe orientalistów marnieją całkiem dla piśmiennictwa polskiego, a pomijając dawniejsze w tym względzie dowody, dość wspomnieć choćby jednego Augusta Żabę, specjalistę języka kurdzkiego, którego szacowną pracę leksykograficzną, *uczenie* przyswoił sobie i wydał w swoim „opracowaniu” Ferdynand Justi <sup>1)</sup>. Te i inne nieprzyjemne okoliczności sprawiły, że tu u nas w Warszawie, po śmierci Antoniego Muchlińskiego i Józefa Kowalewskiego, prawie nie mamy właściwych specjalistów na tém polu; znamy zaledwo dwu młodych zwolenników tej wiedzy, którzy dopiero rozpoczynają na poważniejszą skalę swoje studia, jak np. I. A. Święcicki, który studjuje ogólnie literatury Wschodu i Ignacy Radliński, który piśmiennictwo hebrajskie i assyryjskie ma za cel swoich badań. Wielce tedy byłoby pożądaniem rozszerzenie koła tych zwolenników orientalizmu, by zapewnić dotkliwe w tej gałęzi braki literatury naszej.

Szczęśliwy wyjątek od tej ogólnej próżni orientalnej stanowi myśliciel perski, Sady z Szyrazu i jego *Gulistan*. W r. 1876 z oryginału perskiego dał nam znakomity przekład W. z Bibersteina Kazimirski, a obecnie staraniem dra I. Janickiego, a nakładem Muzeum K. Świdzińskiego mamy inny przekład tegoż dzieła, dokonany prawdopodobnie w pierwszej ćwierci XVII wieku, przez nieznaną dotąd postać w bibliografii naszej, przez Samuela Otwinowskiego. To ostatnie wydawnictwo stanowi dla nas podwójną zdobycz naukową i wysoce oryginalnego, pełnego wdzięku stylu tłumacza, Zygmuntowskie czasy przypominającego, a więc szacowny pomnik językowy i obok tego wyraźną wskazówkę literacką, że dawni Polacy nie byli tak jak my dzisiaj, obojętni na sprawy i literatury Wschodu. Zbytek więc tego dwukrotnego jednego utworu przekładu nazwać wcale nie można, bo Kazimirski pozostanie zawsze uczoną pracą, może europejskiej doniosłości, a Samuel Otwinowski będzie pięknym pomnikiem piśmiennictwa XVII wieku.

Po wydaniu *Dyaryusza sejmu piotrkowskiego z r. 1565, Aktów podkanclerskich Fr. Krasińskiego, Aktów poselskich i korespondencji Jęgoż, Korespondencji J. K. Chodkiewicza, Materyałów do dziejów rolnictwa w Polsce w XVI i XVII wieku, wespół z życiorysem Jana Ostrogora* i wreszcie po *Pamiętniku Jana Władysława Foczobuta-Odlanickiego*, obecnym, z kolei dziesiątym tomem przysłużyła się literaturze polskiej Biblioteka Ordynacji Krasińskich i Muzeum Świdzińskiego,

1) Patrz wstępny artykuł *Gaz. Warsz.* nr. 141 r. b.

stając w szlachetne szranki współubiegania się z dwu innymi, dawniej zasłużonymi ogniskami wydawniczymi, z wydawnictwami kórnickimi i Imienia Ossolińskich.

Mając zamiar ocenić wartość ostatniego wydawnictwa d-ra Janickiego, rozpatrzmy przedewszystkiem, jaka jest istotna zawartość Gulistanu Sádego, oraz względną zasługę tłumacza, a najprzód zwróćmy uwagę: dlaczego autor nazwał swą pracę *Ogrodem różanym*? Pytanie to i naszą wyłącznie obchodzić może literaturę, bo napisy dzieł tego rodzaju spotykamy u nas od XVII wieku (jak np. *Wespazyana z Kochowa Kochowskiego Ogród...* pod sznur Pisma św. i doktorów wysadzony...), to jest od tego właśnie czasu, kiedy i w Europie znany Andrzej du Ruyer i słynny podróżopisarz Olearius podali pierwsi Europie wiadomość o tym utworze Sádego, a nawet może i nieco wcześniej. Czy w tym czasie nasze *Ogrody* były prostém naśladowaniem *Ogrodów* Sádego, dowodów na to oczywiście nie mamy, ale sądząc z dat, wszelkie prawdopodobieństwo potemu widzieć mamy prawo. Co do wyrazu *różany*, to zbadanie i téj kwestyi, jeźliży ona w zupełności była możebna, miałyby jeszcze rozleglejsze znaczenie, bo dotyka nie już polskiego tylko, ale ogólnego naśladownictwa, jakie z jednej literatury przechodzą do drugiej. Symbolika róży jest tak wydatną kwestyą w estetyce i tak powszechne ma zastosowanie w literaturach europejskich, że nie od rzeczy tu będzie słówko o tém nadmienić. Powszechnie Egipt uważają za najdawniejsze ognisko prahistoryczne, od którego się rozpoczynają nasze wiadomości o symbolizowaniu tego ulubionego kwiatu, w zwojach bowiem najstarszych papyrusów miała się przechować wzmianka o róży. Ale i stare pisma Hindusów i Parsów nie milczą o niej, a co się tyczy klasycznej Hellady, to w niej róża stała się niezbędnym dodatkiem wszelkich nietylko biesiad, ale i obrzędowości greckiej; wkroczyła ona nawet w dziedzinę mytologii i stała się koniecznym warunkiem zdobienia bogów i bogiń Olimpu, poeta zaś grecki, Anakreon, najwyższy jój wielbiciel, w dziwnie poetyczny sposób opowiedział zjawienie się róży na świecie, pisząc, że gdy Anadyomene wyszła z morskiej topieli pianą okryta, a Minerwa wyskoczyła z głowy Jowisza, naówczas zdziwiona ziemia porodziła krzew róży, niecierpliwi zaś bogowie, chcąc, by pączek czémprędzej się rozwinął, skropili go wonnym nektarem. Rzym, równie jak Grecya, polubił różę, a nawet używanie i nadużywanie tego kwiatu doszło do potwornej przesady, literalnie bowiem „spoczywano na różach” i marnowano ten kwiat w najrozmaitszy sposób, gdyż nietylko zdobiono sobie głowy, ale posypywano nią podłogę, wyściełano siedzenia biesiadników, wyrabiano pomady i olejki różane, a wyuzdany Heliogabal kazał spuścić wodę z sadzawki marmurowej i napełnić ją wodą różaną. To rozmiłowanie się w róży i do średniowiecznych i późniejszych przeszło czasów i niekiedy uprawiano ją na wielką skalę, ale nigdy na taką, jak w Rzymie lub na Wschodzie. Do ostatnich nawet czasów trwa to lubownictwo, i oto czytelnicy europejscy z powodu ostatniej wojny, przypomnieli sobie, że

na półwyspie Bałkańskim istnieje dotychczas *dolina róż*, która przed rokiem jeszcze była *doliną krwi*. I tam tedy pielęgnowanie róży i wyrabianie olejku różanego trwa dotąd i przypomina właściwą na Wschodzie ojczyznę róży, Persyą, a właściwie Szyraz, który unieśmiertelnili w swoich utworach Hafiz, a przed nim nasz Sady.

Nazwa przeto *Ogród różany*, jaką dał pisarz perski utworowi swemu, nie jest ani czémś przypadkowém, bo jak widzimy, róże jako symbol piękna i miłości, tak głęboko się wryły w wyobraźni ludów, że się stać musiały koniecznymi akcentoryami poetyckimi i niezbędną symboliką w estetyce ludów Europy i Azji; nie jest ta nazwa wreszcie i czémś ogólném, jeżeli tak powiedzieć wolno kosmopolityczném, ale ma raczej ściśle lokalną cechę, bo jak powiedziałem, Szyraz w owe czasy (XIII w.) mógł być uważany za istotną ojczyznę róży, gdy uprawiana ona tam była na największą niż gdziekolwiekbądź skalę.

Treść *Ogrodu różanego*, w przekładzie Samuela Otwinowskiego, oprócz wstępu, następująca: Część I, „o obyczajach cesarzów, królów i panów wielkich,” Część II, „o obyczajach i przymiotach duchownych i regularystów;” Część III, „o cierpliwości i przestawianiu na tém, kto co ma;” Część IV, „jako spokojnym być, spokojnie żyć i mało mówić jest rzecz pożyteczna;” Część V, „o miłości z młodości pochodzącej;” Część VI, „o starości i słabości starych;” Część VII, „o obyczajach i nauce;” Część VIII, której w autografie brak końca: „o rozważeniu obyczajnych i przypowieściach różnych.” Jestto zatem, jak już z samych napisów widzimy, etyka społeczna, praktyczna filozofia życia, służyć mająca za wskazówkę do powszechnego użytku. Metoda wykładu Sądego jest taka, że zwykle opowiada jakieś zdarzenie znane mu z opowiadania lub z własnego doświadczenia, i z téj paraboli czy anegdoty wyprowadza wniosek, morał, zawarty w formie wierszowanej<sup>1)</sup>.

Owóz w rozmaitych tych kształtach gnomów, parabol, maksym i sentencji, bez żadnej pretensyi do zewnętrznego systematyzowania swoich myśli, wypowiedział Sady bardzo wiele prawd etycznych, którychby się nie powstydzili moralisci świata chrześcijańskiego. I nie mamy w tym razie czemu się dziwić, bo podobno przyjąć to można na prawdę, że istota wyższej etyki spoczywa u wszystkich ludów na tych samych podwalinach prawd odwiecznych a niewzruszonych; obocznie tylko, kształt zewnętrzny bywa nieskończenie rozmaity, i zależy

1) Mniej nas, jako nie specjalistów, zaprzętać może kwestya dokładności lub niedokładności przekładu; nawiasowo więc tylko powołujemy się na list p. Kazimierskiego do d-ra Janickiego pisany, w którym przypuszcza, że Otwinowski miał pod ręką albo przekład turecki, albo tłumacza turoczyzna słu-chał, czyli, że nie z oryginału perskiego rzecz swą wysnuł; mówi, że S. O. trochę poopuścił, niekiedy z prawdziwém znaczeniem się rozminął, przyznaje jednak, że w ogóle główny wątek myśli „dobrze i gładko oddał.” Pomijając przeto tę stronę lingwistyczną, spojrzjmy na istotę myśli Gulistanu.

tyleż od wieku, co od narodu, jako też od jednostki te prawdy wygłaszającej. Sady przeto z wielu względów zbliża się do naszych pojęć, kształtuje tylko te prawdy po swojemu: obrazowo, oryentalnie, w nieustannych allegoryach, hyperbolach, metaforach myśli swą zamykając. Mimo to jednak, a może właśnie dlatego, ma ten sposób *associatio idearum* szczególnie powab dla europejskiego czytelnika: ma barwę świeżości i jakiś samodzielnej, jakbym powiedział, ekscentryczności, rzadko gdzie rozmijającej się z ustalonymi wyobrażeniami etyki naszych czasów.

Wyżej nazwaliśmy go myślicielem, ale w istocie nie takto łatwo podobno wskazać odpowiednie jego stanowisko naukowe, oraz określić bieg i kierunek jego rozumowań; w żadnym razie nazwać go naszym filozofem nie można, jestto raczej *mędrzec* Wschodu, zbliżony do tego rodzaju myślicieli klasycznej Hellady, jeżeli nie ze względu sposobów wypowiedania myśli, to przynajmniej z wyraźnego celu praktyczności, doraźnego zastosowania w życiu prawd przez się głoszonych. Otóż ten mędrzec praktyczny świata mahometańskiego wszystko stosuje do Boga, uważa go za alfę i omegę mądrości, a świat cały i całe życie ludzkie za doczesną pielgrzymkę, w której to tylko ma istotną wartość, co z Boga, w Bogu i dla Boga się dokonało.

To podniesienie ducha prawie na wyżyny, do których się wznosił geniusz religijny Hebreów, nie wiele ma jednak wspólnego z istotną kulturą i z formami teistycznymi mędrców i proroków Starego Zakonu: Sady jest dzieckiem cywilizacji muzułmańskiej, jest odroślą filozoficzną Koranu i cechą jego myślenia, równie jak i owę księgę świętą Mahometan cechą jest zbieganie się rażących nas ostateczności. To też jak w Koranie widzimy niekiedy dziwaczną mieszaninę czystego deizmu, z Biblii zapożyczonych a obok lubieżne a nęcające dodatki jagiegoś rajy Mahometa; toż samo i Sady: obok wzniosłej etyki ma obrazy wcale niedwuznacznej niemoralności, obok rzewnego, czystego tchnienia religijnego, obrazy zmysłowości tak nagie, że nawet zepsute serce europejskiego czytelnika wzdryga się na to spaczenie natury ludzkiej i godności człowieka. Oprócz wielu ustępów tej treści po całym dziele tu i owdzie rozrzuconych, cała księga piąta: *O miłości z młodości pochodzącej*, jest tej uwagi przekonującym dowodem.

Ale spojrzymy bliżej na dodatnie strony etyki jego. Już na początku swego utworu Sady mówi, że należy „Panu Bogu dzięki czynić i modlić się, i w Jego przykazaniu żyć; bo im Mu lepiej kto służy, tym On więcej dobrego mu daje. Za każde dobre, Bogu chwale dawać i dziękować potrzeba. Mitosierdzie Boże i łaska Jego, jako deszcz każdemu dawana bywa, tak, że nikogo nie wyjmując, stół dobroczynności Pan Bóg wszystkim daje” (str. 2).

Bóg jest okiem opatrzniem ludzkości:

„Trudno to sąsiadowi wiedzieć, jak kto żyje,  
Ale Bóg wie, co z wierzchu i wewnątrz się kryje” (str. 97).



Bóg jest sprawcą wszechrzeczy i czynów ludzkich:

„Za sprawą Bożą z sadzonej trzciny, cukier dobry się stawia, a zaś za przejrzeniem Bożem daktylowa kostka w wysokie palmowe drzewo się obraca” (str. 2); albo:

„Sam Bóg i nieprzyjaźnią i przyjaźnią włada,  
I każda z nich tylko tam, gdzie każe pada” (str. 55).

Dlatego też, kto chce być dobrym mazułmaninem, cały oddać się ma Panu Bogu:

„Kto tedy między wierne chce być policzony,  
Niech ma umysł do Boga wszystkich obrócony” (str. 56).

Ta miłość Bóstwa doprowadzić może człowieka do ofiarnictwa, do bezwzględnego poświęcenia się, co w wysoce poetyczny sposób Sady wyraził w tych słowach:

„Ćma, maluczki robaczek, tak ogień miłuje,  
Ze zajrzanego nigdziej już nie odstępuje;  
Owszem się z zapaloną świecą tak pobraci,  
I że ono swe braterstwo duszą swą zapłaci.  
Niech się każdy uczy takowej miłości:  
W prostocie postępować z Bogiem i w szczerości” (str. 4).

Z tego źródła, t. j. z miłości Bóstwa płynie wszystka moralna wartość człowieka, wszystkie dobre postęпки i przymioty moralne, jak np. zapomnienie uraz:

„Odpuść szczerze, a w wiecznym utop zapomnieniu,  
Jeśli chcesz swemu dobrze usłużyć sumieniu” (str. 116);

poskramianie namiętności:

„Próżno się ten siłą i męztwem przechwala,  
Kto złym żądzom nad sobą zwycięztwa pozwala” (str. 117);

wstrzemięźliwość i uczynność:

„Używaj ty, człowiecze, skromnie, coć Bóg dawa,  
I udzielaj drugim chleba, pókić stawa;  
Bo nietylko ztąd żadnej nie będziesz miał szkody,  
Ale i owszem wiecznej powien bądź nagrody” (str. 144);

albo:

„Kto post i wstrzemięźliwość swą inszym przedaje,  
Pali, do gumna zwiozłszy swoje urodzaje;  
Niepotrzebnie przez wiek swój myśl swoją bogacił,  
Ponieważ nic nie kupił, a złoto utracił” (str. 231);

Poprzestawanie na małym:

„Ci co umieją na male przestawać,  
Obmów się ludzkich mogą nie obawiać” (str. 36);

cierpliwość, którą w osobie żebraka arabskiego tak wypowiada Sady: „Uczyń mię bogatym, o cierpliwości, bo kto ciebie niema, ten rozumu niema” (str. 122).

Żeby się zbliżyć do tego ideału prawego muzułmanina, potrzebne są nietylko wspomniane wyżej przymioty, ale oraz post, pokuta, „która od bożego gniewu człowieka chroni” (str. 96), a przede wszystkim modlitwa, którą w ten szczytny sposób, godny pióra Kochanowskiego sformułował S. Otwinowski:

„W każdy dzień co ichkolwiek w rok się liczyć może,  
Na twardej ziemi kładę twarz ku czci Twój, Boże;  
A myśli wszystkie moje są o samym Tobie:  
Proszę, chciej też mię kiedy Ty przypomnieć sobie” (str. 78).

Drogą tych i innych cnót, a przede wszystkim drogą modlitwy, dochodzi człowiek do czystości duszy, która prowadzi go do uwielbienia Najwyższego i do wielkiej miłości ludzi, co Sady wielce poetycznie i rzewnie temi wypowiada słowa:

„O! jakoz mię uszczęścił Bóg wielkiej miłości,  
Że nie umiem, nie mogę ludziom czynić złości” (str. 125).

Właściwie mówiąc i wszystkie inne strony życia i stosunków ludzkich, jakich w swém dziele dotyka myśliciel z Szyrazu, z powyższego wypływają źródła, t. j. wszystkie warunki uobyczajenia i cnót społecznych, np. miłość ziemi rodzinnej, poszanowanie przeszłości, (str. 74, 75), miłość rodzicielska, t. j. miłość dzieci i rodziny (str. 107), miłość synowska (str. 206), staranne wychowanie tych dzieci (str. 22, 23), o ile ono jest w granicach możebności rodziców, bo z przyciskiem mówi Sady, że tylko wtedy coś z dzieckiem zrobić można, kiedy kto do nauki ma chęć z przyrodzenia,” w przeciwnym bowiem razie nic z nieuka, z osła, jak nazywa, nie będzie, co w tak plastyczny sposób omawia:

„Na osle, Jezus prorok miał swój wjazd do Mechy,  
A przecież osiel osłem: zdechł bez wszój pociechy” (str. 197).

Toż samo powiedzieć trzeba o oszczędności, gościnności, o milczeniu, o pokorze, o litości nad nieszczęśliwym i t. d. Jeżeli dodamy do tego, że w całym dziele rozrzucone są bardzo trafne uwagi o rozmaitych wadach i ułomnościach ludzkich, o zazdrości, chciwości i obzarności i t. d., to będziemy mieli całą skalę etyki Sádego, niezależnie od obrazowania miejscowych stosunków krajowych, które jako wyłącznie lokalny mające charakter, mniej nas obchodzą.

W wielu miejscach *Gulistanu* powołuje się Sady na Al-Koran, na znanych sobie mędrców Wschodu, niekiedy na biblię; ale uważniej badając istotę jego myśli, dochodzimy do przekonania, że inne jeszcze żywioły weszły w skład jego filozofii, a mianowicie: mędrzy i myśliciele greccy. W kilku miejscach *Gulistanu* jest mowa o stosunkach z Gre-

cyą, ale choćby tego wcale nie było, to liczne spotykamy dowody, świadczące o powinowactwie duchowem jego morałów i apologów z zdaniem Platona, Arystotelesa, a nawet może Epikura, Antystenesa i Dyogenesa. Tak np. już z powyższych cytat nie trudno widzieć, że w zakresie moralistyki Sądego znajdują się wszystkie znane cnoty kardynalne Platona, t. j. *męstwo, mądrość, wstrzemięźliwość i sprawiedliwość*, a z nich zwłaszcza dwie ostatnie bardzo wyraźnie są uwydatnione w *Gulistanie*. Toż samo powiedziéćby można o zapożyczeniu pierwowzorów z etyki Arystotelesa: jak ów myśliciel grecki i Sady szuka *szczęścia, cnoty i dobra*, a wśród nich wyróżniamy u Sądego pojęcie cnoty, która właśnie na sposób Arystotelesa jest czémś środkującym pomiędzy wymaganiami rozumu z jednej, a popędami egoistycznymi z drugiej strony. Nie chodzi jednak wcale autorowi *Gulistanu*, jak owym myślicielom greckim o zupełne wyczerpanie zakresu etyki, nie chodzi mu o wiedzę teoretyczną, ale tylko o praktyczne téj wiedzy zastosowanie. To téż twierdzi:

„Chcesz wiedzić, co jest człowieka dobrego powinność,  
Wiedźże: iż miłosierdzie, ludzkość i uczynność” (str. 208).

Samo nawet nabywanie wiedzy z życia, z doświadczenia, a nie z ksiąg czerpać chce. „Lokmana, mówi Sady (str. 12), najpierwszego doktora, pytano:

— Rozumu od kogoś się nauczył?

Odpowiedział:

— Od ślepych, bo pierwój nogą macają, niż stąpią.

Idea swobody wewnętrznej i owa znana *apateja* Dyogenesa, także dość wyraziście się zarysowuje na tle tych parabol i sentencji myśliciela-poety perskiego. Pod tym względem dość wskazać na str. 60, 90, 114 i dalsze. W celu wyjaśnienia stopnia i charakteru tego powinowactwa, wypisujemy tu taki ustęp:

„Jeden derwisz *obnażony*, na jedném miejscu dalekiém, regułę osobności trzymając, siedział. Cesarz mimo óń jadąc, pilno mu się przypatrował. Derwisz jakby nie widział, oczu swych ku górze nie podniósł, ani się ruszył. Cesarzowi to niemiło było i rzekł do wezyra, który z nim był:

— Ci ludzie podobni są bydłtom: obyczajów, ani ludzkości nie mają.

Zrozumiawszy wezyr cesarskie słowo, rzekł derwiszowi:

— Pan ziemski mimo cię jechał, czemuś mu uczciwości nie uczynił?

— Niech się od tego uczciwości i ukłonu spodziewa, który się téż urzędu i dostojęństwa od niego nadziewa. Więc i to powiedz, że ubodzy poddani nie dla zachowania królów, ale królowie dla strzeżenia i obmyślenia pokoju ich są (...).

Te słowa przeraziły cesarza i rzekł derwiszowi:

— Proś mię o co, derwisz?

— O to cię, cesarzu, proszę, abyś *drugi raz tędy nie jeździł, a wczasu mi mego nie przeszkadzał.*”

Któż w tej opowieści nie przypomni sobie pospolicie znanego spotkania się Aleksandra z Dyogenesem?

Z tego wszystkiego, co się powiedziało wyżej, można stworzyć sobie pojęcie, jakie były podwaliny filozofii Sádego: Koran, biblia, ewangelia, mędrcy Wschodu, oraz myśliciele Grecyi: oto pierwiastki składowe etyki w *Gulistanie* zawartój.

Tak zbudowana ta księga mądrości wschodniej, od XVII wieku zaczęła obiegać Europę i wsiąkła w myśli i utwory naszych uczonych i poetów. Ale, jeżeli łatwo było wykazać zapożyczanie się Sádego od Europejczyków, to nierównie trudniej wyjaśnić, kto i kiedy się zapożycał od Sádego. Nateraz dość nam wspomnieć, że dr. Janicki rzucił bardzo trafną uwagę, wskazując na *Bajki* Krasickiego, których źródłem niewątpliwie były wymienione ustępy *Gulistanu*. Takich ustępów, oprócz wspomnianych przez wydawcę, znalazłoby się nieco więcej; tak np. na str. 222, 224 i 225 czytamy myśli również przypominające naszego bajkopisarza.

Ale nietylko w XVIII, ale może nawet w XVII już w., w literaturze naszej znaleźć można to powinowactwo z myślami Sádego, a może wprost zapożyczanie się od niego. Tak np. w *Przysłowiach mów potocznych* Jędrzeja Maks. Fredry (Kraków 1658 r.), pomiędzy innemi czytamy takie sentencje: „Łakomy, gdy umiera, wtenczas najprzydatniejszy ludziom.” „Wielkie rzeczy najlepiej zamilknięciem się mówią.” „Najlepiej o Bogu mówi, kto nie mówi; lecz podziwieniem dokłada,” i inne podobne, które wielokrotnie się powtarzają u Sádego.

Zresztą kwestya wpływu *Gulistanu* na piśmiennictwo nasze, nie da się ściśle określić już z tego względu, że trudno jest wskazać z całą dokładnością: kiedyobecny przekład dokonany został? P. Janicki w przedmowie bardzo pracowicie zgromadził wiadomości, jakie się zebrać dało, z Niesieckiego, Okolskiego i innych źródeł, z których wyprowadza wniosek, że przekład wykonany być musiał pomiędzy rokiem 1610 i 1625; zawsze jednak jestto tylko prawdopodobieństwo, ale jeszcze nie fakt, który radzibyśmy widzieć. Że jednak to przypuszczenie ma za sobą wszystkie pozory słuszności, to z naszej strony potwierdzić je możemy ustępem z samegoż *Gulistanu* wziętym. Na str. 240, Otwinowski temi słowy wykłada tekst Sádego:

„Co się prędko wznieci,  
Niedługo świeci,” dodając:

mądrzy powiedzieli.

Jestto, jak wiadomo, *dostłowne* powtórzenie przysłowia Salomona Rysińskiego; a ponieważ z bibliografii naszej wiemy, że *Proverbium Polonicorum centuriae duodecim* i t. d. wyszły poraz pierwszy w r. 1618 w Lubczu, ztąd niebezczasny mamy prawo zrobić wniosek, że Samuel Otwinowski, dla łatwiejszego wyrażenia myśli pierwowzoru Sádego, mógł

wziąć znane już sobie przysłowie Rysińskiego, czyli że pisał przekład po r. 1618.

Cóżkolwiekbyś, zwracając uwagę na styl, na formy językowe, potrzebaby raczej wcześniejsze niż późniejsze przyjmować daty przekładu; tak bardzo bowiem język ten przypomina piękne czasy Zygmunta i to pierwszej połowy XVI wieku, co zresztą wyraźnie nadmieniam D. Janicki, wskazując główne zwroty staropolskie.

Jeżeli jednak mamy patrzeć na obecny utwór, jako na wyłączny *pomnik językowy*, to starannemu wydawnictwu temu, za które rzetelna wydawcom należy się zasługa, pozwolimy jednak sobie jedyną zrobić uwagę: podług naszego zdania, z wyjątkiem chyba wyraźnych błędów przepisywacza, nic a nic nie należało modernizować, nie tylko form językowych (które tu dokładnie wszędzie zachowano), ale i pisowni nawet. Wszak to jest dokument, z którego przyszli badacze językowi czerpać będą podstawy do wniosków swoich. Nie trafia więc do naszego przekonania, co mówi D. Janicki na str. 17, o niestałości pisowni rodzajowania przymiotników w rękopiśmie Otwinowskiego, bo porównawszy z autografem, ile mi czas pozwolił, obecne wydawnictwo, doszedłem do wniosku przeciwnego, t. j. że stale *jedną pisownią widzimy* wszędzie zachowywaną. Tak np. na str. 2 oryginału czytamy; *za każdym technieniem, przedtym*; na str. 3: *umysłem dobrym*; na str. 5: *jednym technieniem, łagodnymi słowy*; na str. 7: *na jednym wysokim i barzo wesolym mirjsęu*; na str. 8: *pod twym imieniem*; na str. 22: *o jednym królu*; na str. 30: *z drugim towarzystwem*; na str. 44: *w żywocie swym*; na str. 121: *rozmaitymi gadkami*; na str. 125: *w naszym towarzystwie*.

Kończąc sprawozdanie nasze, nadmieniamy jeszcze, że książka, o której była mowa, dedykowana jest przez wydawcę J. I. Kraszewskiemu, któremu wydobyć swoje z ukrycia zawdzięcza; należy przeto do licznego szeregu dzieł *roku jubileuszowego*, zacnego Nestora piśmiennictwa naszego. Obyśmy takie jubileusze i takie wydawnictwa jaknajczęściej święcili.

d. 8 lipca 1879 r.

Antoni Bądzkiewicz.

Czesław. Poezye. Zeszyt I. Warszawa, 1879 r. Druk K. Kowalewskiego.

Pod takim napisem występuje na świat niewielka książeczka (o 96 stron.), ale w podjętym przez siebie promieniu wcale ponętna i dobrze wroźąca o siłach autora. Kierunek jasno tu wytknięty, wyowiada go wiersz początkowy p. n.: *Oświeć mię Panie!* Autor umiłował tradycją, z czego najserdeczniej wynurza się w tej gorącej apoteozie do *Wielu* (dzisiejszego):

„U stóp twoich, szata staroświecka pobryzgana krwią i złotem. Płaszcz twój, płaszcz bez nazwy, szyty lnem i złotem; gdy wichur nim wstrząśnie i rozstąpi obie jego strony, to świat nie wie, czy ty świecisz królewską purpurą, czy łachmanem nędzy.”

Wprawdzie niedość stanowczo odgadujemy, co nasz śpiewak uważa w tym tytanie za łachmany, a co za purpurą królewską; lepiej jednak i zaszczytniej domniemywać się tu skargi na pewne *zobojętnienie etyczne*, na powolne stygnięcie atmosfery społecznej (podług nas pozorne tylko), aniżeli jakiegoś tam dąsania się na postęp materyalny i rozrost ducha ludzkiego we wszystkich kierunkach.

W wierszu: *Z dziejów wieku* (str. 3 i dalej) mamy widoczną przymówkę do elegicznego nastroju, w niedawno zamkniętym okresie naszej poezji. Że to rzeczywiście była chwila muzyki *coi sordini*, nie przeczymy; nie przeczymy też całkowicie zdania, wyrzeczonego w drugiej zwrotce (str. 4); ale wręcz protestujemy przeciw temu, co nasz śpiewak (i bardzo wielu za nim i przed nim) mówi dalej:

„Przeto marny był to śpiew, bo jak garść bezpłodnych plew, na szeroką padał błoń, a na pola ukochane ziarna, z obcych niw zebrane rozsiewała obca dłoń.”

Na str. 5, w pierwszych trzech ustępach mamy znowu przestrożę, ładnie przykrojoną, ale niewłaściwą, bo w nią pokrzyżowały się sprawy konkretne z ideałami, rzeczy ziemskie z boskimi. Śpiewakowi, choć zapewne młodszemu laty, odpowiadamy, że w górze „nad zagonem” jest coś więcej, jak *kraina snów*. Luneta astronomów i intuicyja wieszczów, powytykały już tam drogi i stacye, przytęm i sam autor, często się tam zapuszczał w swych pieśniach; nie należało mu więc zamykać furtki za sobą.

Wiersz: *Nie mów*, jest prześliczny. W *Grunwaldzie* (str. 15—19), pomimo niewolniczej zwykle roli libretta *po* muzyce, autor nieraz odzywa się energicznie:

„Tuman kurzawy nad wzgórzem się kłębi,  
Białe kohorty stają na wyżynie,  
Jak wielkie stado ofiarnych gołębi” i t. d.

Arcy-niespodziewanym, arcy-nieprzewidzianym jest tam wykrzyknikowy ustęp (str. 19):

„O! spójrzcie wnuki olbrzymów plemienia,  
W twarz ojcom waszym, a może *rumieńcem*  
Spłoną wam lica, że do grobów cienia  
Poszli *ostatni* oni z sławy wieńcem.”

Widoczne autor odebrał tu wet za wet, bo w zakończeniu jak i myśl, tak i rytm mu się nie powiódł „i ten wiersz wraz mu stwardniał.”

Z całą szczerością bratnią odradzamy autorowi wprowadzanie na szerszą skalę humoryzmu, który zaledwie w poematach wielkiego

rozmiaru, jak *Don Żuan* lub *Beniowski*, usprawiedliwie się dają. Cała oktawa ostatnia (na str. 33):

„Poetyczniej, w sen wpadam niebieski” i. t. d.

jest niepotrzebnym skopiowaniem Słowackiego, nad które przekładamy naśladowane z niego: *Smutno mi, Boże!* Również zagadkowe wrażenie sprawiają wiersze tego rodzaju: jak:

„Zachwycano się uderzeń gradacyą,  
Dziś ta choroba zwie się palpitacyą;”

albo na str. 41:

„O, ty młodości! ty nad poziomy  
Ulatująca...”

Nie! szanowny śpiewaku! nie są to czasy Arystofanesa, iżby nam godziło się z zimną krwią przestrajać małe tercyje na wielkie w cudzej pieśni — nie po to owa myśl wzlatywała nad poziomy, aby „sądzić, że zemdleje, albo co najmniej, że na miejscu skona;” nie po to: nie po to. Niepotrzebnie też do zalet młodziana: „oczów ślicznych, modnego ubrania, pijania wody i różnych cnót niemałych a licznych” weszła i znajomość „wszystkich przepisów ewangelicznych,” gdyż wiele poświęceń robią śmiertelnicy dla rymu; jednakże są granice, które, nie wątpimy, instykt zachowawczy i autorowi uznać nakazuje.

Jeszcze słówko ogólne. Autor *Poezyi* ma niezaprzeczoną łatwość wysnuwania się, uczucie rytmu na różnych stopniach wcielania myśli. Nie podejmując się zadań szerszych, na wzruszenia domowe, rodzinne, ogólnie ludzkie, ma w zasobie dźwięki wydatne, klarowne, nieraz i serdeczne, gorące. Co do języka, podkreślamy pewne usterki, od których niewątpliwie i sam gotów będzie odstąpić: „człek, niebiesny, doszedło (do celu), żebrzeć, nie wracać mi w otchłań, serce zabiło, dziecko zostało jedno (=samo), nadziei (od *nadzieja*), zaśmiał się.”

Mniej, a raczej jaknajmniej subiektywizmu, nie nadużywanie krepy (przeciw czemu i sam śpiewak nasz występuje, str. 4), wyraźne ograniczanie faktów od abstrakcyi, surowa baczność na subtelności ducha mowy: oto są ostatecznie sformułowane wymagania nasze. Cześć dla idei, a dobrze wróżące zadatki, w niniejszym zeszycie złożone, nakazywały nam wyświetlenie obu stron medalu.

Bodajbyśmy w następnych utworach spotkali więcej takich wierszy, jak następujący (str. 13):

### Nie mów!

O! nie mów nigdy, że wśród walki życia,  
Twój duch złamany sam sobą nie władał  
Wśród snów i marzeń szalonych rozbioła  
Zostaje człowiek, choć Tytan upada.

O! nie mów nigdy, że na łez dolinie,  
 Promień ci szczęścia nie zaświeci więcej;  
 Łza twoja z serca wystygłego płynie:  
 Rzuć dumną skargę, ukochaj goręcej.

O! nie mów nigdy, że dla ciebie trzeba  
 Innego świata, innych na nim ludzi;  
 My wszyscy równi, my „zjadacze chleba:”  
 Równa nam praca ducha i dłoń trzodzi.

Z braćmi w szeregu stań na wspólnej roli  
 Do pracy wspólnej, nie do skarg i waśni;  
 Pomóż im dźwigać brzemię ciężkiej doli,  
 A bratni uśmiech czoło ci rozjaśni.

A w sercach bratnich ujżysz, jak w odbiciu  
 Własnego serca stare jak świat dzieje;  
 Ujżysz łzy krwawe przelane w ukryciu,  
 Przebyte burze, stargane nadzieje.  
 Wśród walk życiowych, ty wytrwasz do końca,  
 Tylko nie rzucaj przed czasem oręża;  
 Tylko nie sięgaj po gwiazdy i słońca!  
 Tytan upada, lecz człowiek zwycięża!

*Biesiada u milionera rzymskiego*, za czasów Nerona, według satyrykonu Petroniusza Arbitra, przez Wład. Mich. Dębickiego. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1879. Nakładem Nestora Złowodzkiego, kandydata nauk historyczno-filologicznych. Drukiem J. Noskowskiego.

Dziejopis Platina mówi o Tyberyszu, że nie można umieścić go ani w rządzie dobrych, ani w rządzie złych książąt. O! jakże pod tym względem szczęśliwszym jest Nero! Ten bohater Hamerlinga i Siemiradzkiego, pozabijawszy „tylu znakomitych mężów i cnotę” <sup>1)</sup>, a wreszcie i samego siebie; ten Cezar-flecista obok ulubionego przysłowia swego „wszelka ziemia żywi sztukę” <sup>2)</sup> mógł sobie powiedzieć w chwili, gdy się przebijał pożyczanym mieczem, że potomność co do niego, wątpliwością wyboru mozolić się nie będzie. Autor książki, której słów kilka poświęcić zamierzamy, znany lingwista i myśliciel, p. Wład. Mich. Dębicki, zamierzył sobie do ilustracyi nerońskich dodać mało u nas znany, arcycharakterystyczny przyczynek—*Biesiady u milionera rzymskiego*; przedstawia nam już nie profil, lecz rzeźbąw dotykałność ohydy, w jaką ubrnęła społeczność rzymska w pierwszych już latach po

<sup>1)</sup> Trucidatis tot insiquibus viris, ad postremum Nero virtutem ipsam excoindere concupivit (Tacit ann. XVI).

<sup>2)</sup> Artem quaevis terra alit.



Auguście. Powieść o *uczcie u milionera* wychodzi tu z ust Petroniusza, satyryka współczesnego Neronowi, ba nawet zaszczyconego szczególniejszą łaską Nerona, przy którym miał szczęście być „arbitrem elegancyi” aż do owjej chwili, kiedy zwykłemi wówczas okolicznościami znaglonym został do podcięcia sobie żył, jak Seneka i tylu innych wybrańców Cezara-flecity. Z krótkiego ale energicznego zagajenia, jakie nam daje p. Dębicki na wstępie (str. 2—4), poczuwamy, że zabierał głos pod wrażeniem majestatu zgrozy, tak naturalném, tak właściwém naszymu, dzięki Bogu czerstwemu jeszcze instynktowi: „Za dni Cezarów, mówi p. Dębicki, w zaraniu nowjej ery wszechdziejów, zgotowanej światu przez opowiadaczy *Dobrej Nowiny*, kiedy społeczeństwo rzymskie dogorywała gnuśnie na barłogu nadludzkiej, zda się, nędzy moralnej, dzwigając trupiejącemi ramiony złocisty tron gwałtu, wyuzdania zwierzęcego i żądz bezdennjej, a występki staną na skraju przepaści, rozwinęła się szczególniej jedna gałąź literatury, gałąź czysto rzymska: *córa nie muz, lecz furyi*: satyra.”

Przyklaskujemy szczególniej ostatnim wyrazom. Satyra ówczesna nie była rzeczywiście córką muz i być mogła jedynie córką furyi. W pierwszych dobach kultury towarzyskiej i politycznej, niedość ściśle odgraniczona od komizmu, t. j. od nadmiaru błogości spokojnej, neutralnej, satyra bywa następnie zwiastunką rozkładu społeczeństwa. Jeżeli ten rozkład tamują i odwlekają jeszcze do czasu zasoby sił na innych organach psującego się ciała, wówczas satyra z przyrodzonej konieczności stać się musi gwałtowną, juvenalowską, co to bije pięściami, jak mówi myśliciel niemiecki, satyrą jędz mścicielek, bo mści się za przeciągłe męki dogorywania. Poeta takiej epoki, jeżeli znajdzie się tu wypadkiem, wciela nemezę w wykrzyki pasującej się boleści; dziejopis tworzy epopeę, skryształizowaną w charakterystykę osób, powieściarz w dramatowe obrazy niecnoty i poniżenia: ale wszyscy razem są satyrykami. Dobrze więc, że p. Dębicki przyznaje słuszność temu zdaniu ówczesnego krytyka Kwintyliana: „Satyra jest cała naszą” (rzymską), nikt też Rzymianom ówczesnym nie myśli jej zaprzeczać. „Jestto, mówi nasz autor, jedyny rodzaj poezyi, który mógł puścić bujniejsze korzenie, w przegniłej glebie ówczesnych stosunków rzymskich.” Nic słusniejszego nad te wyrazy, dopóki autor rozumie tu rozgłos poety, popularność jego utworów, ponieważ hołdy podobnej, upadłej współczesności, bytyby raczej znieważeniem poezyi. Ale to dziwna, że nie doszło nas z owjej epoki nic takiego, coby świadczyło o prawdziwie poetycznym proteście.

To chyba już nie gatunkowy jakiś fakt, bo nie Nero wytworzył Romę Burrów i Tygellinów, lecz Roma wytworzyła jego i jemu podobnych: *divum inclementia, divum* (bogów to było niełaska, bogów), że pozwoliły losom postawić na pozycyi masę nie zdolną do zbratania i zespolenia ludów, mechanicznie tylko ściekających do Rzymu, jakby ciężeniem fizycznym, do sztucznie wyżłobionej kotliny, a to, pod trafnie sformułowanemi przez autora siłami „złota i pięści.”

Zaprawdę też „na takiej niwie rozpasania ogólnego, w cuchnącej atmosferze smoty i występku, wyrosła i rozwinęła się słynnie satyra rzymska” (str. 3).

W ustępie drugim, p. Dębicki obznajmia czytelnika z Gajusem (czy też Tytusem) Petroniuszem (utwórcą Satyrykonu), i przytacza jego charakterystykę z *Roczników* Tacyta, od którego, pomiędzy innymi rzeczami, dowiadujemy się że Petroniuszowi pozazdrościł łask Neronowych, straszliwy zausznik jego, Tygellin. Ten, korzystając „z krwiożerczości Nerona, przewyższającej inne namiętności tego władcy,” oskarżył Petroniusza i wskutek tego oskarżenia, podążający w podróży za władcą Petroniusz, został uwięziony (str. 7). P. Dębicki podaje treść zachowanych dotąd części Satyrykonu, z niektórych przytacza obszerniejsze ustępy, wreszcie fragment V podaje w całości (*Biesiadę*). Fragment XIII (Matrona u Efezu) jest dowcipną humoreską, prawie że w angielskim nastroju (str. 21—26).

Zgadamy się też z autorem na to, że w literaturze nowożytniej znajduje się osobistość nader podobna do mistrza zabaw na dworze Nerona. Jest nią, według mniemania p. Dębickiego, satyryk angielski, dworak Karola II, John Rochester (str. 9). Na szczęście, Rochester, przed zgonem pojednał się z cnotą, ulegając budującej wymowie biskupa Burneta, który nawet zostawił nam piśmienniczą pamiątkę tej konferencji <sup>1)</sup>.

Znaczenie Satyrykonu Petroniusza, jak sprawiedliwie wyraża się nasz autor, dla historii cywilizacji, dla dziejów prywatnego życia Rzymian w okresie cesarskim, jest pierwszorzędowe. Niemniej ważnym jest on i dla znajomości języka ludowego (*lingua romana rustica*), to jest owęj gwary, której Rzym patrycyuszów wyrzekł się i przytkoczył ją warstwą obcą napływową (przez co i ciało i duch poezji rzymskiej nigdy się nie wzbily do prawdziwej swojszczyzny).

Żałujemy tylko, że p. Dębicki nie uznał za stosowne, choćby tylko wycieczkowo, rozszerzyć się nad zapytaniem o autentyczności rękopisu. Nie przymawiamy się o nie dlatego, abyśmy żywili jakieś skrupuły sceptyczne; lecz autor nasz, jako filolog, pojmuje, że i dla wymagań krytyki starożytniczej zrobić nieco należy, i na ten więc przyczynek czekamy.

Po wstępnem zagajeniu, wiadomościach dotyczących Satyryka i jego ocalonych dotąd utworów, autor nasz podaje (od str. 31 do końca str. 108) powieść tytułową (*Biesiada Trymalchiona*) w wyborném tłumaczeniu, jędrnym, typowo polskim językiem, (przymiot, napozór prosty, ale w przekładach szczególniej utworów humorystyki, łatwiejszy

<sup>1)</sup> Eart J. Rochester (ur. 1647 † 1680) napisał mnóstwo utworów lirycznych, arcydowcipnych, ale zbyt spokrewnionych w tonie z niektórymi utworami Węgierskiego.

do wygłoszenia, niż do wykonania). Oto np. ustęp, malujący złoty humor szczęśliwego dorobkowicza, któremu Epikureizm przesadził duszę do żołądka.

„To niebo, w którym mieszka dwunastu bogów, przeobraża się w tyleż odmiennych figur i teraz np. ma postać barana. Kto się pod tym znakiem urodził, posiadać będzie liczne trzody i dużo wełny, prócz tego łeb twardy, bezwstydne czoło i ostry róg. Pod tym znakiem rodzi się najwięcej bakałarzy i skopów.

„Pochwaliliśmy ten koncept matematyczny gospodarza, a on zachęcony uznaniem, jął dalej prawić: „Przypatrzmy się niebu np. w postaci byczka. Pod tym znakiem rodzą się uparciuchy, pasterze wołów i ci, co na własnym zagonie wyżywić się potrafią. Pod bliźniętami rodzą się konie zaprzęgowe, woły ornite, jądra i ludzie, co zwykle na dwu stołkach siadają. Co do mnie, przyszedłem na świat pod rakiem, dlatego też stoję na wielu nogach i posiadam wiele na morzu i na lądzie, bo rak należy i do jednego i do drugiego. Zdawna już zakazałem kłaść nań potrawy, aby nie uciskać swojej genezy. Pod lwem rodzą się żarłocy i chciwi panowania; pod panną: kobiety, zbiegowie i kajdaniarze; pod wagą: rzeźnicy, handlujący wonnościami i w ogóle kramarze; pod niedźwiadkiem: truciciele i sztyletnicy; pod strzelcem: zezowaci, co patrzą na kapustę, a kradną słoninę; pod koziorożcem: nieboracy, którym z biedy i kłopotów rogi na głowie rosną; pod wodnikiem: szynkarze i postrzelone pałki; wreszcie pod znakiem ryb: kucharze i retorowie. Tak się to niebo kręci, niby koło młyńskie, a zawsze musi wyrzucić coś niedobrego, gdyż ludzie albo się rodzą, albo umierają. Widzieliście tam w środku kawał darni, a na nim plaster miodu; nie myślcie, żeby w tém nie było jakiegóś racyi, bo, moi kochani, Trimalchion nic bez przyczyny nie robi. Matka ziemia wisi w środku przestworza, zaokrąglona jest przytém jak jaje, a mieści w sobie wszystko dobre, niby susz pszczelny.”

## WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

### WARSZAWA.

*Sierpień 1879 r.*— Nowego pisma czasowego *Ogrodnik Polski* (którego ukazanie się tak bratersko powitał niedawno nieodżałowany nasz Kazimierz Wł. Woycicki!) wyszedł nr. 3 i 4. Mamy tu pomiędzy innemi, utwory pióra redaktora p. Edmunda Jankowskiego, dra J. Aleksandrowicza, pp. Władysława Kaczyńskiego, Piotra Hoosera.

— P. Holewiński Wacław, magister nauk przyrodzonych, wydał (czytane w Warszawie na dochód Muzeum Kopernika) studyum swoje p. n. *Zaslugi Kopernika dla cywilizacji*. (Warszawa, w drukarni *Przeglądu Tygodniowego*). Pracę swoją autor poświęca doktorowi Arturowi Wołyńskiemu i Cezarowi Polewce.

— „Wydawnictwo Spółki nakładowej” w dalszym ciągu swoich publikacji wydało następujące dramata W. Okońskiego (w jednym tomie), a mianowicie: *Antea na targu* w 1 akcie, przedmiot z dziejów niewolnictwa greckiego. *Helvia* w 1 akcie, z pierwszych chwil wszechwładztwa Cezara, napisany jak sam autor powiada, pod urokiem „słynnej powieści znakomitego pisarza włoskiego Rovaniego.” *Poddanka*, dramat w 1 akcie; przedmiot tego dramatu dotyka dziejów naszego społeczeństwa w pierwszych latach XIX wieku. *Blazen*, dramat w 1 akcie, również treści społecznej, z wieku zeszłego: ideą przewodniczą jest ta walka pracy z potęgą, tocząca się na polu autorstwa.

— Dzięki ofiarności młodych dobrej woli, niezadługo ujrzymy wprowadzoną w czyn myśl arcy-żywną, myśl otworzenia zakładu prywatnego dla młodzi, poświęcającej się sztuce i rzemiosłu. I dotąd wprawdzie społeczność nasza nie odmawiała nigdy pewnego uznania pracom mechanicznym, ale uznanie to nie opierało się na podstawie wzniolejszej nad pobudki czystej użyteczności. Podniesienie wszakże społecznego stanowiska pracy mechanicznej nie może dokonać się jakąś zewnętrzną odezwą, rozkazem do opinii publicznej. Nie — znaczenie i powaga towarzyska wyrosć tu może jedynie w drodze samodzielności, przez wykształcenie się pracowników ogólnie ludzkie, przez oparcie się samej pracy na ożywych podstawach *inteligencji*. Odsunięcie ucznia rzemieślniczego od tego co jest ludzkim, w podniolejszem znaczeniu wyrazu, wprowadzanie go na wyżynę przez jakieś feudalne schody i schodki „posługacza, nosiwody, popychadła” i t. d., zgoda tysiączne wady, towarzyszące wstępnemu wychowaniu generacji rzemieślniczej, nie mogły wpłynąć na uczynienie jej podstawy w składzie towarzyskim; mogły one tylko odstraszać warstwę, *wykształceńszą domowo*, od rzemiosła i rękodzielstwa.

Nic przeto pożądanego być nie mogło nad projekt utworzenia takiej szkoły, w którejby lata najważniejsze w życiu przyszłego rzemieślnika i rękodzielnika poświęconemi być mogły nie na jakąś kwarrantannę upośledzenia, bezwiednej bierności lub służalstwa, a to wśród dwu skrajności: wśród źle skierowanego mozołu w dniu powszednim, a wstrętnego *farniente* w dni świąteczne; ale przeciwnie: któraby wprowadzała go na drogę rzetelną *studyów* w kierunku przyszłego zawodu, opartych na ogólnie ludzkim wykształceniu.

W mającej się otworzyć „Szkołe prywatnej, trzyklasowej, z nauką rzemiosła i rękodzielstwa,” wykładanemi będą w myśl decyzji Władzy, której zatwierdzenie już nastąpiło: a) od godziny 8—12: Religia; języki: ruski, polski i niemiecki; arytmetyka i geometrya z rysunkiem geometrycznym; wiadomości z nauk przyrodzonych: fizyki i chemii; geografia i historia Rossyi i Polski; rysunek linearny i kaligrafia,

b) w godzinach popołudniowych (od 3—7) odbywać się będzie praktyczny wykład rzemiosł i rękodzieł: szewstwa, krawiectwa, rymarstwa i kuśnierstwa; stolarstwa, ślusarstwa, tokarstwa na drzewie i metalu, kowalstwa. Kurs każdej klasy będzie dwuletni. Kierownictwo Szkoły przyjął na siebie zastuszony na polu pedagogicznem, chlubnie przez swoich uczniów wspominany dotąd, b. nauczyciel gimnazjum, oraz nadzorca czteroklasowej szkoły rzemieślniczej, obecnie emeryt, p. Józef Łapiński. Szanowny kierownik, mającej się otworzyć szkoły, położył i zasługi literackie. Jego dzieło matematyczne, z należnym uznaniem przyjętém zostało w swoim czasie przez krytykę naukową <sup>1)</sup>.

Szkoła ma być otwartą roku bieżącego w październiku.

— W Moskwie, w drukarni Uniwersytetu wyszedł przekład: *Wybranych poezji Ludwika Kondratowicza* (Władysława Syrokomli), *Izbrannyja Stichotworenija*. Wydanie W. M. Ławrowa i W. A. Fedotowa (tom I).

Wydawcy oświadczają we wstępnej przedmowie, że obecna publikacja składać się będzie z dwu tomów. Tłómaczami utworów, w tym tomie zawartych, są pp.: D. Minajew, L. Palmin, M. Petrowski, L. Mej i Weinberg. Z obszerniejszych poematów spotykamy tu: *Jana Deboroga*, *Janka Cmentarnika*, *Nocleg hetmański*, *Starostę Kopanickiego*, *Filipa z Konopi*. Na początek szczęśliwie wybrano *Pocztyliona*. Obszerniejsze wiadomości o tych przekładach podamy później.

— W drukarni Wł. Łozińskiego wyszedł tom II: *Prawa kościelnego katolickiego*, przez Dr. Edwarda Rittnera profesora uniwersytetu Lwowskiego (Ocena tomu I, w swoim czasie pismo nasze już podało). Tom II traktuje o sprawowaniu rządów kościelnych i stosunkach prawnych poza hierarchią.

— Sprawozdań Komisji „do badania historii sztuki w Polsce” wyszedł zeszyt III, i zawiera: a) Łuczkiwicza Władysława: *Granitowe kościoły w Kruszycy, Kościelcu i Mogilnie z epoki romańskiej i Ś. Jana w Poznaniu*; b) Czynności artystyczne na dworze Zygmunta I. wedle zapisów Seweryna Bonera skreślił Paweł Popiel, członek Akademii Umiejętności (z tablicami przedstawiającemi widoki dzisiejsze i prawdopodobne plany konstrukcyi pierwotnej); c) Wiadomość, udzieloną przez Szujskiego Józefa: „O miniaturowym kodeksie XI wieku, kapituły katedralnej krakowskiej” (Ewangeliarzu) z podobizną początku ewangelii: Księga rodzaju Jezusa Chrystusa, oraz czterema litografiami osobowemi.

Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta wyszła „I. J. Kraśzewskiego: *Dajmon Fantazyja*” (z wymowném godłem Dantego: *a gloria non si va per via fioritta* (do chwały nie idzie się drogą kwiecistą) <sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> *Geometrya zastosowana do rękodzieł i rzemiosł*, ułożona przez Józefa Łapińskiego, nauczyciela szkół rządowych, ze 160 figurami z drzeworytów, wykonanych w zakładzie J. Styffiego, 1868 r.

<sup>2)</sup> Drukowany poprzednio w Gazecie Warszawskiej.

— Kraków. Rozprawy i Sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności, tom X (którego obszerniejsze streszczenie podamy w przyszłym zeszycie); Zbiór wiadomości do antropologii krajowej, wydawany staraniem komisji Antropologicznej Akad. Umiej. w Krakowie, tom III; Rozprawy i Sprawozdania z posiedzeń wydziału matematyczno-przyrodniczego Akad. Um. tom V (z tablicami litografowanymi).

— Rocznik Zarządu Akademii Umiejętności w Krakowie za rok 1878.

— Dr. Władysław Wistocki, Katalog Rękopismów Biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nakładem Akademii Umiejętności, w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego (od Nr. 1467—2008 włącznie).

— Hołd imieniu Szopena. W *Słowniku angielskim muzyki i muzyków* (*Dictionary of Music and Musicians*), przez celujących pisarzy angielskich i cudzoziemskich, wydawanym przez G. Grove, a obecnie doprowadzonym do głoski J, spotykamy artykuł o Szopenie (*Chopin*), opracowany przez E. Darnreuther'a.

*Saturday Review*, z 12 lipca r. b. zawiera recenzją dzieła M. Karasowskiego o Fryd. Szopenie, przełożonego na język angielski przez Emilię Hill (*Frederic Chopin; his Life, Letters and Works*. by Moritz Karasowski. Translated by Emily Hill; London. William Heeves. Recenzent po gorącym przemówieniu o wielkim moczarcu tonów, żarliwie zachęca publiczność angielską do zapoznania się z losami życia i uczuć, jakie Szopen w mowie dźwięków przesyła potomności.

— W innym miejscu czytamy obszerny artykuł p. t.: *Piśmiennictwo polskie* (*Polish Literature*), z którego ciekawsze ustępy podamy w ciągu naszego pisma.

— Historia Macaulaya doczekała się nakoniec współzawodnicy, tak pod względem rozmiarów, jak i pod względem posagowego wykończenia. Jestto *Historia ludu angielskiego* p. Johna Richarda (*History of the English People*. Oxford, 1879); w tej chwili wyszedł tom III, zawierający Anglią Purytańską. J. Green, którego nazwiemy (nie w trywialnym znaczeniu wyrazu) dziejopisem-artystą, w tym tomie zamierzył przeprowadzić okres od śmierci królowej Elżbiety (w r. 1603) aż do ucieczki Diuka of Monmouth i do czasowego upadku stronnictwa wigów, na krótko przed kresem rządów Karola II. Jednakże nieprzewidziana zapewne skala rozszerzenia się widnokregu zuiwolila J. Greena do zatrzymania się na połowie drogi prawie. Mamy tu więc część *Cyktu* od śmierci Elżbiety (1603) do r. 1660, czyli, jak to autor nazywa: Anglią purytańską, restauracją i spisek papistowski (*Popish Plot*). Z samego tytułu dzieła (*Historia ludu angielskiego*) czytelnik z góry rokować sobie może historyzoficzne stanowisko autora. Rzeczywiście w tych obrazach porusza się w przestrzeni nie wielkość matematyczna, zwana państwem, lecz zbiorowa samowiedza polityczna. Nie równie treściwego, filozoficznie harmonijnego, jak skreślenie chwil purytanizmu, dane w tym tomie; w ciekawy np. sposób autor rozwiązuje tę trudną zagadkę:

jakim sposobem klasyczny, elegancki typ Elizabetyński (odrodzenia), dostarczający rysów Szekspirowi, mógł naraz zestąpić w surowe doktryny kalwinizmu, i naraz zamarzyć o królestwie Bożem na ziemi? Otóż J. Green odkrył wspólny czynnik pomiędzy temi dwiema fazami. Przypatrzamy ten ustęp, aby dać czytelnikowi przedsmak tonu i stanowiska autora. „Jakkolwiek duch kalwinizmu zdawać się może różnym od ducha renesansu (wieku Elżbiety), znalazły one jednak punkt zjednoczenia, w egzaltacji człowieka, indywidualum. Imponująca walka dobrego i złego wraca w wewnątrz duszy, która objęła grozą wyobraźnię dramaturga i poety, ta walka, mówię, stała się oraz jedynym duchowym pojęciem serca purytanizmu... Każdy mąż chrześcijański trzymał w władzy swojej ostateczne wyjścia życia i śmierci. Również w przeświadczeniu każdego męża chrześcijańskiego postawione były i szale walk nieba z piekłem. Nie, jako istota z ciała, lecz, jako jednostka, dusza, każdy chrześcijanin mógł dopominać się o prawo uczestnictwa w Tajemnicy Odkupienia. W zewnętrznym świecie kultu i karności, kalwinista mocen jest uważać siebie za jednego z rzeszy braci, ale w każdej dobie swojej wewnętrznej bytności, w dobie walki i pokuszenia, wśród pomrocznego pasowania się z grzechem, w gloryi nawrócenia się, on czuł się zupełnie samotnym. Czeladnik, siedzący w przerażeniu na parterze teatru w chwili, kiedy nawalna burza w sercu Lira przewyższała wszelkie burze żywiołów, łatwo przechodził na kalwinistę, który dzień w dzień widział i poczuwał samego siebie teatrem jeszcze potężniejszych walk pomiędzy potęgami światła i potęgami ciemności, a duszą swoją—łupem wiekuistego posuwania się nieba z piekłem.“ Tak więc, podług autora, węzłem duchowym pomiędzy dwoma tak sprzecznymi zwrotami w polityczne społeczeństwa XVII wieku w Anglii była idea indywidualności człowieka; ona też to sprawiła, że dzieje Anglii były rzeczywiście dziejami ludu angielskiego. W ogóle J. Green, ujmuje czytelnika dwoma znamionami swojego pióra: podsunięciem zgrębów filozoficznych pod swój wykład, bez czego dziś prawdziwe dziejopisarstwo ani pomyśleć się nie da, a następnie, żywym współczuciem ku faktom, bez których znowu wszelka historyografia wyraża się na zimny nekrolog umarłych, albo statystykę żyjących narodów. Już nie poznania, ale przekładu historii J. Greena życzylibyśmy szczerze naszemu piśmiennictwu.

— *Śmierć króla Buda!* Dla czytelników interesujących się literaturą Madziarów, a przedewszystkiém ich literaturą nadobną, nie obojętną będzie wiadomość o wychodzącym w tej chwili przekładzie na język niemiecki *Epopoi* Jana Arany, współczesnego przodownika na polu poezyi. *Epopoea* ta (napisana oryginalnie przed szesnastu laty), której tytuł w pierwotworze brzmi: *Buda szalola* (Budy śmierć) ma za bohatera swego brata Attyli: Buda, (zapewne starszego) którego Attyla zabił ręką własną (jak to czytamy w *Chronica Hungarica*) za to, iż ten wytkniętą pomiędzy państwami braci granicę przekraczał. O ile ze znanych nam dotąd ustępów wnioskować wolno, to epos

tak szczerze zachodzące w sferę Nibelungów, zasługuje na upowszechnienie i w naszym świecie umysłowym, zanim się nie znajdzie odpowiedni zadaniu tłumacz z pierwotworu.

W *Revue politique et littéraire* (Nr. 10) czytamy: Muzeum brytańskie zyskało cenny nabytek: papirus z okresu ostatnich Ptolemeuszów, wybornie zachowany, który zawiera, wyjąwszy 127 wierszy początkowych, XXIV pieśń Iljady. Toż Muzeum posiada już i inny papirus jeszcze starożytniejszy a odkryty niedawno w grobowcu egipskim, zawierający również całą prawie XVIII pieśń Iliady.

— Dziejopisarstwo pierwiastków kultury wzbogaconém zostało o ważny nabytek. Jest to dzieło I. A. Farrer: „Pierwotne zwyczaje i obyczaje (*Primitiv manners and Customs*” London Chatto 1879). Autor dzieła pomienionego zespolił w niem obfity zapas faktów, malujących zwyczaje, obrzędy, przesady i wiary z rzutnością filozoficznego poglądu. Zająwszy neutralne stanowisko co do dylematu: czy dzikość ludu ma być stanem poprzedzającym cywilizacyą, czy téż dzikość ma być skutkiem odpadnięcia ludu od cywilizacji” autor dowodzi: a) tożsamości rasowo-ludzkiej tak w dzikich jak i ucywilizowanych plemionach, b) przetrwania dzikich praktyk w społeczności ucywilizowanej, w lekko zmienionej formie. „Prawo powszechnie obowiązujące w naturze ciągłości, obowiązuje również i w procesie uobyczajania rodu ludzkiego. Uważane dziś za najpiękniejsze i najdojrzałe, kształty naszej społeczności, są to „nic więcej, jak ulepszone kształty pierwotnego społeczeństwa, tylko o pewien stopień ociosane z pierwotnej instynktowości swojej. Nasze piękne nowele i powieści, są to owe pierwotne baśnie i mity, tylko *ulepszone*. Kryształ skalny i muszle atlantyczne, odnajdywane pomiędzy szczątkami ludzi, tygrysów i niedźwiedzi w jaskiniach Perygoru, mogły dostać się tam drogą zamiany, a tym sposobem okazuje się, że najpierwotniejsze ludy, przy całej elementarności swojej, musiały mieć tyle przynajmniej umoralnienia, ile potrzeba do stosunków handlowych.” Autor odnajduje u ludów pierwotnych szczątki instytucji wszelkiego rodzaju. Tak np. spowiedź, mówi autor, była rozpowszechnioną nietylko w Meksyku i Peru, lecz i u wyspiarzy Samoun, którzy wszelkie złe uważali za skutek grzechu a za środek leczący: udanie się do kapłana i wyjawienie swoich przewinień. Podobnie było i w Jakutanie, gdzie spowiedź zaprowadził miłośnik sztuki utworca kultury: Kukulkan. Mieszkańcy pierwotni Serkwinu (w Honduras), jeżeli w podróży spotkali się z jaguarem, tedy polecając się bogom i wyznawszy grzechy swoje, prosili o przebaczenie; jeżeli jaguar pomimo to zbliżał się, wtedy wołali: jużesmy grzechy wyznali, nie zabijaj nas. Najciekawszymi działami u p. Farrer'a są: „Mity i wiary, Powieści czarodziejskie i Małżeństwo.”



† W dniu 12 sierpnia r. b. o godzinie 10 z rana, zmarł w Lubliwie ksiądz *Walenty Baranowski*, biskup dyecezyi lubelskiej, najzarliwszy sługa ołtarza, ukochany przez wiernych, mąż wysokiej umysłowości. Dostojnej pamięci pasterz, z prawdziwem namaszczeniem spełniając służbę Bożą, był oraz wielkim miłośnikiem światła, miłował literaturę i wspierał jej pracowników. Serdeczny przyjaciel Wincentego Pola, w katedrze lubelskiej wystawił mu pomnik, również jak i Seb. Klonowiczowi.

---

## Od Redakcyi.

Główny Zarząd prasy upoważnił redaktora „Przyrody i Przemysłu” dr. Karola Jurkiewicza, do czasowego zastępstwa redaktora „Biblioteki Warszawskiej.”

---

### SPROSTOWANIE

w Bibliotece Warszawskiej za miesiąc sierpień r. b.

Str. 186, w wierszu 14 od dołu, zamiast okres *długi*, należy czytać okres *drugi*; str. 190, w wierszu 7 od dołu, zamiast *pracowali*, ma być *panowali*; str. 191, w wierszu 15 od góry, zamiast *na końcu*, ma być *na koniu*; str. 193, wiersz 5 od góry, zamiast *właściwie*, ma być *włóścianie*.

---

*Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.*

Za redaktora odpowiedzialnego dr. Karol Jurkiewicz.

Wydawca *Józef Berger.*

# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM,

Z R. 1879.

stron.

## *Historya.*

Stosunek Władysława Jagiełły do Husytów czeskich. Napisał Julian Sutowicz. . . . .	41
Warszawa, jój życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu (od 1800—1830 r.). Przez K. Wł. Woycieckiego. . . . .	57, 233
Przyczynek do zdania o dziele Michała Bobrzyńskiego: „Dzieje Polski w zarysie,” 1879 r. Przez Aleksandra Tyszyńskiego. . . . .	184

## *Literatura.*

Pamiętnik z lat młodych Juliusza Słowackiego. Przez Sewerynę z Żoch. Duchyńską. . . . .	83
Ruch literacki na Łużycach. Przez A. J. Parczewskiego . . . . .	111
Kazimierz Władysław Woycicki. Przez Ernesta Swieżawskiego. . . . .	305
Romantyzm angielski wieku XIX. II; Dana, Coleridge, Poe. Przez Feliksa Jezierskiego. . . . .	403

## *Filozofia.*

Cnota i występki. Rzecz o rozwoju dziejowym wyobrażeń o onocie. Przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. (Ciąg dalszy). . . . .	16, 318
---	---------

	stron.
Nirwana wobec metafizyki, czyli ocena podstaw metafizycznych filozofii wyzwolenia w związku z systematami filozoficznymi Schopenhauera i Hartmanna. Przez Seweryna Smolikowskiego. . . . .	92
Logika Aleksandra Bain'a w przekładzie polskim. Przez Feliksa Jezierskiego. . . . .	145

### *Bijografia.*

Antoni Oleszczyński. Przez Sewerynę z Żochowskich Duchcińską. . . . .	350, 364
---	----------

### *Podróże i odkrycia.*

Z podróży i przechadzek po południowo-zachodniej Norwegii. Z licznych notatek spisał Stanisław Belza. . . . .	163, 387
---	----------

### *Przemysł.*

Przemysł cukrowniczy w Królestwie Polskiem. Przez Antoniego Wrotnowskiego. . . . .	1, 206, 368
--	-------------

### *Nauki przyrodzone.*

Z dziedziny przyrodoznawstwa. Przez T. Skomorowskiego. . . . .	416
--	-----

### KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Wystawa rzeźb i obrazów na Polach Elizejskich.—Walka w dziedzinie sztuki.—Nowa szkoła impresjonistów.—Obrazy religijne, historyczne, mitologiczne i rodzajowe, portrety, krajobrazy, rzeźby.—Salon oświetlony elektrycznością.—Walka w akademii: Henri Martin i Emil Olivier.— <i>Sztandar</i> , powieść Juliusza Claretie.— <i>Cztery sierżanci z Roszelli</i> , dramat.—Pomnik księdza de l'Epée w Instytucie głuchoniemych w Paryżu.—Wystąpienia koncertowe panny Kamili Morzkowskiej w Nicei. . . . .	260
---	-----

### *Korrespondencya.*

Kronika poznańska. . . . .	224
Kronika lwowska. . . . .	435
Sprawozdanie z konkursu Biblioteki Warszawskiej i nowy jej konkurs. I—IV	
Akademia Miokiewicza w Bolonii. . . . .	89

- Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej z powodu proponowanego przez nią tematu konkursowego „Historya języka polskiego.” Od A. Wałeckiego. . . . . 283
- Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.*
- Babylonian Literature: Lectures delivered at the Royal Institution by A. H. Sayce. London, Bagsters 1877. Przez J. A. Święckiego . . . . . 116
- O znaczeniu i ważności zabytków pierwotnych, oraz umiętném ich poszukiwaniu, (dwa odczyty publiczne w muzeum techniczno-przemysłowém w Krakowie). Przez A. Kirkora, przewodniczącego sekcji wykopalisk kom. archeolog. Akad. Umiejęt. Kraków, 1878 r. (W 8-ce, str. 30). Przez R. . . . . 123
- Rocznik Kolek rolniczo-włościańskich w Wielkiem Księztwie Poznańskiem. (Poznań. Drukiem i nakładem J. I. Kraszewskiego i dr. W. Łebńskiego, 1879. W 8-ce, str. 149). Przez W. . . . . 126
- Sprawozdanie z czynności Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich za rok 1878. We Lwowie w Drukarni Zakładu narodowego Imienia Ossolińskich, 1878 r. (W 8-ce, str. 70). Przez R. . . . . 129
- Złota księga szlachty polskiej. Przez Teodora Żychlińskiego. Rocznik pierwszy. Poznań 1879 r. Przez Adama Bonieckiego. . . . . 286
- Jan Łaski arcybiskup gnieźnieński sprzymierzeńcem sultana tureckiego. Przez d-ra Aleksandra Hirschberga. We Lwowie. Nakładem Tygodnia, 1879 r. (W 8-ce, str. 76). Przez K. Wł. Woycickiego. . . . . 296
- Biblioteka Ordynacyi Krasieńskich. Muzeum Konstantego Świdzińskiego. Tom IV. Perska księga na polski język przełożona od Imci pana Samuela Otwinowskiego. Z dawnego rękopismu wydał dr. J. Janicki. Warszawa, 1879 r. Przez Antoniego Bądzkiewicza. . . . . 449
- Cze sław. Poezye. Zeszyt I. Warszawa, 1879 r. Druk K. Kowalewskiego. Przez F. J. . . . . 459
- Biesiada u milionera rzymskiego, za czasów Nerona, podług satyrykonu Petroniusza Arbitra. Przez Wład. Mich. Dębickiego. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, 1879 r. Nakładem Nestora Złowodzkiego, kandydata nauk historyczno-filologicznych. Druk J. Noskowskiego. Przez F. J. . . . . 462

	stron.
WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACK. I ART. 130, 298, 465	
NEKROLOGIA. . . . .	144, 304, 471
SPROSTOWANIE. . . . .	472
OD REDAKCYI. . . . .	472

---